

Bethany Campbell

Krańce ziemi

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Tobie wcale nie zależy na moich reportażach z Alaski – w głosie Jennifer brzmiało rozgoryczenie.

– Mam tam pojechać tylko po to, żeby sprowadzić do domu Keenana. Ale on nie wróci. Pojechał na Alaskę właśnie dlatego, że chciał być jak najdalej ode mnie. Gdyby nie ty, Keenanowi nie przyszłoby nawet do głowy, że chcę wyjść za niego. Lubię go, ale jak kuzyna albo wujka, no wiesz...

Jen była wysoką, młodą blondynką. Włosy miała splecione z tyłu w długi warkocz. Jej dziadek, Dagobert Martinson, siedział za biurkiem. Pomimo siedemdziesięciu dwóch lat, nadal był szczupły i silny. Miał gęste, siwe włosy i bystre oczy. Za jego plecami, z okna gabinetu roztaczał się widok na Złote Wrota – most zawieszony ponad lekko zamgloną zatokę. Przed nimi na biurku stało kryształowe naczynie w kształcie kuli, wypełnione błyszczącym, czarnym płynem. Była to ropa naftowa, która wypłynęła z pierwszego szybu Dagoberta Martinsona i która prawie pięćdziesiąt lat temu przyniosła mu bogactwo.

Jen od dziecka była osobą bardzo niezależną, co zawsze podobało się dziadkowi, gdyż przypominała mu pod tym względem jego samego. Ale ostatnio wiele się zmieniło i demonstrowanie przez Jean jej własnych zapatrywań przestało dziadka bawić.

W tej chwili siedziała z nogą założoną na nogę i spokojnie patrzyła na niego oczami tak samo niebieskimi i upartymi, jakimi on patrzył na nią.

– Nawet nie będę próbowała namawiać go do powrotu. Wtrącając się w nasze sprawy ty i Ferd stworzyliście sytuację nie do zniesienia. Nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych.

W ciszy, która zapadła, mogło się wydawać, że gdzieś tyka zapalnik bomby zegarowej. Jen zaczęła w duchu odliczać czas i Dagobert wybuchnął gniewem dokładnie w przewidywanym przez nią momencie. Uderzył otwartą dłoń w suszkę do atramentu.

– Przede wszystkim nigdy nie mów mi, że coś jest niemożliwe. Wydobywam ropę z dna morza. Wysyłam satelity w kosmos. Ode mnie zależy, kto dostanie się do Białego Domu. Nie uznaję słowa „niemożliwe”.

Jen wiedziała, że w takiej chwili lepiej się nie odzywać. A teraz, pomyślała, zapyta, dlaczego się nie maluje. Potem będzie krytykował to, co noszę. W końcu wróci temat mojego małżeństwa.

Dziadek wymierzył w Jen oskarżycielsko wysunięty palec.

– Dlaczego nigdy się nie malujesz? Mogłabyś być piękną dziewczyną. I czy zawsze musisz wyglądać, jakbyś dopiero co zeszła z deski surfingowej?

Jen wzruszyła lekko ramionami, gdyż nie umiała na to odpowiedzieć. Natura obdarzyła ją hojnie: ciemna cera, blond włosy z przeblaskiem platyny, policzki w zdrowych rumieńcach, niebieskie oczy, ciemne rzęsy i różowe wargi. Makijaż był dla niej zbędną maską.

– Jeszcze jedna sprawa – złościł się Dagobert. – Te twoje ubrania. Dzisiaj wyglądasz, jakbyś właśnie wyszła z dżungli i zamierzała sprzedawać mango na targu. Co to właściwie ma być za strój? Czyżby zabrakło porządnym materiałów i koronek?

Jen ze spokojem przyjrzała się swojej długiej, batikowej spódnicy i dobrze dobranej do niej bluzce. Były modne i choć nie wymyślne – drogie. Lubiła się ubierać wygodnie i miała własny styl. Ostatnio dziadek wbił sobie do głowy, że powinna nosić koronki i falbanki.

– Co więcej – Dagobert stanął przed wnuczką – powinnaś wyjść za męża. Czas założyć rodzinę. Mieć dzieci.

Obdarować wnukami starego, samotnego człowieka – dodała Jen w myślach.

– Obdarować wnukami starego, samotnego człowieka. Czas się ustatkować. Ta zabawa trwa już za długo.

– Mam dopiero dwadzieścia trzy lata. Chciałabym zdobyć jakiś zawód. Dokonać czegoś w życiu. Poznać świat...

– Tak? – dziadek odwrócił się do niej tyłem i spojrzął przez okno. – Masz San Francisco. Po co ci świat? Potrzebna ci jest tylko rodzina. I nie musisz pracować.

Jen wpatrywała się w plecy dziadka. Bardzo go kochała i dobrze wiedziała, dlaczego się zmienił. Ale teraz czuła, że jej cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Dawniej nie mówiłeś do mnie w taki sposób. Uważałeś, że mogę zostać, kim zapragnę. A ja wybrałam dziennikarstwo.

– Dawniej mówiłem ci mnóstwo różnych głupstw – stał ciągle odwrócony tyłem do niej. – Byłem zbyt pobłażliwy dla ciebie. A ty bawisz się tylko tym swoim dziennikarstwem. Chyba nie sądzisz, że rzeczywiście masz talent?

Wciągnęła głęboki oddech. Dziadek rozgrywał swoją partię twardo i nieczysto.

– Jest jeszcze trochę za wcześnie, żeby osądzić, czy mam talent. Dopiero rok temu skończyłam studia.

– I byłaś całkiem przeciętną studentką. Bawiła cię tylko jazda na nartach i surfing. Nigdy za nic nie musiałaś brać odpowiedzialności. – Odwrócił się i spojrzął na nią chłodno. – Przyznaj, że do dnia dzisiejszego nie miałabyś przyzwoitego zajęcia, gdyby nie Ferd Brubecker i ja.

Atmosfera stawała się napięta. Może on ma rację – pomyślała Jen. Na uczelni nie miała specjalnie imponujących wyników. Wystarczyły jej oceny dostateczne. Tyle, żeby zdać. Solidnie pracowała przy redagowaniu studenckiej gazety, ale niezbyt przejmowała się zajęciami. Wtedy miała trzy pasje: pisanie zabawnych historyjek, surfing i narty. Nie zastanawiała się nad przyszłością.

I nagle zawałił się świat. Na trzy dni przed otrzymaniem przez nią dyplomu zginęli dwaj bracia Jen, Harry i Dwayne. Dwayne miał dwadzieścia osiem lat i był zaręczony z córką najlepszego przyjaciela Dagoberta, Ferda Brubeckera. Harry miał dwadzieścia pięć lat. Lecieli prywatnym samolotem do Galveston. Tego dnia po śniadaniu Jen ucałowała braci na pożegnanie. Dwie godziny później obaj nie żyli.

Jen nie wzięła udziału w uroczystości rozdania dyplomów. W tym czasie uczestniczyła w podwójnym pogrzebie. Trzymała Dagoberta pod rękę i zastanawiała się, jak uda im się przeżyć tę tragedię.

Potem przyjęła pierwszą pracę, którą jej zaoferowano. Nie zastanawiała się nad tym, że otrzymała ją od Ferda Brubeckera. Oszołomiona śmiercią braci, chciała ciężko pracować i nie mieć czasu na myślenie o czymkolwiek poza tym.

Dziadek zawsze był centralną postacią w jej życiu. Ale po śmierci wnuków zmienił się. Poprzednio ulegał zachciankom Jen, a nawet zachęcał ją do kaprysów. Teraz ściągał cugle i próbował kierować jej życiem.

Starszy pan spodziewał się, że Harry i Dwayne będą kontynuatorami jego rodu i dzieła. Wychowując ich, wpajał im potrzebne do tego cechy: skrupulatność, przezorność, no i posłuszeństwo wobec dziadka.

Natomiast Jen była przez dziadka rozpieszczana, gdyż uważał, że jej niezależność i samodzielność nie mogą mu przeszkodzić w osiągnięciu celu. Była dziewczyną. Pozwalał jej samej kierować swym życiem tak, aby przynosiło jak najwięcej radości.

Jen obawiała się, że tragiczna śmierć obu następców załamie dziadka. Już wcześniej życie ciężko go doświadczyło. Najpierw przeżył przedwczesną śmierć żony, a później stratę jedyne go syna, ojca Jennifer. Rodzice Jen jechali samochodem nad jezioro Tahoe, gdzie

zamierzali obchodzić kolejną rocznicę ślubu. Ciężarówka, której kierowca stracił panowanie nad pojazdem, uderzyła w ich samochód, zabijając oboje na miejscu.

Jen miała wtedy niecały rok i zupełnie nie pamiętała rodziców. Dagobert bolał nad ich śmiercią głęboko, lecz otrząsnął się z tego nieszczęścia i wychował troje wnuków. Los jednak nadal go nie oszczędzał, skoro przeżyć musiał jeszcze śmierć dwóch młodych ludzi.

Teraz nie mógł sobie już pozwolić, aby Jen była tylko jego rozkapryszoną ulubienicą. Musiała przynajmniej w pewnym stopniu zastąpić mężczyzn – Harry’ego i Dwayne’a. Uratować królestwo Dagoberta mógł jeszcze kolejny męski dziedzic. Spodziewał się, I że to Jen obdarzy go tym następcą. Jen była jego ostatnią nadzieją. Cóż z tego, skoro miała własne plany i chciała sama zdecydować o swojej przyszłości.

I w dodatku Dagobert mógł winić tylko siebie, że pozwolił Jen wyrosnąć na osobę samodzielną, mającą odwagę realizować własne plany. Postanowił zapanować nad jej charakterem i skłonić do posłuszeństwa. Poprzednio zostawiał jej zbyt dużą swobodę.

– Bawisz się w pracę już cały rok. To wystarczająco długo – powiedział z dawnym, czarującym uśmiechem.

– Nadszedł czas przyjmowania odpowiedzialności za swoje czyny. To jest proste, a wszystkich możesz uszczęśliwić. Wyjdź za mąż za Keenana.

Keenan był jedynym wnukiem Ferda Brubeckera. Ferd i Dagobert przyjaźnili się od czasów wojny.

Obaj przeżyli obóz jeniecki w czasie walk na Pacyfiku i byli sobie bliżsi niż bracia.

Po powrocie z wojny obaj dorobili się fortun – Ferd Brubecker jako potentat prasowy – właściciel gazet, obejmujących swym zasięgiem cały kraj.

Podobnie jak średniowieczni udzielni władcy, Dagobert i Ferd marzyli o połączeniu swoich majątków w jedno potężne królestwo. W nowej sytuacji obaj uznali, że jedynym sposobem osiągnięcia celu będzie małżeństwo Jen z Keenanem. Jednak młodym pomysł ten wcale się nie podobał.

Keenan był nieśmiały, a nawet trochę bojaźliwy. Jen znała go od dziecka. Po śmierci braci okazał jej dużo serca. I właśnie wtedy zorientował się, że starsi panowie mają zamiar wystąpić w roli swatów. Przestraszył się. Miał własne plany, zarówno życiowe, jak i zawodowe, toteż gdy domyślił się intrygi, wpadł w panikę. Teraz serdeczność, jaką okazał Jen po śmierci braci, wydała mu się niewłaściwa, gdyż ogarnęła go obawa, że dziewczyna może widzieć w nim kogoś więcej niż przyjaciela.

Uciekł zatem i ukrył się na krańcach ziemi. Kiedy Jen zorientowała się, co zaszło, zaczęła pisać do niego listy próbując wyjaśnić nieporozumienie. Ale przez osiem miesięcy listy wracały nie odpieczutowane, a Keenan nie wysłał do Jen nawet kartki pocztowej. Nie miała więc żadnej możliwości przekonania go, iż nie zamierza iść z nim do ołtarza.

– Ferd twierdzi, że nie bawi cię praca dziennikarska – powiedział dziadek. – Wcale.

– Ferd wprawdzie dał mi pracę, ale nieciekawą. A to jest pewna różnica.

– Teraz masz swoją szansę. Twój szef chce cię wysłać na Alaskę. Napiszesz stamtąd prawdziwy, porządny reportaż. O co chodzi? Boisz się skorzystać z takiej szansy?

– Nie pojedę tam – odpowiedziała Jen. – Pomysł reportaży z Alaski nie narodził się w głowie mojego szefa. To wy dwaj z Ferdem ukartowaliście wszystko. Znam was dobrze i wiem, jakie macie zamiary.

– Jakże? – zdziwił się nieszczerze Dagobert.

– Po pierwsze – Jen przeszła do ofensywy – to ty namówiłeś Ferda, żeby zaproponował mi pracę. Przyjęłam ją, bo chciałam być blisko was. Ale wiedzieliście, że to praca nie dla mnie. Nie chcę być pozał się Boże reporterką, prowadzącą kronikę towarzyską.

– Przecież chciałaś zajmować się dziennikarstwem – twarzą dziadka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Ależ cię rozpieściłem! Mnóstwo kobiet dobijałoby się o taką pracę.

– Też coś! Pisałam tylko o przyjęciach weselnych. To przeraźliwie nudne.

– Chcesz odmiany? Więc nie sprzeciwiaj się. Jedź na Alaskę.

– Żeby opisywać wydarzenia z życia Keenana? Jen popatrzyła na dziadka z żalem. Tęskniła za dawnym Dagobertem, jej ukochanym dziadkiem, takim, jakim był kiedyś.

Dagobert sięgnął po złoty nóż do rozcinania papieru. Z szuflady biurka wyjął ogromną szarą renetę.

– Jeżeli odmówisz i nie wyjedziesz, zostaniesz zwolniona z pracy. Nie będzie to wina ani moja, ani Brubeckera. Twój szef po prostu nie będzie miał wyboru. – Zaczął obierać jabłko. – Czy wiesz, co się stanie, jeżeli wylecisz z pracy? – odkroił cząstkę jabłka i podał Jen. – Proszę, weź kawałek, jest słodkie.

Jen odmówiła.

– Oczywiście wiem, co się stanie. Nigdy nie znajdę pracy w jakiejś liczącej się gazecie. Ty i Ferd tego dopilnujecie. Przygotowałeś się na taką ewentualność. Próbowалаm już coś znaleźć i nie udało mi się. Jesteś szczywanym lisem.

Dziadek sam zjadł odkrojoną cząstkę jabłka.

– Mmm... soczyste i słodkie. Taak... Nigdzie nie znajdziesz pracy. W każdym razie w żadnej porządnej gazecie. No, mogłabyś oczywiście wyjechać na jakieś pustkowie albo zamieszkać w małej miejscinie, gdzieś z dala od morza i gór, ale oboje wiemy, że nie znosisz takich miejsc.

Jen zacisnęła zęby.

– Dagobercie, czy ty nic nie rozumiesz? Ja nie kocham Keenana.

– Eee – w głosie Dagoberta zabrzmiało zniecierpliwienie. – Cóż ty o tym możesz wiedzieć? Jesteś jeszcze dzieckiem. Oczywiście, że go kochasz. Doprowadziłaś go do rozpaczyny i wyjechał. Teraz tam, na Alasce, czeka, aż dorośniesz i zdasz sobie sprawę ze swoich uczuć.

– Nie doprowadziłam go do rozpaczyny. On też mnie nie kocha. I na skutek twoich machinacji śmiertelnie się mnie boi. – Jen, zwykle nieskora do gniewu, czuła, jak wzbiera w niej złość.

– Pokłóciliście się i to złamało mu serce. Wyjechał, żeby lizać rany – Dagobert w dalszym ciągu obierał jabłko.

– Keenan pomógł mi, gdy potrzebowałam pomocy – Jen nieświadomie zacisnęła pięści. – Ale nigdy nie złamałam mu serca. Jedyne nieporozumienie zaszło wtedy, kiedy uwierzył, że ja myślę o nim poważnie. Zresztą nie wyjechał na Alaskę tylko z mojego powodu. Chciał się uwolnić także od Ferda. I od ciebie. Keenan chce żyć własnym życiem. Czy żaden z was tego nie rozumie? Czy Ferd nie może przyznać się do tego, że jest apodyktycznym starcem? Dlaczego nie zajmie się życiem swoich wnuczek? Przecież ma trzy.

– Tak, ma trzy wnuczki, ale tylko jednego wnuka. Chce, abyś pojechała na Alaskę i porozmawiała z Keenanem. I przywiozła go do domu.

– To niemożliwe – powtórzyła Jen po raz trzeci.

– Keenan jest dorosły. Robi to, co mu się podoba. Jeżeli Ferd nie może przyjąć tego do wiadomości, to...

– Ferd nie musi niczego przyjmować do wiadomości.

– Dagobert uderzył ręką w blat biurka. – Ferd stwarza fakty, które muszą być przyjmowane do wiadomości przez innych. A ty masz przyjąć do wiadomości, że jedziesz na Alaskę i spotkasz się z Keenanem. Będziesz zbierała materiały do reportażu na temat jego

pracy. Przemówisz mu do rozumu. I sprowadzisz go do domu.

– Powtarzam ci, że nie napiszę żadnego reportażu na temat pracy Keenana – powiedziała dobitnie.

– Keenan bada życie morsów w strefie arktycznej. To może jest uważane za wielkie wydarzenie w kręgach morsów, ale nie tutaj, w Kalifornii.

Dziadek pochylił się nad biurkiem.

– Właśnie ostatnio został awansowany. Jest asystentem dyrektora Ośrodka Badań Arktyki i kierownikiem działu badań nad morskami.

– To świetnie. Mogę napisać o tym wzmiankę tutaj, na miejscu.

– Ty się boisz – w głosie Dagoberta zabrzmiała nuta przebiegłości – boisz się własnych uczuć.

Cierpliwość Jen w końcu się wyczerpała.

– Niczego się nie boję. Chcicie, żebym pojechała na Alaskę? Świetnie, pojedę. Chcicie, żebym porozmawiała z Keenanem? Doskonale, rozmawiam z nim. Powiem mu, że jego osoba mnie nie interesuje i że z mojej strony nic mu nie grozi. I może rzeczywiście znajdę tam jakiś ciekawy temat i materiał do reportażu. Naprawdę ciekawy, ale z pewnością nie związany z osobą Keenana.

– Nie znajdziesz innego tematu – roześmiał się Dagobert. – Zrozum wreszcie, że nie nadajesz się do pisania. Nie masz niezbędnej w tym fachu siły przebicia ani bezwzględności. Nie jesteś do tego stworzona. Dziennikarstwo to ciężki kawałek chleba.

– Być może znajdę sobie zajęcie tam, gdzie nikt nie będzie sterował moim życiem – oczy Jen załśniły złością. – Może wezmę przykład z Keenana. Może w ogóle nie wrócę.

Dziadek prychnął drwiąco. Znowu zaczął obierać jabłko.

– Najważniejsze, że jedziesz. To dobrze. Znakomicie. Jen poczuła, jak krew pulsuje jej w skroniach.

– Czy dotarło do ciebie chociaż jedno słowo z tego, co mówiłam?

Przytaknęła, ale rozmowa wyraźnie przestała go już interesować.

– Coś mówiłaś o wyjeździe z Kalifornii i szukaniu pracy na lodowcu. Ale to nie dla ciebie, moje słoneczko. Gdybyś tam została, błagałabyś mnie o pomoc już po miesiącu, jeżeli nie wcześniej. Znam moją dziewczynkę. Naprawdę dobrze znam.

– Nigdy, dopóki żyję, nie poproszę cię o żadną pomoc.

– Założysz się? – Dziadek przyglądał się cząstce jabłka, którą trzymał w zniekształconych artretyzmem palcach. – Nigdy nie zetknęłaś się z prawdziwym życiem. A może powinnaś je poznać. Zanim minie miesiąc, poprosisz mnie o pomoc – spojrzał jej w oczy i przez chwilę obserwował chłodno. – Zawrzyjmy umowę. Jeżeli poprosisz mnie chociaż o jedną przysługę, a ja ją spełnię – wtedy wrócisz do domu i będziesz grzeczną dziewczynką. Jeżeli nie poprosisz mnie o pomoc i nie wyjdiesz za mąż za Keenana, ale znajdziesz sobie kogoś innego, zaaprobuje twój wybór. Umowa stoi?

Patrzyła na niego jak na przebiegłego węża, kuszącego ją, żeby dobić targu o wysoką stawkę, którą była jej dusza. Skinęła głową.

– Dobrze, powiedziałaś już, że cię nie poproszę o żadną przysługę. Wiem to na pewno. Jeżeli złamię obietnicę, zrobię to, czego będziesz ode mnie oczekiwał. Ale ostrzegam cię, nie wygrasz tego zakładu!

– Nie? Wiesz przecież, że ja nigdy nie przegrywam. – Zjadł ze smakiem ostatnią cząstkę jabłka. – Wrócisz. Nie martwię się. Znam ludzką naturę. Bądź tak dobra i wyrzuć to gdzieś po drodze. – Wręczył jej resztkę jabłka. – Tak jak to robiłaś, gdy byłaś małym berbeciem. Gdzie się podziało to słodkie maleństwo?

Sięgnęła z niechęcią po zimny i wilgotny ogryzek. Dziadek otworzył szufladę biurka i wyjął z niej plik papierów.

– Proszę, to twój bilet na samolot – ton jego głosu był podejrzanie miły. – Pamiętaj, Ferd oczekuje, że porozmawiasz z Keenanem. Jeżeli nie masz zamiaru odbyć tej rozmowy, nie wykorzystuj biletów. To nie byłoby uczciwe. Tu masz rezerwację.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy poczuła lęk. Stała tutaj, dojrzała dwudziestotrzyletnia kobieta, z plikiem biletów w jednej ręce i resztką jabłka w drugiej. Wydało się jej, że biorąc tę resztkę jabłka, mimo całego wysiłku, z jakim sprzeciwiała się propozycji dziadka, ostatecznie przyjęła zakazany owoc.

– Zatelefonuję do Keenana – powiedziała z udanym spokojem. – Zawiadomię go, że przyjeżdżam.

– Nie ma potrzeby – uśmiechnął się Dagobert. Keenan już wie. Ferd do niego telefonował.

Jen spojrzała na dziadka z lękiem. Czy cały czas wiedział, że ona zgodzi się na wyjazd? Czy była tylko zabawką w jego rękach?

Dagobert dostrzegł niedowierzanie malujące się na jej twarzy.

– Oczywiście – powiedział łagodnie – najlepiej by było, gdybyście skończyli z tymi głupstwami i wrócili razem do domu. I znaleźli swoje miejsce w rodzinie.

Jen uśmiechnęła się z przymusem.

– Do widzenia, chociaż wcale nie wiem, czy wrócę. Naprawdę nie wiem. Może to nie jest najbardziej odpowiednia chwila, ale... dziadku, muszę ci to powiedzieć. Kocham cię, dziadku.

Podrzuciła ogryzek z bezwiedną nonszalancją.

– Do zobaczenia, Dagobercie – pożegnała go z lekkim uśmiechem.

Odwróciła się szybko i wyszła z pokoju. Poczowała się nieco podniesiona na duchu. Znowu podrzuciła ogryzek. Zjechała windą na dół. Po chwili już była na chodniku i patrzyła na zamgloną zatokę. Ostre, październikowe słońce raziło ją w oczy. Ogarnęły ją mieszane uczucia. Była zła na dziadka, a jednocześnie mu współczuła. Desperacko próbował zapanować nad toczącymi się wydarzeniami i nie chciał im ulegać. Było coś tragicznego w tym pragnieniu dziadka kierowania jej życiem. Poczowała dla niego wręcz litość. Lecz równocześnie, po raz pierwszy od kilku miesięcy, zrozumiała, że jest wolna. Myślała o podjętej decyzji jednocześnie z radością i niepokojem. W każdym razie wyzwoliła się. Poleciała na Alaskę. Wiedziała, że imperium Brubeckera tam nie sięga. W dwóch miastach Alaski wychodziły gazety. To oznacza możliwość znalezienia pracy. Nagle Alaska wydała się jej wymarzonym miejscem. Słyszała o ludziach, którzy tam pojechali i rozpoczęli zupełnie nowe życie. Ona też spróbuje. Odgryzła kawałek jabłka. Może tak smakuje wolność. Jak powiedział Dagobert, jabłko było słodkie.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Rozglądaj się za wysoką blondynką – to były słowa Keenana – nie można jej przeoczyć.

Niestety – pomyślał Hal Bailey. – Przeoczyłem ją. Hal miał szczerzy zamiar zjawić się na lotnisku punktualnie, ale drogę, którą jechał, zablokowała na dobre piętnaście minut polarna niedźwiedzica. Hal musiał zawiadomić lokalne władze o pojawieniu się zwierzęcia i nie zdążył już na spotkanie z blondynką na lotnisku. Trzeba będzie poszukać jej w hotelu.

Pchnął ciężkie drzwi hotelowego budynku. Ściągnął z głowy kaptur futrzanej, eskimoskiej kurtki i tupiąc otrząsnął śnieg z butów.

Hal był dobrze zbudowanym mężczyzną. Choć wysoki i szczupły, miał szerokie ramiona, twarz ogorzałą od słońca i wiatru, ciemne włosy i błękitne oczy o przenikliwym spojrzeniu człowieka żyjącego na bezbrzeżnych przestrzeniach ziemi. Nosił brodę, a jej odcień był nieco ciemniejszy niż kolor włosów, przetykany pierwszymi nitkami siwizny.

Miał trzydzieści dwa lata. Jego powolny sposób mówienia i akcent zdradzały pochodzenie ze środkowego Zachodu. Był przekonany, że jest mężczyzną rozsądnym i trzeźwo myślącym. Keenan Brubecker zażartował kiedyś: „Gdy nastąpi koniec świata i wszyscy zaczną bezładnie kręcić się w kółko, szukajcie faceta, który będzie stał spokojnie i robił notatki. To będzie Hal”.

Cóż – pomyślał – koniec świata jeszcze nie nadszedł, a ja mam mnóstwo spraw na głowie. Pracę w ośrodku, grasującą w sąsiedztwie niedźwiedzicę, dwa wieloryby, uwięzione w zamrożonym morzu, i do tego dziewczynę Brubeckera, która na domiar złego jest wnuczką tego starego grabieżcy, Dagoberta Martinsona.

Przeszedł po pomarańczowym dywanie i zatrzymał się przy recepcji. Za biurkiem siedziała ładna Eskimoska. Czytała pismo ilustrowane, paliła papierosa i wyglądała na znudzoną. Miała ondulowane włosy, wymalowane na czerwono paznokcie i wargi.

Hal popatrzył na nią z wyraźną przykrością. Cenił u kobiet ich naturalną urodę.

– Cześć, Soniu – przywitał dziewczynę – szukam pewnej blondynki. Znajomej Brubeckera. Jest tutaj?

Sonia na widok Hala wyraźnie się ożywiła.

– Po co ci blondynka Brubeckera? Czy nie możesz poszukać swojej własnej dziewczyny?

Hal skinął głową na znak, że docenia dowcip.

– Tak, tak. Posłuchaj, Soniu, ona ma zarezerwowany pokój w ośrodku. Powiedz, czy mogę ją tu znaleźć, a jeśli jest, to już wykreśl ją z rejestru.

– Jest w pokoju 109 – odpowiedziała Sonia. – Dlaczego ona ma mieszkać w ośrodku? Helenie nie będzie się to podobało.

– To już jest problem Heleny i Brubeckera. Miasto Ultima nie było duże, liczyło około trzech tysięcy mieszkańców. Brubecker był na tyle mądry, że nie utrzymywał w tajemnicy przyjazdu blondynki i wszyscy już o tym wiedzieli.

– A co z wielorybami? – zagadnęła rżęsami Sonia.

– Tkwiał w miejscu – uciął krótko Hal.

Ruszył przez hol i rozpinając kurtkę myślał, że zadanie powierzone mu przez Brubeckera wcale mu się nie podoba. Ale misja ta była jednocześnie i przyjacielską, i męską przysługą. Co ważniejsze, chodziło też o Helenę, którą powinien ochraniać.

Helena pracowała u niego od pięciu lat, od chwili gdy przybył do Arktyki. Zrobił wszystko, żeby nikt nie zniszczył szczęścia Heleny.

Zapukał do drzwi pokoju 109. Być może powinien był zatelefonować z recepcji i zapowiedzieć wizytę, ale wydało mu się to zwykłą stratą czasu. Zastanawiał się, jak ta

blondynka ma na imię. O ile w ogóle Brubecker je wymienił, to już wyleciało mu z pamięci. Nazwiska – Martinson – oczywiście nie mógł zapomnieć. Stary Dagobert był dostatecznie dobrze znany ze swego lekceważącego stosunku do zagadnień ochrony środowiska naturalnego. Miał znaczne udziały w spółce MaLaBar, która zrealizowała kontrowersyjny projekt alaskiego rurociągu. Plotka głosiła, że obecnie Dagobert zamierza sięgnąć swoimi mackami do Zatoki Bristolskiej, jednego z najbardziej zasobnych w ryby obszarów morskich Alaski i jakby tego wszystkiego było za mało, teraz przysłał tu z Kalifornii tę swoją głupią wnuczkę, zamierzającą prześladować biednego Brubeckera.

Usłyszał dobiegające z wnętrza pokoju niepewne stąpanie, po czym drzwi, zabezpieczone łańcuszkiem, uchyliły się nieco. Prawie na wysokości swoich oczu zobaczył niebieskie oczy, osłonięte długimi rzęsami, wpatrzone w niego uważnie. Do licha – pomyślał – jak ona ma na imię? Czy Brubecker w ogóle je wymienił? Nagle pomysł przyjaciela wydał mu się po prostu okropny. Ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że tu chodzi o Helenę, przede wszystkim o Helenę.

– Słucham pana? – spytała dziewczyna zadziwiająco pewnym siebie tonem.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela wizytówkę.

– Jestem doktor Hal Bailey z Ośrodka Badań Arktyki. A ty jesteś wnuczką Martinsona, blondynką Brubeckera, prawda?

Niebieskie oczy zamrugały ze zdumienia i Hal spostrzegł w głębi nich lodowate błyski.

– Nie jestem niczyją blondynką, kowboju. Nazywam się Jennifer Martinson. Dla pana – panna Martinson.

Jedna z tych zimnych ryb – pomyślał Hal – które w dodatku myślą, że należy im się szczególne traktowanie. O, nie doczeka się! Przyjazd tej kobiety sprawił mu prawdziwą przykrość.

– Panno Martinson – powiedział z najwyższym sarkazmem. – Mam nadzieję, że nie zdążyła się pani jeszcze rozpakować. Doktor Brubecker przygotował dla pani pokój w naszym ośrodku. Zabiorę tam panią.

– A dlaczego sam po mnie nie przyjechał? – w oczach dziewczyny czaiła się podejrzliwość.

– Musiał pojechać do sąsiedniej miejscowości. Znalezione tam martwego morsa. Brubecker chciał zbadać treść jego żołądka.

Rzęsy dziewczyny kilkakrotnie uniosły się w górę i opadły w dół. Wygląda na to, że ten człowiek mówi prawdę. Historia z morkiem była zbyt śmieszna, aby mogła być zmyślona. Poza tym, jakież to podobne do Keenana. Kiedyś zaprosił ją na seminarium na temat dolegliwości płucnych wydry.

Odpięła łańcuszek i uchyliła szerzej drzwi. Po przybyciu na Alaskę nie skontaktowała się jeszcze z Keenanem i przypuszczała, że nie został o jej przyjeździe zawiadomiony. Teraz jednak poczuła się urażona, że Keenan okazuje większe względy żołądkowi morsa niż jej.

Cofnęła się, wpuściła Hala do środka i przyjrzała mu się bliżej. Na pierwszy rzut oka składał się tylko z kurtki futrzanej i brody. Po chwili obserwacji stwierdziła jednak, że pod niedźwiedzim futrem ukrywa się niezwykle szczupłe ciało. Dobrze utrzymana broda nie wyglądała już tak zastraszająco, jak w pierwszym momencie, choć nadawała jego twarzy diaboliczny wygląd. Poza tym była to twarz pozbawiona emocji i nie można było z niej nic wyczytać poza tym, że był niezbyt przyjaźnie do niej usposobiony.

Najbardziej przyciągały uwagę jego oczy, najbłękitniejsze, jakie kiedykolwiek widziała, zadziwiające, prawdziwie koloru nieba. I bardzo stanowcze. W tej chwili były przymrużone i zdawały się przeszywać ją na wylot. Poczuła się nieswojo.

Hal również poczuł się niepewnie. Nie oczekiwał takiej kobiety – wysokiej, zgrabnej, o włosach złotych i lśniących, które zdawały się żyć własnym życiem. Brubecker mówił o niej po prostu jako o „dużej blondynce”. Nie powiedział, że jest tak olśniewająca. Ale równocześnie Hal przypomniał sobie opinię Brubeckera: że to duże dziecko, że w ciągu czterech lat studiów nie miała żadnych poważniejszych osiągnięć. Żyła wesoło, beztrudnie i lekkomyślnie. Mimo to wydała mu się zadziwiająca.

– Proszę wejść – powiedziała, nie okazując mu ani cienia więcej serdeczności niż on jej. – Niech pan siada, muszę zebrać swoje rzeczy.

Hal wszedł do pokoju i machinalnie ściągnął kurtkę. Usiadł w fotelu i rozejrzał się wokół, starając się nie gapić na dziewczynę. Pomarańczowa narzuta na łóżku, tego samego koloru firanki. Na ścianie obraz przedstawiający arktyczną gęś w locie. Dziewczyna zaczęła wkładać swoje rzeczy do walizki z wojskową precyzją. Nie patrząc na niego powiedziała:

– Prawdę mówiąc jestem zadowolona, że się stąd wyprowadzam. To miejsce jest niesamowite. Wygląda jak zwykły pokój hotelowy w Ameryce. Trudno uwierzyć, że znajdujemy się właściwie na biegunie północnym. Zadziwiająca.

W pierwszej chwili ta uwaga go zastanowiła, ale zaraz wzruszył ramionami. A czegoż ona oczekiwała?

Igloo? Skóry renifera na łóżku? Spojrzał na złoty warkocz, kołyszący się na plecach dziewczyny.

– Proszę posłuchać – rzekł. – Przyszedłbym do pani, nawet gdyby Brubecker nie wyjechał z miasta. Poprosił mnie, żebym z panią porozmawiał.

Przestała wkładać rzeczy do walizki. Odwróciła się i spojrzała na niego. Ponownie ogarnęło ją nieprzyjemne wrażenie, że ten człowiek jest zdolny przejrzeć ją na wskroś. Zwykle to ona onieśmiała mężczyzn swym wzrostem, nazwiskiem lub majątkiem. Ten mężczyzna nie wydawał się być wcale onieśmielony, co ją trochę zbijało z tropu.

– Porozmawiać ze mną?

Utkwił oczy w wiszącym na ścianie obrazie i zastanawiał się, jak ma jej to powiedzieć. W grę wchodziły uczucia, a Hal był człowiekiem trzeźwym. Z tego zresztą powodu Brubecker zwrócił się właśnie do niego. Chciał, żeby sprawę rozegrał ktoś racjonalny i chłodny.

– Brubecker wie, że pani przyjechała – starał się nadać swemu głosowi stanowcze brzmienie. – Ale musi pani zrozumieć, że on nie jest zainteresowany panią uczuciowo. Traktuje panią jak siostrę.

No, wykrztusił to z siebie. Przynajmniej w części. Dziewczyna wyprostowała się.

– To, że z Keenanem nic mnie nie łączy, wiem bez ; pana wstępu. O co więc chodzi?

Zignorował jej oskarżycielskie spojrzenie i przyglądał wąsy.

– On nie chce wzbudzać w pani nadziei. Traktuje i wasz stosunek jako czysto przyjacielski. Jest pani tu mile widziana, pod warunkiem że zdaje sobie pani sprawę z tego układu. Jeżeli musi pani napisać jakiś reportaż, to nasza praca na pewno warta jest zainteresowania.

– Czy pan zwariował? – patrzyła na niego osłupiała.

– A on chyba też postradał zmysły. Czy on sobie wyobraża...?

Hal przerwał jej. Nie chciał ranić tej dziewczyny, ale ktoś to musiał powiedzieć i ten obowiązek spadł na niego.

– Proszę pani, on wie, że pani jest chyba w nim zakochana. Jest mu bardzo przykro, ale znalazł sobie inną dziewczynę. I ma zamiar się z nią ożenić. Mówił o tym swojemu dziadkowi, ale starszy pan nie chciał o tym słyszeć.

– Co takiego? – krzyknęła Jen. Jej policzki pałały.

– Czy byłby pan tak uprzejmy i patrzył na mnie, kiedy do mnie mówi? Czy może mi pan okazać choć tyle grzeczności?

Przeniósł na nią wzrok, a ona od razu pożałowała swych słów. Gdy patrzyła w te oczy, wydawało się jej, że idzie gdzieś na kraniec ziemi, a potem spada w otchłań nieba. Poczowała drżenie w sercu.

– Keenan oświadczył się tej dziewczynie, a ona przyjęła jego oświadczyny – Hal brnął dalej, zdecydowany zakończyć szybko tę rozmowę. – Keenan traktuje sprawę swego małżeństwa bardzo poważnie. Jego dziewczyna ma na imię Helena. Pochodzi z plemienia Inupiat. Pracuje w naszym laboratorium. Bardzo bystra. Bardzo ładna. Ciekawa osobowość. Wyjątkowo miła. Wyjątkowo.

– Z plemienia Inupiat? – powtórzyła Jen. Hal podniósł rękę, jakby chciał ją uspokoić.

– Tak, jest Eskimoską. Wiem, że to panią może ranić, ale proszę nie być snobką. Wszyscy jesteśmy istotami ludzkimi, ulepionymi z jednej gliny.

– Proszę nie nazywać mnie snobką – odpowiedziała.

– Keenan może ożenić się z jakąkolwiek kobietą, którą sobie wybierze, a przypisywanie mi przesądów jest z pana strony...

Znowu powstrzymał ją ruchem ręki, który doprowadził ją do szału. Ten człowiek był podobny do dziadka, przyzwyczajony do wydawania rozkazów, a taki jeden już jej zupełnie wystarczał.

– Oni bardzo dobrze się rozumieją. Można powiedzieć, że Keenan się odrodził. Dlatego zamierza tu pozostać. A ja proszę, aby pani nawet nie próbowała mu w tym przeszkadzać.

– Ci mężczyźni! – Jen ściągnęła z hałasem walizkę z łóżka na podłogę. – Wy obaj, pan i Keenan, mieliście czelność...

– Wiem, wiem – ciągnął dalej Hal – pani duma została urażona. Ale jest pani młoda i... wystarczająco atrakcyjna, więc jakoś to pani przeboleje. A teraz mam szczerą nadzieję, że będzie się pani dobrze bawiła w Ultimie. Witamy na Alasce. Chyba zapomniałem panią powitać.

– Czy słyszał pan, co powiedziałam? Czy dotarło do pana choć jedno słowo? – Wydawało się, że to niemożliwe, ale ten człowiek był jeszcze bardziej nie do zniesienia niż Dagobert.

Skinął potakująco głową i pogładził wąsy.

– Jeżeli chce pani wrócić na lotnisko...

– Nie mam zamiaru wracać na lotnisko. Chcę porozmawiać z Keenanem. – Wyobrażała sobie to spotkanie. Jak on śmiał narzucić jej tego człowieka, traktującego ją tak protekcjonalnie? I jak Ferd i Dagobert ośmielili się przysłać ją tutaj, wiedząc, że Keenan zakochał się w innej kobiecie. Czy wyobrażali sobie, że doprowadzi do zerwania tego związku?

– Muszę z nim porozmawiać.

– Już mówiłem, że Keenan wyjechał – w głosie Hala brzmiała zimna wściekłość. – Rozumiem, że w tej sytuacji może wolałaby pani zostać tutaj i nie przeprowadzać się do ośrodka. Brubecker myślał, że może zechce się pani zapoznać z naszymi badaniami na miejscu. Nasza praca może być dobrym tematem, materiału wystarczy na napisanie nie jednego, lecz kilku reportaży. Na przykład teraz dwa wieloryby...

– O, to niewątpliwie bardzo interesujące – powiedziała Jen przez zaciśnięte zęby. Wyjęła z szafy futrzaną kurtkę i wciągnęła ją na ramiona. – Muszę powiedzieć Keenanowi kilka słów prawdy. Chcę się z nim zobaczyć, gdy tylko wróci. Czy może być pan tak uprzejmy i powiedzieć mi, kiedy spodziewa się jego powrotu? – Zauważyła, że Hal po raz pierwszy wygląda na zmieszanego.

– Prędzej lub później.

Zarzuciła szalik na szyję i naciągnęła na głowę wełnianą czapkę.

– I będzie mi bardzo miło zapoznać się z waszymi bezcennymi badaniami „na miejscu”. Skoro odbyłam taką długą drogę, równie dobrze mogę się czegoś ciekawego dowiedzieć. A jaka jest pana specjalność naukowa, doktorze, bo z pewnością nie takt?

Hal wstał i nałożył kurtkę. Przynajmniej nie zamierzała płakać. Ale jej gniew również go drażnił.

– Wieloryby, panno Martinson. Moją specjalnością są wieloryby.

Wziął walizkę. Do drzwi podeszli równocześnie. Ich dłonie spotkały się. Oboje szybko się cofnęli. Wreszcie Hal otworzył drzwi i pomyślał, że dotyk jedwabistej skóry jej dłoni sprawił mu o wiele większą przyjemność, niżby sobie tego życzył.

Jen podobnie odczuła to nieprzewidziane zetknięcie się ich rąk. Kiedy jej palce leciutko dotknęły jego dłoni, zdawało się, że ściany pokoju wałęsały się na nią ze wszystkich stron. Jego dotyk odczuła jak zetknięcie z nie zabezpieczonym przewodem elektrycznym pod napięciem.

Hal nasunął futrzany kaptur i przeprowadził Jen przez hol. Towarzyszyło im zaciekawione spojrzenie czarnych oczu Soni.

Pozostawił w willysie włączony silnik i w kabinie było ciepło. Na zniszczonej obudowie samochodu widniał napis: Ośrodek Badań Arktyki.

– Czy silnik pracował przez cały ten czas, kiedy . pan był u mnie? – spytała Jen, sadowiac się koło niego.

– Tak się tu robi – odpowiedział, zapalając światła.

– Czasami silnik pracuje przez cały dzień.

– Ależ to marnotrawstwo – skonstatowanie tego faktu sprawiło jej przyjemność.

– Lepsze to niż zamrożenie silnika – cofnął wóz i skierował go na drogę wiodącą na wschód.

Obserwując główną ulicę miasta, która była w istocie utwardzoną zwirom drogą, Jen ogarnęło to samo zdziwienie, co w chwili przylotu do Ultimy. Domy zbudowane z prefabrykowanych elementów wyglądały jak klocki. Za zabudowaniami rozciągał się groźnie wyglądający łąd, pokryty teraz cienką warstwą śniegu. Ultima nie odpowiadała zupełnie jej wyobrażeniom o mieście leżącym za kręgiem polarnym.

Minęli różowy budynek oświetlony wielkim neonowym napisem „Prawdziwa włoska pizza”. Przed budynkiem zaparkowane były dwa śnieżne pojazdy i gąsienicowe i chevrolet – wszystkie z włączonymi silnikami na pełnych obrotach.

Czuła, że jej poczucie czasu i przestrzeni zachwiało się, a siedzący obok mężczyzna wzbudza w niej złość. Westchnęła, złość nic tu nie pomoże. Próbowała przerwać milczenie.

– Myślałam, że to miejsce jest bardziej egzotyczne.

– Taak – najwyraźniej zignorował jej uwagę. Przejechali ulicę i skierowali się na drogę, która – jak wydawało się Jen – prowadziła donikąd.

– Myślałam, że zobaczę przynajmniej psie zaprzęgi – wymamrotała, rozpinając kurtkę.

– Psie zaprzęgi to już przeszłość. Trzyma się tylko parę dla rozrywki. Teraz używane są śnieżne pojazdy gąsienicowe.

Jen spojrzała na otaczającą ich kompletnie płaską równinę i przygryzła wargę.

– Nie buduje się igloo?

– W tej okolicy nie. – Ton jego głosu wskazywał, że udzielał takich wyjaśnień już setki razy. – W tym rejonie nie ma dużych opadów śniegu. Kiedyś budowano tu domy z gliny albo ze skór.

Jen skinęła głową, pogrążona w myślach.

– Z lotniska do hotelu jechałam taksówką. Kierowca był tubylcem. Słuchał irlandzkiej muzyki rockowej z japońskiej taśmy. Kurtka wyglądała na kupioną w Nowym Jorku.

– Cuda sprzedaży wysyłkowej – stwierdził ironicznie Hal.

– Czy nie pływa się tu już canoe?

– Przeważnie łodziami motorowymi.

– Macie telewizję?

– Satelitarną. Proszę uważać, widziałem w tej okolicy polarnego niedźwiedzia.

Ku jego zdumieniu nie przestraszyła się. Zaczęła tylko baczniej obserwować mijane rozległe przestrzenie.

– Niedźwiedź polarny byłby mile widziany. Nie miałabym też nic przeciw spotkaniu z pingwinami.

Ponura cisza wskazywała, że popełniła gafę, ale nie bardzo wiedziała jaką.

– Pingwiny żyją na biegunie południowym, na Antarktydzie.

Jeżeli chciał ją ośmieszyć, to mu się udało. Geografia nigdy nie była jej mocną stroną. Jeśli chodzi o ścisłość – biologia też nie. Uświadomiła sobie, że nie wie właściwie nic o tym kraju i że na dobrą sprawę nie chce wiedzieć oraz to, że z siedzącym obok człowiekiem nie łączą jej żadne wspólne zainteresowania. Równie dobrze mogłaby odbywać spacer w przestrzeni kosmicznej z Marsjaninem.

Zapadło milczenie. Nie minął jeszcze dzień od, chwili przybycia Jen na Alaskę, a już ten kraj wywołał w niej uczucie niepokoju. Wszystko ją tu przerastało nadmiernie: za wielkie przestrzenie, kilka stref czasu, kontrasty. W ciągu paru godzin przeleciała z nowoczesnego Anchorage, żyjącego i w typowym dla współczesnego miasta pośpiechu – nad groźnymi szczytami mało zbadanego jeszcze łańcucha Gór Brooksa i znalazła się po drugiej i stronie tych gór, gdzie połacie lądu przypominały raczej inną planetę, niż kraj będący jednym ze stanów Ameryki.

Patrzyła w ciemność i w zasięgu wzroku nie dojrzała żadnego żywego stworzenia. Ta ziemia nagle przytłoczyła ją. Nie była wroga. Ale – co gorsza – była obojętna. Wtuliła twarz w kurtkę.

– Po co ludzie tu przyjeżdżają? I dlaczego zostają? – spytała. Pomyślała o Kalifornii oświetlonej złotymi promieniami słońca u brzegu ciepłego oceanu.

Hal przez chwilę nie odpowiadał.

– Żeby uciec od czegoś. Albo żeby coś znaleźć, a może odszukać.

– A w pana przypadku – spojrzała na niego badawczo – to jest ucieczka czy poszukiwanie?

Wzruszył ramionami. Zadawała za dużo pytań, które wprawiały go w obce mu w zasadzie uczucie zakłopotania. Nie lubił się zwierzać.

– Przyjechałem, żeby zobaczyć wszystko, co się da. Potem pojedę dalej.

Trudno go rozgryźć. Zwłaszcza, że robi uniki.

– Skąd pan pochodzi?

– Pracowałem w Seattle, w San Diego. Wychowywałem się w stanie Indiana.

– A dalej, dokąd się pan uda?

– Dalej? Może do Bostonu. Albo na Gienlandię. Albo gdzieś w rejon południowego Pacyfiku? Kto wie?

Wagabunda – pomyślała z pewnym podziwem. Jeden z tych, którzy nie mają własnego domu i wędrują z miejsca na miejsce, szukając nowych horyzontów. Nic dziwnego, że wygląda na człowieka mało uległego.

– A pani? – zapytał po chwili. – Czy poza Keenanem szuka pani czegoś tutaj?

– Nie przyjechałam tu do Keenana – odpowiedziała szorstko. – Chodzi mi tylko o zebranie materiałów do artykułu dla gazety, w której pracuję. Jeśli chodzi o Keenana, to nawet nie znam go na tyle, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, po co tu przyjechał. Czy

chciał się czegoś pozbyć, czy coś znaleźć.

– Myślę, że i jedno i drugie. Pozbyć się tego, co w jego życiu było fałszem. A znaleźć coś prawdziwego i realnego.

– Mnie tutaj nic nie wydaje się realne.

Nagle od południowej strony horyzontu na ciemnym niebie ukazało się widmo jarzącej się i falującej zieleni. Wyglądało, jak gdyby ktoś zawiesił na krawędzi ziemi welon niesamowitego światła. Po chwili zniknęło. Jen zamruwała powiekami. Niebo było znowu czarne, a gwiazdy odległe. Ale światło wróciło ponownie. Turkusowa, mgławicowa zasłona ze światła zdawała się tańczyć na tle ciemności. Pulsowała, przygasiała, rozpaliała się. I znowu – przygasiała i rozpaliała się.

Nagle zielonkawe promienie wzniosły się wysoko na niebo, potem rozsypały się w intensywnie żółte pasma, których kolor przeszedł w niespotykaną barwę kwiatów jaskra.

– Nie do wiary... – wyszeptała cicho Jen. Światło rozbłysło mocniej i jego barwa z jasnożółtej przeszła w niepowtarzalny odcień czerwieni. Śnieg odbijał blednący obraz zjawiska.

– Nie do wiary – powtórzyła.

Hal skierował pojazd na pobocze i zatrzymał się, nie wyłączając silnika. Byłoby mu wygodniej, gdyby mógł położyć rękę na oparciu fotela, na którym siedziała dziewczyna. Jednak nie pozwolił sobie na gest, który mógł być odczytany jako zbyt przyjacielski i intymny. Patrzył na sylwetkę dziewczyny, odcinającą się na tle zaróżowionej poświaty.

– Aurora borealis – powiedział cicho. – Zorza polarna.

Zanim ruszył znowu, stał jeszcze parę chwil. Zawsze lubił oglądać to samotnie. Widok był niesamowity i wspaniały, wywoływał uczucie wyzwalania się z ciężaru własnego ciała. Tego wieczoru jednak poczuł dziwną pustkę i niepokój. Zorza weszła tym razem na niebo z niebywałą raptownością i gdyby był przesądny, uznałby to nawet za jakiś omen. Można by myśleć, że czekała na przybycie tej kobiety.

A ona siedziała oszołomiona, wpatrując się w grę światła na ciemnym niebie. Była zachwycona. To, że nie ukrywała swego zachwytu, wprawiło Hala w zakłopotanie. Wrażliwość była ostatnią cechą, o którą posądziłby kogoś z rodziny Martinsonów.

Postanowił wycofać się w rejony, w których poruszał się, najlepiej i odwołać się do nauki.

– Obserwuje pani po prostu zjawisko atmosferyczne. Wypromieniowane przez słońce strumienie cząstek w zetknięciu z rozrzedzonym tlenem i azotem w wyższych warstwach atmosfery...

Zamknij się, idioto – powiedział w duchu. Nawet dla niego samego te słowa zabrzmiały pompatycznie i nudno. Ona zaś zwróciła ku niemu rozjaśnioną jak u dziecka twarz i wypowiedziała najbardziej nienaukową uwagę:

– To magia.

Hal nie wierzył w żadne czary i nie zamierzał zawracać sobie nimi głowy, patrzył na dziewczynę.

Za nią falowała kurtyna delikatnego światła, u góry bladozielonego, a w dole różowego. Warkocz na jej ramieniu lśnił, odbijając światła zorzy.

– Magia – mruknął pod nosem, uruchamiając samochód. – Niech będzie. – Skierował wóz na pustą drogę, wiodącą ku bezpiecznemu, rozsądnemu światu badań naukowych w ośrodku.

W pewnej chwili rzucił Jen niespokojne spojrzenie. Jej twarz wpatrzonej w zorzę miała wyraz takiego oczarowania, jaki miewają kobiety zakochane. Tak, taka kobieta może złamać mężczyźnie serce. Nic dziwnego, że Helena obawiała się jej śmiertelnie, a Keenan nie miał odwagi stawić jej czoła. Ta kobieta musi stąd wyjechać – pomyślał – jak najszybciej.

Zabudowania ośrodka rozciągały się szerokim kompleksem poniżej bijącej łuny światła.

Hal zaprowadził Jen do przeznaczonego dla niej pokoju. Pokój był mały i pusty. Wręczył jej klucze.

– Śniadanie jest o siódmej. Wpadnę po panią za pięć siódma – mówił w sposób wymuszony, jakby przez bolące zęby.

Jego chłód zdziwił Jen. Kiedy zatrzymywali się na drodze, był prawie miły. Teraz znowu zachowywał się z rezerwą.

Spojrzała na niego spokojnie i badawczo.

– Dlaczego pan tak bardzo mnie nie lubi?

Głos miała cichy, a mimo to Hal poczuł wzburzenie. Pomyślał o Brubeckerze uciekającym przed tą kobietą, o przestraszonej Helenie. Pomyślał o Korporacji Martinsona i jej lekceważącym stosunku do przyrody tego kraju. Pomyślał o Zatoce Bristolskiej i szkodach, na jakie narażone byłoby środowisko naturalne, gdyby stary Martinson zdecydował się na wiercenie szybów w tamtym rejonie. Postanowił być szczery, nawet gdyby jego słowa miały zabrzmieć brutalnie.

– Pani nie pasuje do tego miejsca. Jest pani inna niż my tutaj. – Widział, że ją rani. Przekonywał sam siebie, że nie ma wyboru. Przecież nikt jej tu nie zapraszał. Nikt jej tu nie chciał, a najmniej on sam. Kiwnął nieprzyjaźnie głową na pożegnanie, zbliżył się do drzwi i zamierzał wyjść z pokoju.

Uczucie bólu, jakie słowa Hala wzbudziły w Jen, szybko przerodziło się w gniew. Była przecież wnuczką Dagoberta, a to oznaczało, że umiała walczyć.

– Panie doktorze Bailey! – przytrzymała drzwi i przybrała wojowniczą postawę.

– Słucham.

– Pan rzeczywiście jest inny niż ja. Jest pan nieuprzejmy, wrogo do mnie nastawiony i nie jest pan dżentelmenem.

Szacował ją wzrokiem. Zadziwiła go. Nie chciał być impertynentem. Po chwili uśmiechnął się pobłaźliwie. Ona nie może zdobyć nad nim przewagi, chociaż chodzi jej o zrobienie takiego wrażenia. Trzeba pokazać, gdzie jest jej miejsce. Ujął rękę dziewczyny i odchylił rękawiczkę. Jen była zbyt zdumiona, żeby się sprzeciwić, gdy podnosił jej dłoń do ust. Patrzyła tylko, jak lekko się pochyla, nie spuszczać z niej wzroku, i całuje wnętrze przegubu jej ręki.

Poczuła ciepłe wargi. Pod wpływem ciepła tych ust serce jej zaczęło bić jak szalone.

Zasunął rękawiczkę i znowu się uśmiechnął.

– Czy teraz zachowałem się jak dżentelmen? A może powinienem jeszcze uklęknąć?

Jen patrzyła na niego ogarnięta niewiarygodną furją. Chociaż ledwo musnął ją wargami, w miejscu pocałunku czuła zwariowane pulsowanie.

– Pan jest diabłem – wycodziła przez zęby – nieczułym, aroganckim diabłem.

– Słodkich snów – powiedział diabeł i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy dokładnie za pięć siódma Hal zapukał do drzwi, Jen była gotowa. Czekwała na brzegu łóżka, czując się jak więzień w izolatce. Nie spała już od dwóch długich godzin i ucieszyłaby się z czyjejkolwiek obecności, nawet wrogiego Hala Bailey'a.

Otworzyła drzwi i przestraszyła się na widok obcego człowieka. Przystojnego, barczystego, o zdecydowanym zarysie mocnej szczęki i z małym dołkiem w brodzie. Ale te stanowcze, błękitne oczy mogły należeć tylko do Bailey'a. Zastanawiała się, co zmieniło się w jego twarzy. Gdyby nie ten zuchwały błysk w głębi oczu, wyglądałby na całkiem ucywilizowanego. Po chwili uświadomiła sobie, że po prostu zgolił brodę i wąsy. Jego usta były pełniejsze i bardziej zmysłowe niż myślała. To były ładne usta. Wyraziste. Ale w tym momencie wyrażały zniecierpliwienie.

– Co pan ze sobą zrobił? – spytała podejrzliwie. – I skąd ta zmiana?

– Ogoliłem się.

– Ale dlaczego? – Jen czuła przyśpieszone bicie serca. Hal Bailey w swym nowym wcieleniu był nawet bardziej intrygujący niż poprzednio.

– Mam spotkanie w Anchorage. Chodzi o duże pieniądze. – Uznał, że to będzie dobre wytłumaczenie. W rzeczywistości, w czasie porannej toalety, rozmyślając, jak ma tej dziewczynie przekazać do końca wiadomość od Brubeckera, machinalnie zgolił część wąsów, musiał więc dokończyć dzieła. Powinien myśleć o swojej pracy, a nie o dziewczynie.

– No, cóż... – wymamrotała – wygląda pan... dobrze.

– Czy chce pani zjeść śniadanie? Czy woli przyglądać się mojej brodzie?

– Wolę śniadanie – odpowiedziała ostro.

– Chodźmy. – Wyszedł z pokoju energicznym krokiem. Spłowiałe dzinsy podkreślały jego zgrabną figurę. Jen odwróciła wzrok zakłopotana, gdyż uświadomiła sobie, że ciągle mu się przygląda. Pewnie był do tego przyzwyczajony. Nigdy przedtem nie spotkała takiego mężczyzny, w którym było coś tak nieuchwytnego, coś, czego nie umiała określić. Intrygował ją bardziej, niżby tego chciała.

Zamknęła drzwi. Wąski korytarz sprawiał, że stał o wiele za blisko. Spojrzała mu w oczy. Podobnie jak poprzednio doznała wrażenia, przyprawiającego ją o zawrót głowy, że spada z krawędzi ziemi.

Hal ruchem głowy wskazał drogę. Położył rękę na jej talii, chcąc skierować dziewczynę we właściwą stronę. Kiedy ją dotknął, przebiegła między nimi iskra elektryczna. Natychmiast odsunął się. Jen stała w napięciu, przestraszona.

– Elektryczność statyczna – ruszył przed siebie, uważając, żeby się do niej nie zbliżyć. – To przez te konstrukcje.

– Oczywiście – skinęła głową z miną poważną i rzeczową. Wyprzedziła go, a on patrzył na kołyszący się złoty warkocz, sięgający dojrzałe zaokrąglonych bioder. Potarł świeżo ogolony policzek. Przecież jest rozsądny i nigdy nie poddaje się emocjom. Przybrał kamienny wyraz twarzy i podążył za dziewczyną.

Sala jadalna była jasno oświetlona. Jarzeniowe światło mrugało chłodnym blaskiem. Za nieskazitelnie czystą ladą stał krępy mężczyzna z czarnymi, opadającymi do dołu wąsami. Olśniewał bielą ubrania i fartucha. Miał na imię Arnold – tak zwracał się do odpowiedzi uśmiechem na jej uśmiech, wręczając bez słowa napełniony talerz. Hal zaprowadził Jen do stolika. W jadalni nie było nikogo. Jedli śniadanie w krępującej ciszy.

Wreszcie zaczęli napływać inni stołownicy, sami mężczyźni. Kłaniali się Halowi i otwarcie przyglądali Jen. Hal pozdrawiał ich skinieniem głowy, bez słowa. Mężczyźni

widocznie zrozumieli właściwie jego zachowanie, gdyż sadowili się przy innych stolikach i tylko rzucali na Jen ukradkowe spojrzenia.

– Dlaczego pan się nie odzywa do nikogo, dlaczego pan mnie nie przedstawi? – wyszeptwała Jen. – Ta sytuacja jest niezręczna. Czy jestem tu jedyną kobietą?

– Przedstawię panią później – odrzekł Hal, żywiąc w duchu nadzieję, że ona przed południem wyjedzie. – Są tu dwie kobiety, zwykle jadają później. Tu przeważnie mieszkają samotni, starsi naukowcy. No, proszę się odprężyć.

Jen nie mogła się odprężyć. Wszyscy obecni mężczyźni byli w większości atrakcyjnymi, dobrze zbudowanymi brodacami. Jeden z nich otwarcie spoglądał na nią pożądliwie, ale Hal zgromił go wzrokiem.

W pewnej chwili do sali wszedł młody tubylec. Pozdrowił Hala przyjaznym uśmiechem, a następnie wziął tacę ze śniadaniem i podszedł do ich stolika.

– Cześć, doktorze – powitał go młody człowiek. Nie czekając na zaproszenie, położył tacę na stoliku i usiadł przy nim.

– Hi! – podkreślił swą angielską wymowę pozdrowienia. – Jestem Billy Owen. A pani jest na pewno przyjaciółką Brubeckera. Panna Martinson?

Jen z wdzięcznością ujęła wyciągniętą dłoń Billy'ego, choć Hal marszczył brwi nad filiżanką kawy. Wreszcie znalazł się ktoś na tyle grzeczny, że nazwał ją „przyciętą Brubeckera”, a nie „blondynką Brubeckera”. Tego kogoś nie speszyła wrogość Hala i miał odwagę zachowywać się wobec niej przyjaźnie.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Jen. – Ten Billy Owen podobał się jej. Chyba nie traktował życia zbyt serio. Miał starannie ogoloną twarz, a spoza okularów błyszcząły żywe, bardzo czarne oczy.

– A co to się stało? – Billy zwrócił się do Hala.

– Gdzie się podział zarost? Wyglądasz teraz jak ci przystojniacy z telewizji. Będziesz mógł reklamować kremy do golenia.

Jen nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Hal nachmurzył się jeszcze bardziej i zapytał:

– Czy nie za wcześnie na ciebie? Nie jadłeś śniadania w domu?

– Rzeczywiście, jestem dzisiaj wcześnie. Zobaczyłem to, co trzeba, i przyznaję, że było warto.

– Co tutaj robisz? – Jen była zadowolona, że może z kimś porozmawiać.

– Pracuję. Jestem jego asystentem – wskazał na Hala. – Mam zamiar być tak samo znanym biologiem jak on. Tylko że będę bardziej sympatyczny.

Jen roześmiała się.

– Billy – warknął Hal – nie popisuj się. Skoro już jesteś, to sprawdź nasz ekwipunek. Musimy iść na pokrywę lodową.

Billy spoważniał. Hal wstał gwałtownie, spojrzał na Jen zimnym wzrokiem i powiedział:

– Idziemy – po czym ruszył w stronę wyjścia. Jen usiłowała przesłać Billy'emu porozumiewawcze spojrzenie, ale młody człowiek był zakłopotany i nie patrzył na nią. Jen wstała. Byłoby nieuprzejmie, gdyby nie wyszła razem z Halem. Starając się dotrzymać mu kroku zapytała:

– Dlaczego był pan taki nieuprzejmy dla tego chłopca? Usiłował być dla mnie miły.

– Za miły. A w dodatku niegrzeczny. Popisywał się, a pani go jeszcze zachęcała. Nie powinna była pani tego robić. On musi się wielu rzeczy nauczyć.

– Jak nisko się panu kłaniać? Proszę wybaczyć, czcigodny panie, nie zdawałam sobie sprawy, że przebywam w towarzystwie takiej osobistości.

Hal przystanął przed drzwiami, na których napis głosił: Dr Harold K. Bailey. Dyrektor.

Rzucił jej nieprzyjazne spojrzenie. Czuł się zmęczony. Jen komplikowała mu życie, burzyła nie tylko jego spokój, lecz także Keenana i Heleny.

– Dziadek edukował panią w elitarnych szkołach. Czy nie uczyli tam dobrych manier? A, przepraszam, była pani zajęta – czymże to – jazdą na nartach czy surfingiem?

Otworzył drzwi. Policzki Jen płonęły – miała więc potulnie znosić jego wybuchy gniewu? A on może traktować ją jak jakąś pensjonarkę? Zbuntowana, weszła z Halem do biura.

– Na pana miejscu nie mówiłabym o dobrych manierach – udało jej się odpowiedzieć.

Hal stał przed biurkiem i nie zwracał na nią uwagi. Otworzył skoroszyt i przeglądał zapiski. Wyznanie jej całej prawdy do końca wydało mu się doprawdy okropnym zadaniem. Była irytującą osobą i mogła każdego wyprowadzić z równowagi. Chciał przez chwilę wyłączyć ją ze swej świadomości, ale ona była natrętna.

Przystąpiła bliżej biurka i stanęła na wprost Hala.

– Szkoły, do których chodziłam, nie były szczególnie elitarne. A dziadek nauczył mnie jednej ważnej rzeczy – nie jest mi łatwo zaimponować.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem i powiedział, że on również nie ulega łatwo pierwszemu wrażeniu.

– Pan może być wielkim ważniakiem w tej zapomnianej przez Pana Boga i zabitej deskami dziurze, ale to nie upoważnia pana do takiego zachowania.

– On się pani podobał, zdaje sobie pani z tego sprawę? – oczy Hala były najzimniejsze z zimnych.

– Kto mi się podobał? – spytała zaskoczona.

– Ten chłopak – odrzekł z pogardą – Billy. Żadne z was nie zna jeszcze reguł rządzących światem. Z tym, że jego niewiedzę można usprawiedliwić, pani – nie. Zatarasowała mi pani szufladę. Czy może się pani przesunąć, czy mam pani pomóc?

– Co pan ma na myśli mówiąc, że nie znam reguł rządzących światem? I skąd ten protekcjonalny ton?

– Jen stała w miejscu i czuła, jak krew uderza jej do głowy.

– Prosiłem, żeby się pani przesunęła – Hal zacisnął zęby.

– A ja pana proszę o odpowiedź na moje pytanie. Zamknął skoroszyt z hałasem i przysunął się bliżej.

– Billy jest dobrym chłopcem. Ale jest zawieszony pomiędzy dwiema kulturami, dwoma stylami życia. Eskimosi są tradycyjnie bardzo uprzejmymi i małomównymi ludźmi. Ale czasami, tak jak dzisiaj, Billy przestaje być powściągliwy. Dzisiaj posunął się za daleko. Musi się nauczyć pewnych reguł i wiedzieć, które można, a których nie można przekraczać i dlaczego. W przeciwnym wypadku nie osiągnie swych celów.

– Aaa, rozumiem. Nie potraktował swego szefa z należyтым szacunkiem. I kto tu jest snobem? – popatrzyła na Hala lekceważąco.

– Proszę posłuchać. Nie chodzi o kolor skóry. Aleja tu jestem kierownikiem. Tak po prostu jest. Za dziesięć lat być może Billy będzie tu szefem, ale pod warunkiem że będzie znał reguły gry. Nikt z odrobiną rozsądku nie wyśmiewa się z szefa. Zwłaszcza w obecności gościa.

– Jest pan arogancki.

– A pani naiwna. Pani może być rozpieszczona i impertynencka, pani może sobie na to pozwolić, Billy – nie. On może liczyć tylko na siebie.

Jen wyprostowała się. Jej wzrost peszył większość mężczyzn. Hal Bailey nie był speszony.

– Znam panią wystarczająco dobrze. Pani przybywa ze świata równie odległego jak ten, z którego pochodzi Billy. Tak samo izolowanego i oddzielnego od głównego nurtu. Pani nie

zna realiów życia, lecz, w odróżnieniu od Billy'ego, nie musi pani ich poznawać. Ale może będzie pani uprzejma i przesunie się. – Uchwycił ją mocno za ramię i odsunął od biurka – nawet nie poczuła bólu.

Oparła się plecami o przeładowaną książkami półkę, gdyż jego dłonie zdawały się parzyć poprzez rękawy swetra. Nie puścił jej. Nagle wydał się znacznie wyższy.

– Jak pan śmie... – zaczęła.

Zacisnął palce. Błękitne oczy wpatrywały się w Jen, lecz jego wzrok zdawał się mówić, że nie znajduje w niej niczego godnego uwagi.

– Pani niczego nie przeżyła. Pani tylko bawiła się w życie. To pieniądze pani dziadka umożliwiły uprawianie takiego stylu. Pieniądze płynące z ropy naftowej, panno Martinson. Nie bardzo mi się podoba to, co robią nafciarze na Alasce. Teraz mówi się, że pani rodzina ma jeszcze większy apetyt, tym razem chodzi o Zatokę Bristolską. To mi się także nie podoba.

Jen czuła, że serce podchodzi jej do gardła.

– Nie odpowiadam za to, co robi mój dziadek. Ale on ciągle ulepsza metody zabezpieczania przyrody przed zniszczeniem.

– Nie ulepszył ich wystarczająco. Każdy, kto kocha Alaskę, uważa, że Dagobert Martinson powinien trzymać się z daleka od Zatoki Bristolskiej. A poza tym pani dziadek musi przyjąć do wiadomości, że pani nie może zaspokoić każdej swojej zachcianki. Chodzi mi o Keenana. Proszę zostawić i jego i Helenę w spokoju.

– Rozumiem – zdołała powiedzieć.

– Panno Martinson – rzekł Hal celowo oficjalnie – poważnie w to wątpię. Proszę wrócić do San Francisco. I powiedziec waszym dziadkom, że Keenan nie jest na sprzedaż. – Wyjął dużą, żółtą kopertę i wręczył ją Jen.

– Dziennikarze rejestrują fakty. Tu są fakty. Keenan się ożenił. Wczoraj wieczorem.

Jen spojrzała na Hala z otwartymi ustami. Teraz już w ogóle nie mogła oddychać. Była oszołomiona.

– Keenan ożenił się? – czuła, że opada z sił, i usiadła. Twarz Hala była nieruchoma. Był bardziej zły na siebie niż na dziewczynę. Brubecker prosił go o przekazanie nowiny możliwie delikatnie, a on wykonał to zadanie obrzydliwie brutalnie.

Teraz się rozplacze – pomyślał ponuro. Ładnie się spisałeś, Bailey. A ty, Brubecker, do diabła, następnym razem będziesz sam załatwiał swoje brudne interesy. Nie znoszę ranić kobiet, nawet tak bogatych i zepsutych.

Jeżeli Jen spodziewała się odnaleźć w twarzy Hala ślad współczucia, to zawiodła się. Jego to bawi – pomyślała z zamartwionym sercem. Otworzyła kopertę i wyjęła kartkę, pokrytą charakterystycznym pismem Keenana.

„Droga Jen,

Przykro mi, że zawiadamiam Cię listownie, ale tak jest najłatwiej. Gdy będziesz czytała ten list, będę już żonaty. Mam nadzieję, że wyjeżdżając z Kalifornii postawiłem sprawę jasno. Teraz kończę ją definitywnie. Uwierz mi, że uczucie, jakie żywisz do mnie, nie jest miłością, ale jedynie podziwem lub zauroczeniem.”

Zauroczenie? Podziw? – myślała z konsternacją. Dla Keenana?

„Mam nadzieję, że tymczasem skorzystasz ze sposobności, jaka Ci się nadarzyła. Tyle jest fascynujących problemów tu, w Arktyce, więc spodziewam się, że wykorzystasz je w twoich publikacjach (nasze ostatnie odkrycie dotyczące enzymów trawiennych u morsów jest

ogromnie interesujące. Zapytaj też doktora Bailey'a o dwa wieloryby, które znalazły się w nieszczęsnym położeniu). Zawsze będę myślał o Tobie jak o przyjaciółce.

Pozdrowienia – Keenan.

P. S. Sam podaję do prasy wiadomość o moim małżeństwie z Heleną, gdyż myślę, że dla Ciebie i dla mojej rodziny byłoby to zbyt przykre.”

Jen przeczytała list ponownie. Czowała się ogłuszona i nie dowierzała własnym oczom. Nie mogła opanować drżenia rąk.

Powoli podniosła wzrok na Hala.

– Czy pan wie, co jest w tym liście? – Była upokorzona, głos jej załamywał się. Hal skinął głową. Godzinami pocił się nad tym listem razem z Keenanem. Keenan był całkowicie opanowany przy spotkaniu oko w oko z niedźwiedziem polarnym, ale w trudnej towarzyskiej sytuacji czuł się jak wystraszona mysz.

Jen usiłowała uspokoić się. Oddychała głęboko. No tak – pomyślał Hal ponuro – teraz zacznie płakać. – Podał Jen chusteczkę.

– No proszę, niech pani płacze – głos jego brzmiał ochryple. – Rozumiem panią. Myśleliśmy, że będzie lepiej, jak dowie się pani o wszystkim stopniowo. Przykro mi, że byłem taki bezceremonialny. Nie chciałem być niegrzeczny. Wykonanie tego zadania nie sprawiało mi przyjemności. Być może mogłem się lepiej z niego wywiązać.

Jen patrzyła, nie rozumiejąc, o czym on mówi. Zastanawiała się, po co dał jej chusteczkę. Czyżby naprawdę myślał, że ona zamierza się rozplakać? Uśmiechnęła się słabo.

– Ożenił się. I on rzeczywiście myślał, że ja chcę jego, tego nieznośnego faceta?

– Co takiego? – Hal nie był pewien, czy dobrze słyszy. Ponownie podał jej chusteczkę, którą Jen odsunęła.

– On rzeczywiście myśli, że ja chciałam wyjść za niego za męża – roześmiała się krótko, bez radości.

– I również pana o tym przekonał.

Hal cofnął się. Zachowanie dziewczyny wskazywało, że jest w szoku. Lekki uśmiech błędził na jej wargach.

– Jak ja bym mogła kochać Keenana?

– To całkiem zrozumiałe – odparł Hal. – On jest znakomitym biologiem, wspaniałym człowiekiem. Poważnym. Sumiennym. Zna go pani od dziecka. Jest bogaty. No i obie wasze rodziny chcą tego związku.

– On jest nudziarzem – w głosie Jen brzmiał gniew i konsternacja. – Gdy szliśmy razem na plażę, spędzał cały czas z nosem w kałużach, pozostawionych przez przyływ i przyglądał się jeżom morskim.

Hal patrzył na nią z niedowierzaniem. Najwyraźniej stara się teraz pocieszyć. Skoro nie może mieć Keenana, zaczyna wyliczać jego wady.

– Keenan jest niższy ode mnie. Nie znosi słońca, bo ma delikatną skórę. Był dla mnie bardzo serdeczny i mówiłam mu, że go lubię bardziej od innych mężczyzn. Jest miły, nieśmiały, ale nieznośny i nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham. Ani że chcę wyjść za niego.

Patrzyła na Hala, jakby od niego oczekiwała wyjaśnienia tego bezsensownego posądzenia o miłość do Keenana.

– A teraz się ożenił i uciekł. Życzę mu szczęścia, ale mam nadzieję... – zastanawiała się przez chwilę.

– Czy on naprawdę kocha Helenę, a ona jego?

– Kocha ją – Hal skinął głową. – Powiedział swojemu dziadkowi, że zamierza ją poślubić, ale starszy pan nie zgodził się na to małżeństwo. I wysłał panią. A oni postanowili stworzyć fakty dokonane.

– To oznacza, że ja właściwie spełniłam rolę Kupidyna. I Keenan zapewne nie wróci przed moim wyjazdem?

– Tak, dałem im urlop na miodowy miesiąc. Wrócą za trzy tygodnie. Proszę pani, będę obcesowy. On nie chce się z panią widzieć. Ma żonę i będzie im razem dobrze.

– A tymczasem pan natknął się na mnie. I pan też ma nadzieję, że ja szybko stąd wyjadę. Już teraz nie może pan znieść mojej obecności. Nie podobam się panu.

– Byłoby lepiej, gdyby pani wyjechała – twarz Hala pociemniała. – Mówiąc szczerze, dla kogoś noszącego nazwisko Martinson Arktyka nie jest najlepszym miejscem do zawierania przyjaźni. Pani dziadek nie jest tutaj lubiany. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, to jest jasne. Nie mogę Keenanowi wybaczyć, że nie dał mi możliwości opublikowania tej jego historii. Po raz pierwszy w życiu miałabym jakiś ciekawy temat, a on mnie nawet nie zawiadomił. I już podał do prasy anons o swoim małżeństwie, prawda? – Spojrzała na zegarek. – A pan wybrał także odpowiedni moment na wyjawienie mi prawdy. Chodziło o to, abym przypadkiem nie dowiedziała się wcześniej, zanim ukaże się ta wiadomość w gazecie?

Hal skinął głową.

– Zatem ja, reporterka, dowiaduję się ostatnia. A o tym można było napisać. I dlatego w moim pokoju nie było telefonu? Żeby uniemożliwić mi jakikolwiek kontakt, zanim to małżeństwo nie dojdzie do skutku i ja przestanę być dla nich niebezpieczna!

Czuła, że ma trochę miękkie kolana i jest nieco skołowana, ale ogarnęło ją oszalamiające uczucie wolności, o wiele silniejsze i bardziej upajające niż wtedy w San Francisco. Teraz nikt nie będzie mógł nalegać na jej małżeństwo z Keenanem. Keenan obdarzył wolnością ich oboje. To był absurdalnie śmieszny dowcip. Jen zrobiło się prawie słabo z radości. Hal stanął przed nią. Wyglądał jeszcze bardziej posępnie.

– Jakie ma pani plany?

– Chcę pojechać do Anchorage – uśmiechnęła się, ale był to raczej niepewny uśmiech. – Zamierzam poszukać pracy. Powiedziałam dziadkowi, że nie wrócę do domu, i zamiaru nie zmienię.

– Czy pani dobrze się czuje? Czy nie zamierza pani zemdleć?

Roześmiała się, co Hal uznał za niedobry znak.

– Dziękuję za gościnność. Będzie pan miał niewątpliwą przyjemność pozostania jedynie w swoim własnym towarzystwie.

Przestraszyła się, gdy jego ramiona błyskawicznie objęły ją i znalazła się w nich uwięziona. Przycisnął ją do piersi. Ich usta prawie zetknęły się. W trwodze przymknęła oczy.

– Nie jest pani sama – powiedział szorstko. – Wszystko jest w porządku. – Ledwie mogła oddychać w uścisku jego ramion.

– Jestem sama i bardzo mi się to podoba – zaprotestowała. – Niech pan nie będzie taki poważny. To jest naprawdę bardzo śmieszne. Chce mi się śmiać, śmiać...

– Powiedziałem, że nie jest pani sama. Proszę przestać histeryzować. Niech się pani opanuje.

Przyciśnięta tak blisko do niego, czuła jeszcze większy zawrót głowy. Choć zniewolona w jego ramionach, nie mogła powstrzymać uśmiechu. W tych ramionach było jej bardzo dobrze.

Hal patrzył na nią uważnie. Było z nią gorzej, niż się spodziewał, mogła osunąć się na podłogę.

– Proszę głęboko oddychać, wszystko będzie dobrze. Może już pani wracać do domu, do pracy, do dziadka.

– Nie, nie wracam do domu. A dziadek musi zrozumieć, że nie może decydować o moim życiu. Jadę do Anchorage. Albo do Fairbanks. Gdzie jest przyjemniej?

– Niech się pani liczy z rzeczywistością – ostrzegł.

– To, co mi się przytrafiło, to nie jest rzeczywistość – roześmiała się. Walczyła z irracjonalną pokusą zarzucenia mu rąk na szyję.

– Proszę się nie śmiać. Czy nigdy nic nie wydaje się pani rzeczywiste? – zapytał prawie z gniewem.

Skinęła głową.

– Tak, myślę, że pan jest rzeczywisty.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Zwolnił nieco uścisk. Pochylił głowę. Myślała, że chce ją pocałować. Uświadomiła sobie ze zdumieniem, że bardzo pragnie tego pocałunku. Zamknęła oczy.

– Nie – powiedział – ja nie postępuję w taki sposób.

– Co pan powiedział? – otworzyła oczy. Jego usta były bardzo blisko, ale to nie były usta gotowe do pocałunku.

– Pani uważa, że została odtrącona. Ale proszę nie próbować udowodniać mi, że Keenan nic panią nie obchodzi. Pomogę pani, w czym tylko będę mógł. Ale nie w ten sposób. W taką grę nie gram.

Uniesienie Jen minęło, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Oboje drgnęli na odgłos pukania do drzwi. Wypuścił ją z ramion, a ona odsunęła się.

– Proszę usiąść – mruknął – nigdzie pani nie pojedzie. Niech się pani zachowuje rozsądnie. Najpierw pani histeryzuje, a teraz usiłuje mnie uwodzić – pokręcił głową w rozdrażnieniu.

Jen usiadła, nie mogła już utrzymać się na nogach. Z pewnością nie usiłowała go uwodzić, jednak sama nie umiała ocenić jednoznacznie swego zachowania. Czowała rozgardiasz myśli i uczuć. Rozległo się ponowne pukanie. Hal przygładził włosy i otworzył drzwi. Zobaczył sympatyczną twarz Billy’ego Owena.

– Ach, jesteś już gotowy? Będę tam za chwilę. Jen jakby przez mgłę słyszała słowa Billy’ego. Mówił coś o wielorybach. Wielorybach uwieczonych w zamrożonym morzu.

– Człowiek z Biura Federalnego wreszcie zatelefonował i zostawił wiadomość u nas w centrali. Jeżeli sytuacja się nie zmieni, przyjedzie tu za trzy dni.

Jen patrzyła na chłopaka nieprzytomnie. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Billy był zatroskany.

– One chyba nie są skazane na zagładę. Mam dziwne przeczucie. Nie jestem zabobonny, ale widziałem, jaka niesamowita była zorza zeszłej nocy. Człowieku, to było niezwykłe zjawisko. Moja babcia powiada, że będą się działy dziwne rzeczy – zostały uwolnione jakieś niezwykle moce.

Hal zaczął strofować Billy’ego za nienaukowe poglądy, lecz zrezygnował z reprimendy. Poza tym wiedział, że ludzie z plemienia Inupiat mogą więcej powiedzieć o Dalekiej Północy niż naukowcy.

– Zaraz wszystko sprawdzimy. Podstaw samochód przy wschodniej bramie za pięć minut.

Billy rzucił zaciekawione spojrzenie w stronę Jen, ukłonił się i wyszedł. Hal patrzył na Jen bez słowa. Ciągle była blada i drżąca.

– Co się stało? – zapytała.

– Mamy tu dwa młode walenie, to znaczy wieloryby, uwięzione w lodzie. Coś z tym trzeba zrobić.

Jen zmarszczyła brwi. Słyszała o wielorybach, które wypływały z wody na mieliznę. Nigdy o uwięzionych w zamrzniętym morzu.

– I co pan zamierza?

Hal został tak uwikłany w idiotyczne problemy Keenana, że prawie zapomniał o wielorybach.

– Nie wiem. – Odwrócił się w stronę leżącego na biurku raportu z prognozą pogody. Nie była zbyt obiecująca, ale też nie beznadziejna. Kolejny raz żałował, że ta kobieta dotąd nie wyjechała. Musi się nią jeszcze trochę zająć, przynajmniej dopóki nie wróci do równowagi.

– Zabiorę panią z sobą – jego głos był prawie uprzejmy. – Może będzie pani mogła coś napisać na ten temat. Może to gdzieś kogoś zainteresuje.

Biedne wieloryby, pomyślała Jen, chyba są w okropnym położeniu. To straszne, być uwięzionym wśród lodu, bez możliwości powrotu do domu.

– Czy pan uważa, że to nikogo nie obchodzi? Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nikogo to nie obchodzi. Tak, naprawdę – nikogo.

– A pana obchodzi ich los? – Jen spojrzała na kamienną twarz Hala. Była tak poważna, że ścisnęło się jej serce. Zmierzył ją wzrokiem.

– Są problemy, które trzeba rozwiązać. Za to mi płacą – wzruszył ramionami i wrócił do studiowania prognozy pogody. Jen, ciągle rozdygotana, obserwowała go z zakłopotaniem. Zastanawiała się, czy za tym niezachwianym spojrzeniem kryją się jakiegokolwiek uczucia. Może był tak uczuciowo oziębły, że cierpienia uwięzionych zwierząt wcale go nie obchodziły. A może jednak, może tak bardzo się przejmuje, że nie chce o tym mówić, bo swoich prawdziwych i głębokich uczuć nie wystawia na widok publiczny. Pomyślała, iż być może ten człowiek nie jest ani tak stanowczy, ani nieustępliwy, za jakiego sam się uważa.

Nie – rozważała dalej – on nie jest taki. Nie mogła nawet wyobrazić sobie, że Hal potrafi naprawdę czymś się przejąć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jen, okutana w swoje ciepłe, zimowe ubrania, siedziała z nieszczęśliwą miną, ściśnięta pomiędzy Halem i Billym Owenem. Hal powiedział: „Muszę panią mieć na oku. W takim stanie nie mogę zostawić pani samej. „ Hal nie tylko traktował ją jak rozpieszczone dziecko, zakochane w Keenanie, ale w dodatku był pewny, że ona jest na skraju rozpacz i hysterii.

Wokół nich, pod smugami niesamowitego błękitu nieba, rozciągał się ląd Arktyki, płaski jak równiny Nebraski.

– Czy sądzi pan, że wieloryby są skazane na śmierć? – spytała, patrząc na ostry profil Hala. Pogrążony w niewesołych myślach wzruszył jedynie ramionami. Dziewczyna powinna powrócić do domu, ale nie mógł jej pozwolić na wyjazd w tym stanie emocjonalnym. Hal milczał, ale Billy’emu nie zamykały się usta. |

– To są pływacze – kalifornijskie wale szare. Przyplłynęły tu z Kalifornii na okres letni i już powinny były powrócić na południe. Ale te dwa szybko stąd nie odpłyną. Są uwięzione w zamrożonym morzu. Znalazł je myśliwy. Mają tylko niewielką szczelinę z nie zamrożoną wodą, gdzie mogą oddychać. A szczelina robi się coraz mniejsza.

– Więc uważasz, że one tam zginą? – przeraziła się Jen.

– Być może. W tym lodzie nie przetrwają. Wieloryby grenlandzkie mogłyby przeżyć. Ich budowa jest przystosowana do warunków arktycznych, potrafią przebijać się przez lodowe kry i wybijać otwory oddechowe. Udałoby się im wydostać na otwarte morze. Tym tutaj to się nie uda.

– To straszne – powiedziała.

– Tu jest Arktyka. Tylko silni mogą przeżyć. Mimo ciepłej kurtki Jen nagle zrobiło się zimno.

Spojrzała na obcy krajobraz. Była już prawie dziesiąta i słońce zaczęło wschodzić. Ku jej zdumieniu wschodziło na południowej stronie horyzontu. Droga z ośrodka szybko przeszła w szlak wiodący w nicość i Jen zorientowała się, że samochód jedzie już po białym, twardym jak kamień morzu.

Billy, któremu imponowało, że jest źródłem informacji, podawał Jen dalsze szczegóły. Wieloryby zostały dostrzeżone przez myśliwego, który poszukiwał śladów fok. Ten myśliwy, to wujek Billy’ego, Eskimos z Ultimy, Warren Tipana. Wieloryby są młode i nie bardzo duże, jeden ma około dziesięciu metrów, a drugi nawet mniej. Dorosły pływak osiąga trzynaście, a bywa, że i piętnaście metrów długości. Te głupiutki, młode stworzenia zbyt długo zostały w zimnych wodach. Teraz mogą zapłacić najwyższą cenę za swoją lekkomyślność, chyba, że pokrywa lodowa zacznie pękać. Ta lodowa pułapka znajduje się w odległości wielu kilometrów od jakiegokolwiek szlaku, wiodącego na otwarte morze. Zwierzęta mają jeszcze ciągle dostęp do powietrza, ale są poranione. Pokaleczyły się o ostry lód, gdy szukały drogi ucieczki.

Niezwłocznie po otrzymaniu wiadomości o uwięzionych wielorybach Hal wraz z Keenanem, Billym i Warrenem Tipaną pojechali zobaczyć, co można dla nich zrobić. Za pomocą pił łańcuchowych wycięli w lodzie dwa nowe otwory oddechowe, które mogły wyprowadzić wieloryby w kierunku otwartego morza ale one, przestraszone, nie chciały płynąć w tym kierunku. Wydawało się, że zwierzęta są przestraszone i zdają sobie sprawę, że znalazły się w potrzasku bez wyjścia. Szczelina, z której teraz korzystają, jest mała, ma może jedenaście na siedem metrów. Dla zaczerpnięcia powietrza zwierzęta muszą wynurzać się prawie pionowo. Ich mięso nie nadawałoby się do jedzenia.

– Do jedzenia? – zawołała Jen przerażona. – Przecież nie można jeść mięsa wielorybów, to byłoby nielegalne. Istnienie tego gatunku jest biologicznie zagrożone.

– Podobnie jest z Warrenem Tipaną – przerwał milczenie Hal – i z dziewięćdziesięcioma procentami ludności Ultimy.

– Dobrze porównanie – mruknął Billy, którego nagle opuściło dotychczasowe ożywienie.

– Co to znaczy? – spytała.

– To znaczy – odpowiedział Hal, spoglądając na rozpościerające się wokół równiny – że na tej ziemi od pięciu tysięcy lat żyli Eskimosi. Stworzyli jedyną w swoim rodzaju kulturę na świecie. Teraz, po tylu wiekach, jest zagrożona. Ich tradycyjne obyczaje giną.

Jen poczuła się trochę zawstydzona.

– No tak, ale nikt nie ma prawa zabijać wielorybów i jeść ich mięsa. Przecież są pod ochroną.

– Ludzie z Ultimy zawsze byli myśliwymi – Hal spojrział na nią chłodno. – To w związku z wielorybnictwem powstało miasto. Ludzie tutaj musieli polować, żeby przeżyć. I nadal muszą. Międzynarodowa Komisja Wielorybnicza ustala rocznie liczbę wielorybów, które wolno odłowić. Na ten rok ustalono pewien dozwolony kontyngent wali grenlandzkich, a także i wali szarych.

– Chwileczkę – Jen usiłowała zaprotestować – czy to znaczy, że te biedne wieloryby mogą być legalnie zabite?

– To znaczy, że wolno je odłowić. – Ciemne oczy Billy’ego spotkały się z jej wzrokiem.

– Ludzie muszą żyć. Muszą jeść. My odławiamy tylko tyle, na ile mamy zezwolenie.

Jen w pierwszej chwili chciała znowu zaprotestować, lecz ton głosu Billy’ego powstrzymał ją. Zrozumiała, że Billy jest dumny ze swego dziedzictwa, z obecności trwania swych przodków na tej surowej ziemi przez tysiące lat. Nie miała prawa krytykować tutejszych obyczajów kulturowych tylko dlatego, że były odmienne od jej własnych. Oczywiście, Eskimosi zawsze utrzymywali się z polowania. Uprawianie jakichkolwiek zbóż było tu niemożliwe. Problemy Arktyki okazały się o wiele bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażała.

Pomyślała o wystawionych na niebezpieczeństwo wielorybach, walczących o przeżycie. O Eskimosach, starających się dostosować do nowych warunków życia i wytrwać, o ich kulturze zagrożonej przez narzuconą im cywilizację. Pomyślała o korporacjach przedsiębiorstw naftowych, takich jak Dagoberta, walczących o zdominowanie przyrody i doprowadzających do zmian w każdym środowisku, do którego dotrą, nawet w tym dalekim zakątku świata.

Zatrzymali się i wyładowali bagaże. Niosąc przywieziony ekwipunek, posuwali się w głąb zamrożonego morza. Jak powiedział Billy, od ośrodka dzieliło ich prawie szesnaście kilometrów. Teraz kierowali się w stronę ledwie widocznego punktu, odległego o półtora kilometra. Była to szczelina w pokrywie lodowej, dzięki której zwierzęta mogły oddychać. Wiał lekki wiatr, niebo było przepięknie niebieskie, a mróz, choć szczypał w policzki, nie dokuczał tak bardzo, jak Jen się obawiała.

Błękitno-biały lód pokryty był warstwą sypkiego śniegu. Natomiast odległe, nie zamrożone wody morza lśniły kolorem ciemnoniebieskim i ozdobione były wielkimi bryłami lodu, unoszącymi się na falach. Wspięli się na jedno z lodowych spiętrzeń i szybko pokonali pozostały odcinek lodu, dzielący ich od szczeliny.

W chwili gdy ciemna woda w szczelinie potężnie zafalowała, Jen zapomniała o Halu, bowiem ponad powierzchnią wody ukazał się jakiś kształt. Jego wysokość odpowiadała wzrostowi mężczyzny, a szerokość – wymiarom trzech złączonych ze sobą ludzi. Zobaczyła wytryskujący w górę potrójny, lśniący! tęczą strumień pyłu wodnego i usłyszała oddech, !

przypominający ciężkie westchnienie.

Stała jak wryta. Machinalnie przysunęła się do Hala i mocno ścisnęła jego ramię. Ogarnęło ją uczucie podziwu i przerażenia. To była głowa wieloryba z widocznymi skaleczeniami od ostrych krawędzi lodu. Miał nieproporcjonalnie małe oczy, ale jego spojrzenie wydawało się smutne, mądre i ludzkie.

– Wielkie nieba – szepnęła Jen bezwiednie. Jeszcze mocniej zacisnęła palce na ramieniu Hala, a on nakrył je swoją dłonią. Stała jak sparaliżowana. Patrzyła na wystającą z wody głowę uwięzionego w pułapce olbrzyma i wsłuchiwała się w jego ciężki oddech. Zanim zdążyła ochłonąć po przeżytych szoku, z falującej powierzchni wody wynurzyła się druga, mniejsza głowa. Do ciemnego pyska przylgnęły jakieś skorupki. Wielka paszcza ułożona była w charakterystycznym, smutnym uśmiechu. Oczy zwierzęcia zdawały się wpatrywać w Jen i badać ją ostrożnie.

Powolny, ciężki oddech rozdzierał Jen serce. Wieloryby były ogromne, ale męka, jaką sprawiało im oddychanie, odsłaniała ich słabość. Tylko dzięki temu maleńkiemu obszarowi nie zamrożonej wody mogły znaleźć powietrze, utrzymujące ich przy życiu.

Jen spostrzegła, że najbliższa przestrzeń otwartego morza rozciąga się w odległości kilku kilometrów. Wieloryby nigdy nie zdołają się tam przedostać, gdyż po drodze musiałyby zbyt długo przebywać pod lodową pokrywą bez powietrza.

Hal też patrzył na dwie wielorybie głowy, wznoszące się w zimnym powietrzu. Ciągłe trzymał Jen za rękę, ale zdawało się, że zapomniał o jej istnieniu. Odezwał się cicho w kierunku wielorybów:

– No co, chłopcy, jesteście w kłopotach? Najgorsze, że wiecie o tym – zaklął pod nosem. Odsunął nieświadomie rękę Jen i ukląkł przy nierównej krawędzi szczeliny. Większy wieloryb przyjrzał mu się i ruszył w jego kierunku.

– To zwierzę wpadło w panikę – myślała przerażona Jen – i zamierza go zabić. – Cofnęła się, ale Hal klęczał nadal. Ku zdumieniu Jen wieloryb przypląnął wprost do krawędzi lodu. Kiedy Hal wyciągniętą ręką dosięgnął głowy wieloryba i zaczął ją głaskać, Jen nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zwierzę kołysało się w wodzie i zdawało się oceniać znaczenie ludzkiego gestu.

– Bracie – przemówił do niego Hal, głaszcząc głowę wieloryba długimi, łagodnymi ruchami – powinieneś popłynąć na południe. Jeśli lód nie popęka, staniesz się łupem polarnego niedźwiedzia.

Serce Jen biło głośno. Trudno było uwierzyć, ale wieloryb nie tylko pozwalał się głaskać, lecz nawet pragnął tej pieśczoły. Jakby człowiek i zwierzę rozmawiali ze sobą w jakiejś tajemnej mowie, której ona nie mogła usłyszeć.

Potem wieloryb nabrał ostatni haust powietrza i zniknął pod powierzchnią. W kilka sekund później zanurkował za nim drugi. W ciągu jednej chwili powierzchnia wody uspokoiła się.

Hal wstał i z poważną twarzą zwrócił się do Billy'ego.

– Przygotuj wideokamerę. I hydrofon. – Rzucił krótkie spojrzenie na Jen, a następnie przeniósł wzrok na odległy horyzont.

– No co, pani dziennikarko, co pani o tym myśli?

Zabrzmiało to ironicznie i Jen, zażenowana i wstrząśnięta tym, co zobaczyła, starała się zapanować nad swymi uczuciami.

– Czy one znajdą powrotną drogę? Czy nie wypłoszyliśmy ich?

– Nie mają dokąd odpłynąć. Widzi pani, jak daleko stąd do otwartego morza.

– On pozwolił się panu dotknąć – szepnęła.

– Niektóre z nich to lubią. Wieloryby odznaczają I się ciekawością i inteligencją. Mają wysoko rozwinięty zmysł dotyku. Jeżeli już raz pozwolą na taki kontakt, to zwykle wracają i chcą, żeby je głaskać.

– Tam daleko widać dużą szczelinę – Jen patrzyła na odległe miejsce, rysujące się na obszarze wiodącym ku nie zamrażonemu morzu. – Czy jest szansa, żeby tam dotarli?

– To się nazywa szczelina spławna – Hal wziął kamerę z rąk Billy’ego. – W takim miejscu lód przez cały czas jest ruchomy. Być może taka nowa szczelina jeszcze się gdzieś bliżej otworzy. Nie można przewidzieć, co się zdarzy.

– Jeżeli nie będzie większego mrozu, zwierzęta mają szansę – dodał Billy, sprawdzając drugą kamerę.

Jen spojrzała na chłopca z niepokojem.

– Co masz na myśli? Przecież to Arktyka. Mróz będzie na pewno większy.

Hal ostrzegł Billy’ego wzrokiem. Nie chciał, żeby dziewczyna zbyt emocjonalnie przeżywała tę sytuację. Na nic by się to nie przydało. Zląkł się nawet, że ona może silniej przejąć się kłopotami wielorybów niż wiadomością o małżeństwie Keenana. Odpowiedział za chłopca:

– W tym roku całe lato było niezwykle zimne. I cała jesień. Prawdopodobnie dlatego wieloryby znalazły się w potrzasku. Jeżeli mróz się załamię, mają szansę.

– Tylko szansę? I to wszystko?

– Tak, jest taka możliwość. Tylko taka.

– A jeżeli nie ociepli się? Co wtedy?

Było mu jej żal, ale nie miał zamiaru kłamać.

– Jeżeli pogoda się pogorszy, będziemy musieli z nimi skończyć. Dlatego właśnie przyjeżdża ten człowiek z Urzędu Federalnego. Pomoże nam w ocenie sytuacji. Dopilnuje wszystkiego, jeżeli trzeba będzie położyć kres ich cierpieniom.

– Nie, nie możecie tego zrobić! – zawołała Jen.

– Możemy być zmuszeni. To może być najlepsze wyjście.

– Nie! – Jen uświadomiła sobie, że jej krzyk brzmi jak protest dziecka, które nie może pogodzić się z okrutną rzeczywistością.

– Musimy czekać i zobaczymy, co będzie – uciał Hal. W czasie rozmowy o Brubeckerze Jen ani razu nie podniosła głosu. Teraz Hal bał się, że naprawdę gotowa jest płakać nad losem wielorybów. Zrobił już wszystko, co było możliwe. Wykuł nowe otwory oddechowe, które mogły przybliżyć im wolność. Ale na nic się to nie zdało. Według zarejestrowanych relacji naukowych nikomu do tej pory nie udało się rozwiązać takiego problemu. Nie było precedensu, żadnych opracowanych metod ani wskazówek. I choć Hal szczerze chciał uratować zwierzęta, nie wiedział jak to zrobić. Tak to wyglądało.

– Co pan zamierza zrobić? – spytała. – Stać i patrzeć?

– A czego pani wymaga ode mnie? – zniecierpliwiał się. – Mam je wyłowić i przenieść na pełne morze? Naprawdę żal mi ich. Mam nadzieję, że zmiana pogody je ocali. A tymczasem musimy wykorzystać czas najlepiej jak potrafimy.

– Wykorzystać? Na co? – Jen była niemal gotowa bić się.

– Na prace badawcze – odpowiedział. Mamy niepowtarzalną okazję przeprowadzenia obserwacji.

– Na prace badawcze – powtórzyła z pogardą.

Zaczęła przeszukiwać swoją torbę. Ale nie wyjęła z niej ani aparatu fotograficznego, ani magnetofonu, ani nawet notesu. Wyjęła jedynie mały, czerwony scyzoryk z kilkoma ostrzami. Odeszła od mężczyzn i skierowała się w stronę krawędzi szczeliny.

– Proszę zostać – ostrzegł Hal. Nie zna pani powierzchni lodu, po którym pani stąpa. To nie ślizgawka. Co pani wyprawia?

Jen uknęła przy samym brzegu szczeliny i zaczęła kuć lód scyzorykiem.

– Gdy wy będziecie prowadzić swoje prace badawcze – zawołała – ja mam zamiar spróbować powiększyć szczelinę.

Hal patrzył na Jen z niedowierzaniem. Dziewczyna na klęczkach kuła lód ze wszystkich swych sił. Pokiwał głową. Brubecker miał rację. Ona była ciągle dzieciakiem. Nawet nie usiłowała robić notatek na temat jedyne w swoim rodzaju zjawiska. Zamiast tego próbowała jedną ręką, za pomocą scyzoryka, uwolnić dwa wieloryby. Miał ochotę podejść do niej, podnieść ją i zażądać, żeby spojrzała prawdzie w oczy. Ale nie zrobił tego. Była idealistką o miękkim sercu, próbującą pomóc dwóm stworzeniom, które – podobnie jak ona – znajdowały się nie tam, gdzie być powinny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nagle ponownie pojawił się większy wieloryb. Rozdzielił wodę pokaleczonym nosem i wypuścił w powietrze pióropusz wodnego pyłu. Wciągnął długi oddech, wydając smutne westchnienie. Zdawało się, że patrzy Halowi prosto w oczy.

Hal odwrócił wzrok i uruchomił kamerę wideo. Nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. Razem z Billym, Keenanem i Warrenem o mało nie przymarzli do lodu, gdy wycinali nowe otwory oddechowe. Ochrypl przy telefonie, usiłując uchwycić kogoś z ochrony wybrzeża, kto mógłby przysłać maszynę do cięcia lodu. Telefonował do wszystkich biur federalnych, zajmujących się wielorybnictwem. Nikt nie miał zamiaru pospieszyć z pomocą.

Teraz nie mógł już nic więcej zrobić. Mógł tylko obserwować i mieć nadzieję na zmianę pogody. Nie mógł spełnić pragnień tej dziewczyny z warkoczem, kołyszącym się na plecach, która z całych sił kuła lodową pokrywę. Nie obchodziły ją ani trochę naukowe badania. Pracowała do południa, dopóki kolana i palce zupełnie nie zdrętwiały. Wreszcie Billy podniósł ją z kolan. Rozgoryczona i wyczerpana, nie opierała się. Ostrza scyzoryka były połamane, pogięte albo stępione, a rękojeść popękana.

Wrócili do samochodu, którego silnik pracował przez cały czas, żeby ogrzać się w ciepłe jego wnętrze.

Zjedli obiad, składający się z sera i krakersów, i popili mocno osłodzoną i gęstą od śmietanki kawą. Hal zaproponował Jen, żeby została w ciepłej kabinie samochodu, ale odmówiła. Stała na mrozie i patrzyła na wieloryby, które co jakiś czas wyłaniały się nad powierzchni wody i znowu pod nią się kryły.

Widok Hala nagrywającego sceny z wielorybami na taśmę wideo i Billy'ego, obsługującego hydrofon, uświadomił jej w pewnej chwili, że przyjechała tu rzekomo po materiał do reportażu. Hal rozwił jej nadzieję, że szeroka opinia publiczna może być zainteresowana opisem ciężkiego położenia wielorybów. Uważał, że wystarczy wzmianka do gazety. Powinna wiedzieć, że wieloryby giną w podobnych pułapkach na tych wodach co roku i takie przypadki odnotowano ostatniej wiosny. Tym razem po prostu można oglądać zwierzęta z bliska.

– A pan się tym nie przejmuje? – spytała.

– Oczywiście, że się zajmuję – to ostatnie słowo wymówił z sarkastycznym naciskiem. – Nie wykonywałbym takiego zawodu, gdybym się nie zajmował losem wielorybów. Ale tutaj warunki bytowania są szczególnie trudne. Nie wszystkie zwierzęta mogą przetrwać. Taka jest rzeczywistość i nikt nie może jej zmienić, ani pani, ani ja. Nikt.

– Czy pan w ogóle coś odczuwa? Czy pan rzeczywiście uważa, że nikt nie ma zamiaru przejąć się losem tych nieszczęsnych stworzeń? – Zdawała sobie sprawę, że jego postawa jest typowa dla naukowca, lecz uważała, iż tylko człowiek bez serca może w tej sytuacji reprezentować wyłącznie pogląd naukowy.

– Tak uważam. Brakuje nam tu biologów, ekologów i specjalistów od rybołówstwa.

Ktoś mógłby się przejąć ich losem – Jen z uporem powtarzała w myślach. Naciągnęła kaptur i wyszła z wozu. W ciągu popołudnia robiła zdjęcia wielorybów i nagrywała na taśmę magnetofonową powtarzające się i nie dające jej spokoju odgłosy, jakie wydawały przy oddychaniu.

Było jej zimno. Czowała się zmęczona i zawiedziona. Wydawało się jej, że wypływające wciąż wieloryby wzywają ją na pomoc. Wreszcie przemogła obawę i zbliżyła się do większego z nich. Ogarnęło ją wzruszenie, gdy pozwolił się pogłaskać i za chwilę wrócił, jakby prosząc o powtórzenie pieszczoty.

– Witaj, wielki walu – głos Jen drżał z emocji. – Ty i twój przyjaciel musicie się stąd wyrwać.

Słońce zaczęło zachodzić wczesnym popołudniem. Pograżało się za tę samą, południową stronę horyzontu, znad której wschodziło. Jen czuła wzrastający chłód i uświadomiła sobie, że zapada długa, arktyczna noc.

– Czy szczelina zamrznie dzisiejszej nocy? – zapytała, gdy Hal prawie siłą prowadził ją do samochodu.

– Nie, prawdopodobnie jeszcze nie. Wejdźmy do środka.

Jen ociągała się, gdyż ciągle miała nadzieję, że tam, na zewnątrz, ukaże się jakaś droga wyzwolenia zwierząt.

– Prowadź – Hal wręczył kluczyki Billy’emu. – Muszę na nią uważać – pomyślał.

– Jeżeli pozwolę blondynce Brubeckera odmrozić sobie nos, narażę się na jego wymówki – powiedział głośno.

– Już panu mówiłam – warknęła Jen – że nie jestem blondynką Brubeckera ani w ogóle niczyją. Proszę martwić się o wieloryby, a nie o mnie.

Hal wdrapał się na siedzenie koło Jen i nalał jej resztę kawy. Wbrew sobie była mu wdzięczna, gdy poczuła, jak gorący kubek rozgrzewa jej palce, a każdy łyk rozlewa się ciepłem w przemarzniętym ciele.

Hal ujął jej rękę i zachmurzony zaczął dokładnie oglądać, cofnęła dłoń, ale on nie przejął się tym gestem i sięgnął po drugą.

– Do diabła – zaczął masować szarawe miejsce, widoczne na przegubie. Przeniknęło ją ciepło jego palców.

– Nic mi nie jest. Nie jestem głupia i wiem, kiedy zejść z lodu. Odkąd nauczyłam się chodzić, jeżdżę na łyżwach. Lód widziałam nie tylko w koktajlu.

Znowu poczuła dreszcz zimna i z irytacją zagryzła wargi. Hal był ostatnią osobą, której mogła okazać swoją słabość.

Billy coś wymamrotał. Hal rzucił mu nerwowe spojrzenie.

– O co chodzi? – Nadal masował nadgarstek z zadziwiającą delikatnością.

– Ona jest silna. Ale jeżeli będzie miała dreszcze, będziesz musiał ją przytulić. Hej, ona nie jest taka zła. A i ty chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Jen zaczerwieniła się, co nie zdarzało się jej często. Przeklinała w duchu swoje słabe ciało, gdyż poczuła nową falę dreszczy. Przemarzała do szpiku kości i myślała, że już nigdy się nie rozgrzeje. Hal siedział nieruchomo, trzymając nadal jej rękę. Nie podobało się mu to wszystko – Jen, Billy i cały świat. Jen zaś myślała o tym, że tam, na zamrzniętym morzu, radziła sobie lepiej, niż Hal mógł się spodziewać. Hal tego nie przyzna, ale to była prawda.

– Czy pozwoli pan wielorybom umrzeć? – przerwała niezręczną ciszę. – Co będzie, jeżeli z powodu złej pogody nie utworzą się nowe szczeliny i zwierzęta nie będą mogły odpłynąć na otwarte morze?

– Jeżeli pogoda się pogorszy, to być może najlepszym wyjściem będzie skrócenie im cierpień – Hal nadal ogrzewał zmarznięty nadgarstek Jen swoją ciepłą ręką. – Proszę posłuchać – dodał, patrząc na przygnębioną i rozczarowaną minę Jen – tu sama natura rozwiązuje problemy. W warunkach arktycznych płaci się za każdy błąd. Wieloryby, które nie odpłyną na południe we właściwym czasie, giną. Dzieje się tak zgodnie z prawami natury. Eliminowane są istoty słabe, głupie i te, u których nie działa prawidłowo instynkt samozachowawczy.

– Ktoś powinien pomóc takim istotom – nalegała.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Gdybyśmy mogli nakłonić zwierzęta do ruszenia w kierunku nowych otworów oddechowych, może udałoby się je wyprowadzić. Ale

nie potrafimy.

W milczeniu odsunęła jego rękę i zaczęła sama nacierać nadgarstek tak energicznie, jakby chciała zetrzeć z ręki ślady jego palców. Keenan zapewne powiedziałby to samo, lecz po Halu spodziewała się czegoś więcej.

– Pan nie bardzo potrafi współczuć?

– Wieloryby powinny rozumieć sygnały wysyłane przez naturę – ton jego głosu był równie gorzki. – Powinny przebywać w grupie i płynąć do miejsc, do których przynależą. Nie powinny być tu pozostać.

– Tak jak ja? – Jen przygryzła wargi.

Hal odwrócił od niej oczy i spojrzał przed siebie. Jego wzrok napotkał jedynie gęstniejącą ciemność.

– Właśnie – powiedział znużony – tak jak pani.

Po powrocie do bazy Hal polecił Billy’emu rozładowanie wozu. Usiłował pomóc Jen przy wysiadaniu z willysa, ale odsunęła jego rękę. Otworzył przed nią drzwi budynku, mieszczącego kwatery. Weszli w milczeniu i Jen wyminęła go bez słowa. Podążył za nią. Patrzył, jak mocuje się z zamkiem u drzwi swego pokoju. Wyjął klucz z jej dłoni i otworzył zamek jednym precyzyjnym ruchem.

– Poleciłem, żeby przyniesiono pani z powrotem telefon. Będzie pani mogła zadzwonić do dziadka. Na rozgrzanie najlepszy jest prysznic. Potem pójdziemy coś zjeść.

Jen weszła do pokoju z miłym uczuciem powrotu do domu. Poprzedniego wieczoru pokój wydawał się mały i pusty. Teraz był rajem ciepła i luksusu. Na stoliku stał telefon. Połączenie ze światem. Chciała być sama w tym wspaniałym pokoju. Chciała przekazać światu relację o swoich przeżyciach.

– Nie jestem głodna – usiłowała zamknąć drzwi. Przytrzymał je.

– Musi pani coś zjeść.

– Nie jestem głodna – popchnęła drzwi, ale Hal nadal je przytrzymał.

– A może się pani obawia, że ktoś tu już wie o małżeństwie Keenana? Niech to panią nie wprawia w zakłopotanie. Pomogę wszystko załatwić.

– Pan? Ha! – rzuciła mu pogardliwe spojrzenie. – To tak jakby Attyła zaoferował swoje usługi rozjemcy.

– Proszę posłuchać – przez twarz Hala przebiegł niebezpieczny grymas.

– To pan niech posłucha – zażądała. – Muszę zatelefonować w kilka miejsc. Niech pan sam idzie coś zjeść. Już raz dzisiaj rano w jadalni zrobiono ze mnie widowisko. A jeżeli będzie pan rozmawiał z Keenanem i Heleną, to przy okazji proszę przekazać im moje życzenia.

– W porządku, dłużej nie nalegam. Ale proszę wziąć prysznic.

– Dobrze i niech pan już idzie.

Kiedy wyszedł, Jen poczuła, że uginają się pod nią kolana. Wyczerpała ją mieszanina uczuć, jakie w niej wzbudzał.

Po prysznicu poczuła, że krew zaczyna w niej krążyć normalnie. Wiązała pasek szlafroka, kiedy odezwał się dzwonek telefonu.

– Słucham.

– Gdzie u diabła się podziewałaś? – zahuczał głos dziadka. – Przez cały dzień usiłuję się do ciebie dodzwonić. To małżeństwo Keenana jest niesłychanym nonsensem. Wracaj do domu. Nie rób z siebie idiotki.

– On ma pełne prawo do wybrania własnej drogi życiowej – odpowiedziała szorstko.

– Wyrządził ogromną krzywdę Ferdowi – grzmiał Dagobert. – Doprowadził do rozpaczyny biednego starego człowieka.

Jen uśmiechnęła się ironicznie, gdyż według niej Ferd Brubecker był tak samo wrażliwy jak rekin i tak samo łatwo można by doprowadzić go do rozpaczyny. Chodziło niewątpliwie o to, że Ferd szalał ze złości.

– Co do mnie – ciągnął Dagobert – zawsze traktowałem tego chłopca jak własnego syna. Teraz mi odplacił. Porzucił moją wnuczkę. Powinienem tak stłuc bezczelnego szczeniaka, żeby popamiętał mnie do końca życia.

– On nie jest chłopcem, ma trzydzieści lat. Nie porzucił mnie. Między nami nic nie było.

– Porzucił cię dla jakiejś Eskimoski – Dagobert nie ukrywał niesmaku. – Towarzystwo jest skończony. Może sobie teraz mieszkać tylko w Arktyce. Mróz pomieszał mu w głowie.

– Nie porzucił mnie – protestowała Jen u kresu cierpliwości. – Co to za różnica, z kim się ożenił? Ta eskimoska dziewczyna jest wyjątkowo sympatyczna. Jego ucieczka z ukochaną była najlepszym sposobem zakończenia tych wszystkich manipulacji.

– Wracaj do domu – rozkazał. – Nie chcę, żebyś się tam kręciła blisko niego. Jak wrócisz, twoje nazwisko znajdzie się w kronice towarzyskiej wszystkich gazet Zachodniego Wybrzeża. Ferd mi to załatwi. Umówiłem cię już na spotkanie z księciem, no, jak mu tam... w każdym razie z tym nieżonatym. Wkrótce przyjeżdża do Kalifornii. Zapowiedział się też u nas siostrzeniec prezydenta. On również się dla ciebie nadaje. Chociaż zaraz, dlaczego siostrzeniec, a nie syn prezydenta? Nikt nie będzie traktował mojej wnuczki jak...

– Nie chcę ani księcia, ani siostrzeńca prezydenta, ani nawet samego prezydenta – odpowiedziała Jen ostrym tonem.

– Co więcej, załatwiam ci nową pracę – ciągnął Dagobert z ogniem. – Uzgodniliśmy z Ferdem, że cię zwalnia. To byłoby śmieszne, gdybyś nadal miała pisać relacje o ślubach. Można powiedzieć – sypanie soli na rany. Zerwij całkowicie z dziennikarstwem. To nie jest zajęcie dla kobiety.

Jen nie wierzyła własnym uszom.

– Twoje uzgodnienia z Ferdem na temat mojej pracy zupełnie mnie nie interesują. Poza tym nie mam zamiaru wracać do Kalifornii.

– Dość tych żartów – zawołał Dagobert – wracaj do domu!

– Jestem właśnie w trakcie zbierania materiałów do reportażu – powiedziała Jen raczej z chęci odwetu niż z przekonania.

– Reportaż? – zaśmiał się – stamtąd? A co tam ciekawego może się dziać? Kto tam żyje? Gromada polarnych niedźwiedzi?

– Jeśli cię to interesuje, to chodzi o bardzo dramatyczne wydarzenia. Dwa kalifornijskie wieloryby nie mogą się wydostać z zamrożonej części morza.

– A kogo to obchodzi? – prychnął Dagobert. – Dwie duże ryby utkwili w lodzie? To śmieszne. Ach, Jen, wracaj do domu. Tęsknię za tobą.

– Nie. Przykro mi – Jen ścisnęła mocno słuchawkę.

– Ten kretyn Keenan telefonował dzisiaj do mnie. Wziął całą winę na siebie. Całkowicie przyznałem rację temu półgłówkowi. Powiedziałem mu, że jeżeli chociaż trochę jest mężczyzną, to powinien cię wsadzić do samolotu i wysłać do domu bez dalszych ceregieli.

– Nie możesz rozkazywać Keenanowi. Ani mnie. Nie wracam do domu.

– Oczywiście, że wracasz. Ten przygłupek ożenił się z inną. To dla ciebie nie powód, żeby tam zostać. Wracaj do domu, i to zaraz. Bądź dobrą dziewczynką, a jak przyjedziesz, zobaczysz, że u progu drzwi, tak jak w bajce o Kopciuszku, czeka na ciebie księżę.

Jen uznała dalszy spór za bezcelowy.

– Nie chcę już więcej o tym mówić. Kończę rozmowę i odkładam słuchawkę.

– Młoda damo, jeżeli odłożysz słuchawkę, później będziesz mnie przepraszać na kolanach.

– Odkładam słuchawkę. I o nic nie zamierzam cię prosić. Jeżeli złamię obietnicę, to zgodnie z naszą umową zrobię to, co będziesz sobie życzył.

– Jesteś tak samo głupia jak Keenan. Czekam na ciebie jutro wieczorem. – I aby udowodnić, że to on ciągle ma władzę, rzucił słuchawkę na widełki najmocniej, jak potrafił.

Jen usiadła na brzegu łóżka rozgoryczona. Chodziło jej nie tylko o udowodnienie dziadkowi, że może się obejść bez jego pomocy. Chodziło o materiał do reportażu, a nie знаła nikogo, kto chciałby wydrukować jej relację. Przez chwilę zastanawiała się. Być może jednak pokaże Ferdowi Brubeckerowi i jego gazetowej mafii, na co ją stać.

Nakręciła numer wydawnictwa, w którym przez jedenaście długich i bezowocnych miesięcy pracowała dla Ferda Brubeckera. Tam ją znali. Przedstawiła się i poprosiła nocnego redaktora dyżurnego Billa Lazlowa. Nie znała go dobrze, ale najwyraźniej zdenerwował się na sam dźwięk jej nazwiska.

– Przykro mi, że nie będzie pani już u nas pracowała – oznajmił. – Pan Brubecker przekazał nam tę wiadomość. Jest mi bardzo przykro, panno Martinson w związku... w związku z tą całą sytuacją.

– Panie Lazlow – przerwała mu gwałtownie Jen. – Wydaje mi się, że mam dobry materiał. Do tej pory zajmowałam się kroniką towarzyską. Tym razem natrafiłam na coś ważnego. Czy mogłabym przekazać panu fakty, a może pan znalazłby kogoś, kto opracowałby reportaż do druku?

Lazlow nie oponował, choć jego głos wyrażał jeszcze mniej entuzjazmu niż na początku rozmowy.

Jen opowiedziała całą historię wielorybów uwięzionych w okowach lodu. Kiedy skończyła, Lazlow był wyraźnie rozczarowany.

– Czy to wszystko?

– Mogę panu podać więcej szczegółów. Mam zdjęcia, mogę je przesłać najbliższym samolotem.

Stanowisko Lazlowa było jednoznaczne. Jeżeli Jen chce, może przysłać zdjęcia, ale temat nie jest interesujący.

Po tej rozmowie nastrój Jen raczej nie uległ poprawie. Uzyskała informację o numerach telefonów redakcji gazet wychodzących w Anchorage i Fairbanks. Zatelefonowała tam i przedstawiła się jako niezależna dziennikarka z San Francisco. Wmawiała w siebie, że to nie kłamstwo. Była dziennikarką, pochodziła z San Francisco a jej niezależność osiągnęła najwyższy możliwy stopień.

Jej rozmówca w Fairbanks był bardziej zainteresowany faktem, że do Ultimy przyjechała kobieta z San Francisco, niż historią wielorybów. W Anchorage powiedziano krótko, iż być może redakcja zainteresuje się tym materiałem.

Jen odkładając słuchawkę czuła się zdeprymowana. Dlaczego nikogo nie obchodzi dramatyczny los zwierząt? Może Hal, ten człowiek o zatwardziałym sercu, miał jednak rację. Spojrzała na torbę, wyjęła magnetofon i przewinęła taśmę. Chociaż urządzenie było używane przez wiele godzin na ostrym mrozie, działało doskonale.

W bezpiecznym zaciszu pokoju usłyszała oddechy dwóch olbrzymów, patrzących w oczy śmierci.

Zastanawiała się nad słowami Dagoberta. Powiedział, że los wielorybów nikogo nie będzie interesował. To samo mówił Hal. A czy czyjeś zainteresowanie cokolwiek pomoże? Nie wiadomo i to trzeba sprawdzić. Poprosiła w informacji o numer telefonu rozgłośni radiowej, której nieraz słuchała na uczelni: Radia KXXO. Rozgłośnia ta wieczorami nadawała

rozmowy ze słuchaczami. Czasami poruszano tematy pouczające, czasem kontrowersyjne, a niekiedy wręcz głupie.

Jen wydawało się, że minęły wieki, zanim odezwała się centrala. Po chwili usłyszała męski, profesjonalnie wesoły głos:

– Dobry wieczór, jest pani na antenie. Tu Głos San Francisco. Audycję prowadzi dla państwa Długi John Silverburg. Dzisiejsze pytanie brzmi: Czy rzeczywiście latające talerze porywają ludzi? A więc jak się pani nazywa i czy była pani kiedyś, he, he, wprowadzona przez latający spodek?

– Nazywam się Jennifer Martinson – powiedziała ostrożnie. – Jestem niezależną dziennikarką i telefonuję z Ośrodka Badań Arktyki w Ultimie, na Alasce...

– Ooo – głos Długiego Johna Silverburga był głęboki i przesycony słodyczą. – A zatem ci kochani kosmici zabrali cię na daleką przejażdżkę?

Przez pełne dwie minuty Jen przekonywała Długiego Johna, że nie jest żartownisią ani dziwaczką i że naprawdę chodzi o dwa wieloryby uwięzione w lodach Arktyki.

– Słuchaj, dziewczyno, wygląda, że mówisz poważnie. Rzeczywiście jesteś na Alasce? To dlatego twój głos wydaje się dobiegać z oddali.

– Mówię najzupełniej poważnie. Widziałam te wieloryby na własne oczy. Zrobiłam im zdjęcia. Między miejscem, gdzie się znajdują, a szlakiem prowadzącym na pełne morze, rozciąga się przeszło trzykilometrowa przestrzeń pokrywy lodowej. Zarejestrowałam na taśmie magnetofonowej dźwięki, jakie zwierzęta wydają przy oddychaniu.

– Czy mówisz o pływaczach, walach szarych? Wielorybach, morskich ssakach, które żyją w przybrzeżnych wodach stanu Kalifornia? – w głosie Długiego Johna Silverburga słychać było szczególnie wymuskany ton, właściwy spikerom radiowym.

– Właśnie o nich. A teraz będą oddychać. – Jen włączyła magnetofon.

– Kochanie, to jest naprawdę wzruszające – powiedział Długi John. – Posłuchajmy tego jeszcze raz.

Jen powtórnie włączyła taśmę.

– Ależ to skandal – orzekł Długi John. – Czy oni nie mają zamiaru uratować tych zwierząt? Powiedziałaś, że kto decyduje o wszystkim?

– Bailey, doktor Hal Bailey.

– San Francisco, czy mnie słyszycie? Doktor Hal Bailey chce zabić wieloryby. Nasze wieloryby!

– Ja nie powiedziałam, że on chce je zabić – wtrąciła Jen w poczuciu winy. Ale był to spóźniony protest. Długi John zorientował się szybko, że ma temat o wiele lepszy niż wyeksploatowane UFO.

Po zakończeniu rozmowy Jen ogarnęły mieszane uczucia. Udało jej się przekazać historię wielorybów do publicznej wiadomości, jednak nie tak jak chciała.

Ciszę, jaka zapanowała w małym pokoju, przerwało pukanie do drzwi. Jen zerwała się i otworzyła.

– Służba hotelowa – głos Hala brzmiał ironicznie. Wszedł nie czekając na zaproszenie. Postawił przyniesioną tacę na nocnym stoliku.

– Rozmawiałem z Keenanem i Heleną. Przekazują pani pozdrowienia. A tu mam dla pani coś, co w Ultimie jest rarytasem. Alkohol. – Wyjął z kieszeni srebrną butelkę i przyniósł dwie szklanki z łazienki. Rozlał napój i wręczył Jen szklankę.

– Na zdrowie – wypił jednym haustem.

Jen siedziała na brzegu łóżka. Zdjęła z tacy serwetkę. Nie chciała się ruszyć, ale umierała z głodu. Widok klopsików i spaghetti sprawił ją w zdumienie. I świeża, zielona sałata. To było wprost niewiarygodne. Cudo.

– Nie jestem głodna – skłamała i natychmiast zabrała się do jedzenia.

– Właśnie widzę – Hal patrzył, jak pałaszuje kolację.

– Dzisiaj rano śniadanie było zwykłym posiłkiem – Jen smarowała bułkę masłem. – Ta kolacja wydaje się cudem.

– Tutaj wszystkie dokonania człowieka są cudem.

– A jak żyje tubylcza ludność, rodacy Billy’ego?

– spytała rozkoszując się kawą. – Jak zdołali przetrwać w tych warunkach pięć tysięcy lat?

– To jest największy cud. Ale w ciągu ostatniego stulecia to, co oni zdołali udoskonalić, nam udało się zniszczyć. Zabiliśmy większość wielorybów, naruszyliśmy równowagę ekologiczną, przeprowadziliśmy idiotyczne rurociągi poprzez całą tę krainę i zmieniliśmy na zawsze jej gospodarkę.

– Jednym z tych, którzy budowali tu rurociągi, był mój dziadek – wtrąciła Jen niepewnie.

– Przypuszczam, że obwinia go pan o całe zło.

– Ja tylko stwierdzam fakty.

– I to jest jeden z powodów pana antypatii do mnie?

– Lubiałbym panią bardzo, gdyby pani była w Kalifornia miejscu, do którego pani należy.

– To już nie jest moje miejsce. Usamodzieliłam się. Idę swoją własną drogą.

– Czy mam zatelefonować do Keenana i poprosić, żeby przemówił pani do rozsądku?

– Niech Keenan zajmuje się swoją żoną – odrzekła opryskliwie. – Nie pozwoliłam dziadkowi na narzucanie mi swej woli. I nie pozwolę na to nikomu innemu.

– Keenan mówił, że pani dziadek to stary rekin, który wtrąca się do wszystkiego. Chce mieć wszystkich w garści.

– Tak, chce. I ma. Ale pan nie powinien wyrażać się o nim w taki sposób. – Skończyła jeść spaghetti i zabrała się za czekoladowe ciastko.

– Proszę wypić wódkę. Właściwie zmarnuje się, bo widzę, że pani całkiem doszła do siebie.

– Czy jedzie pan jutro na pole lodowe? Do wielorybów? Pojadę z panem.

– Niezłe z pani ziółko – uniósł brew z dezaprobatą. Ujęła szklankę z alkoholem.

– Proszę spróbować mnie zatrzymać. – Wysunęła, jak w toaście, rękę w jego stronę i podobnie jak on, wypła napój jednym łykiem. – Na zdrowie – udało się jej wykrztusić przez palące gardło. – Jeżeli będę musiała, pójdę tam na piechotę.

– Zrobiłaby to pani? – pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Tak i cieszę się, że mi pan wierzy.

– Mam nadzieję, że to będzie miły spacer.

– Tak, myślę, że to by pana ubawiło. Wie pan, uważam, że jest pan bufonem.

Zadzwoił telefon. Jen miała nadzieję, że tym razem to nie będzie dziadek. Zaskoczona usłyszała zupełnie obcy głos.

– Czy zastałem Hala?

Policzki Jen zapłonęły z niewytłumaczalnego niepokoju.

– Do pana – oddała słuchawkę Halowi. Patrzyła na niego niespokojnie widząc, że słuchając swego rozmówcy jest zastraszająco poważny.

– Tak?, tak? – powtarzał z wyrazem gniewu i niechęci.

– Nic nie mów – odezwał się w końcu. – Będę tam za minutę.

– Czy coś się stało? – spytała Jen niewinnym głosem. – Czyżby gdzieś jakieś morysy zachorowały na świnkę?

– To był Kelpington, nasz meteorolog – Hal zrobił krok w jej stronę. Powiedział, że telefonowano do nas jedenaście razy. Do mnie. Z protestami. Żeby mnie powstrzymać od

zabijania wielorybów. To były telefony z San Francisco. Jeden rozmówca wspomniał o pani.

– Och – jęknęła Jen.

– Kelpington mówi, że telefonował też ktoś z gazety „Anchorage Daily News” z zawiadomieniem, że i oni mają informację o uwięzionych w zamrożonym morzu wielorybach.

– Och – pokój nagle wydał się Jen za mały, zbyt przegrzany, i poczuła, że nie ma czym oddychać.

– Powiedział, że w sekretariacie biura telefon dzwonił bez przerwy przez ostatnie dziesięć minut. To pani sprawka. Nie wiem, w jaki sposób udało się pani dokonać tego tak szybko, ale wiem na pewno, że to pani sprawka. Tak czy nie?

Pod naporem słów Jen skuliła się wewnętrznie i wbijając wzrok w podłogę, potwierdziła skinieniem głowy. Hal przysunął się jeszcze bliżej i ujął w dłoń jej warkocz.

– Wiedźma – wycedził przez zęby. – Oto kim jesteś. Piękną, młodą, jasnowłosą wiedźmą.

I wtedy uczynił coś, co jego samego wprowadziło w nie mniejsze zdumienie niż Jen. Nie miało to nic wspólnego ani z rozsądkiem, ani z nauką. Pocałował ją.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Wiedźma – jego wargi powtarzały to słowo tuż przy jej wargach. Jedną ręką ujął ją z tyłu za szyję, a drugą objął i mocno przycisnął do siebie. Gdy jego wargi zbliżyły się do jej ust, były gorące, głodne i zdecydowane. A jednak w pocałunku krył się też gniew.

Jen, która przed chwilą nazwała tego człowieka bufonem, uświadomiła sobie, że obejmuje go za szyję. Wydawało się jej, że on jest samym płomieniem życia, gorącym i potężnym. Dziwne drżenie wypełniało falami jej piersi, biodra i osłabłe kolana.

To nieznanne doznanie uświadomiło jej, że zanim spotkała Hala Bailey'a, nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny. Siła tego pożądania przestraszyła ją.

Hal odsunął się nieznacznie. Ponownie ujął w dłoń jej włosy i łaskotał końcem warkocza jej podbródek.

– Zastanawiałem się przez cały czas, jak wyglądałabyś z rozpuszczonymi włosami – szeptał. – Gdyby opadły ci na nagie ramiona, a ja mógłbym zanurzyć w nich ręce.

– On źle odczytywał sygnały – Hal ujął Jen pod brodę. – Nigdy go nie kochałaś, prawda?

– Nie – głos Jen był pełen napięcia – już ci to mówiłam. – Nie wiedziała, co się teraz stanie, ani czego pragnie. Zawsze ceniła swoją wolność i nigdy tak naprawdę nie była zakochana.

– Nie powinienem cię obejmować – powiedział zachmurzony, nie wypuszczając Jen z ramion – wiesz o tym.

– Tak, wiem.

– I ty nie powinnaś mnie obejmować.

Jen poczuła pulsującą dziko w żyłach krew i wiedziała, że Hal musi odczuwać to samo.

– To jest tylko biologia. Wiesz o tym, prawda? To nic nie znaczy. I na pewno nie znaczy, że się kochamy.

Te słowa zraniły ją. Widocznie to był tylko niechciany odruch pożądania. Ona mu się wcale nie podoba. Ich ciała mogły się zrozumieć, ale serca i dusze – nie.

– Powinnaś wrócić do domu z dwóch powodów. Musisz zniknąć z życia Keenana. I z mojego również. To, co się między nami zaczęło, nie może się dobrze skończyć – oddechał ciężko.

Jen opuściła ręce. Jakaś magnetyczna siła powodowała, że jego ciało było nadal bardzo blisko jej ciała. Ujął znowu warkocz.

– Chciałbym ci rozpleść włosy – uśmiechnął się dziwnie. – Ale nigdy mi na to nie pozwól.

– Dlaczego nie? Jestem dorosła...

Odsunął się o krok. Znowu zobaczyła w jego oczach jakieś niebezpieczne błyski.

– Jesteś bogatym dzieckiem, które musi się jeszcze wiele w życiu nauczyć. Pochodzisz z rodziny Martinsonów. Zostałaś stworzona po to, żeby innym komplikować życie. A ja wolę życie bez komplikacji.

– Dlaczego więc nie uprościsz sobie życia od razu i nie wyjdiesz z mojego pokoju?

– Słusznie – głos Hala pobrzmiwał ironią. – Muszę iść i uporządkować zrobiony przez ciebie bałagan.

– Życzę szczęścia. Mam nadzieję, że nie jestem szybsza w stwarzaniu kłopotów niż ty w ich usuwaniu.

– Mam dokładnie taką samą nadzieję – spojrzał na nią urażony, zatrzymując wzrok na jej wargach. – Jen, jesteś nieostrożną kobietą. A nieostrożne kobiety są niebezpieczne. – Wyszedł z pokoju bez uśmiechu.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Jen rzuciła się na łóżko, kryjąc w poduszce rozpaloną twarz. Upokorzona wiedziała, że wywołała w nim tylko pożądanie, niepohamowane, ale bez głębszego znaczenia. Nie miał dla niej ani uczucia, ani szacunku. I nigdy się to nie zmieni, ponieważ ona pochodzi z rodziny Martinsonów. I chociaż dotyk żadnego mężczyzny nie wzbudzał w niej takiej emocji, zdała sobie sprawę, że Hal stanowi dla niej o wiele groźniejsze niebezpieczeństwo niż wzbudzający niepokój ciemny i posepny ład Arktyki.

Zadzwonił telefon. Jen usiadła i przyglądała włosy. Jej policzki ciągle płonęły. Kto to dzwoni? Może Hal z żądaniem, by spakowała się i natychmiast wyjechała? Podniosła słuchawkę i znowu usłyszała nieznany głos. Dzwonił Walter F. Stonebridger, wydawca gazety „Stentiner z Redwood City w Kalifornii. Słyszał jej nagranie w czasie audycji Długiego Johna.

– Mówiła pani, że ma zdjęcia. Czy już je pani gdzieś wysłała?

– Nie – Jen była zdenerwowana, nie miała pojęcia, czego ten człowiek od niej chce.

– To niech je pani przyśle do mnie – powiedział Stonebridger. – Natychmiast. Proszę mi opowiedzieć jeszcze raz tę historię o wielorybach, ze szczegółami. Umieszczę pani relację w gazecie. Obiecuję odpowiednie honorarium, jeżeli będzie pani przysyłała nam bieżące wiadomości w tej sprawie. Nie jest pani związana z żadną z gazet, prawda? Czy moja propozycja interesuje panią?

– Tak.

Propozycja interesowała ją z kilku powodów. Pismo „Sentinel”, wydawane w Redwood, nie było na tyle liczącą się gazetą, aby Ferd Brubecker zwracał sobie głowę jej wykupieniem. Uważał ją za pismo radykalne i nieodpowiedzialne, a ponadto wydawane na marnym papierze. Jen raczej je lubiła, choć przynajmniej dwa razy do roku przypuszczało ostry atak na dziadka. Redaktorom nie podobała się Korporacja Martinsona, jego polityka w sprawach środowiska naturalnego, a może nawet sam Dagobert.

– To ironia losu – głos Stonebridgera brzmiał ochryple, jakby jego gardło było przepalone papierosami. – W radiu mówiła pani, że jest wnuczką Dagoberta Martinsona. Nie jesteśmy w zgodzie z Dagobertem. Czy jest pani pewna, że chce dla mnie pracować?

– Ja również nie żyję w zgodzie z Dagobertem. Tak, chcę.

– Myślałem, że pisuje pani do gazety Brubeckera w San Francisco. Słyszałem, że była pani zaręczona z dziedzicem Brubeckera. Ale on ożenił się z kimś innym. Czy dlatego tak chętnie przyjmuje pani naszą propozycję?

– Już nie pracuję dla Brubeckera. Nigdy nie byłam zaręczona z Keenanem Brubeckerem. I życzę mu szczęścia. Proszę pana, jeżeli chce pan posłuchać tego, co mam do powiedzenia o wielorybach, to proszę pytać. Możemy rozmawiać tylko na ten temat.

– Kochanie, ma pani głos pełen seksapilu, ale przed chwilą wydawało mi się, że słyszę samego Dagoberta. W porządku, pani Martinson. Proszę opowiedzieć mi o swoich wielorybach.

Następnego dnia o szóstej rano obudziło Jen nagłe pukanie do drzwi. Usiłowała je zignorować, zakrywając głowę poduszką, ale pukanie nie ustawało. Znała tylko jedną osobę, która mogła pukać tak głośno i uporczywie: Hal Bailey. Chwyciła szlafrok i zaspana otworzyła drzwi.

– Ubierz się i chodź – powiedział Hal bezceremonialnie.

– Idź sobie – Jen ziewnęła – przecież jest ciemno.

– Będzie jeszcze ciemno do dziesiątej rano. Ubieraj się. Zjemy śniadanie u mnie w pokoju.

– Kto to jest „my”? Nie zamierzam jeść śniadania w twoim pokoju. Ani z tobą.

– Ubieraj się, albo ja cię ubiorę – prawie warknęła.

– Powstał pewien problem, przez ciebie. Musimy porozmawiać na osobności.

Jen ziewnęła i przeciągnęła się. Zapomniała, że pod szlafrokiem nie ma żadnej bielizny i Hal może doskonale dostrzec zarys jej ciała. Jego twarz pozostała nieruchoma, tylko w głębi oczu pojawił się migoczący, niepokojący błysk. Ten błysk od razu ją rozbudził.

– Ubieraj się – powtórzył – chciałbym poważnie z tobą porozmawiać. I odesłać cię do domu.

Jen przypomniała sobie o pracy dla „Sentinela” z Redwood City. Mam kilka niespodzianek dla ciebie, pomyślała z satysfakcją. Szybko ubrała się w łazience w najcieplejsze rzeczy i wróciła do pokoju. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Hal w milczeniu prowadził ją do innych pomieszczeń ośrodka. Kiedy zatrzymał się w kolejnym pasażu przed jednymi z szeregu drzwi, Jen stanęła trochę przestraszona. Na myśl, że tu mieszka Hal, ogarnęło ją dziwne uczucie. Zastanawiała się, o jakim problemie chciał z nią porozmawiać. Nie spodziewała się niczego dobrego.

Wbrew przewidywaniom Jen pokój Hala nie był ani chłodny, ani pusty. Ściany wyłożone były dębową boazerią, podłoga pokryta podniszczonym, perskim dywanem, a dębowy stółik ze szklanym blatem zarzucony książkami i czasopismami. W pokoju unosił się zapach kawy i smażonego bekonu. Koło telewizora stały odtwarzacze wideo i płyt kompaktowych. Na półce stały płyty. Słysząc było cichą muzykę. W jednym z mosiężnych naczyń rosło dzikie wino, z drugiego wyrastał gruby kaktus.

Hal wskazał ręką wydzieloną część pokoju, spełniającą rolę jadalni.

– Poprosiłem Arnolda, żeby wstał wcześniej i przysłał śniadanie. Siadaj. – Był to raczej rozkaz niż zaproszenie. Jen popatrzyła na dębowy stół zastawiony naczyniami pod błyszczącymi pokrywami, utrzymującymi ciepło, na porządną porcelanę i srebrny serwis do kawy. Podsunął jej krzesło gestem tak grzecznym, że aż niepokojącym.

– Kawy? – nalał jej, zanim zdążyła odpowiedzieć.

– Dzięki.

Nie pytając, czy ma apetyt i na co miałyby ochotę, Hal nałożył jedzenie na oba talerze. Zaległa ciężka cisza.

– Słuchaj no – zaczął obcesowo. – Tej nocy mieliśmy ponad dwadzieścia telefonów z całej Kalifornii. Wokół sprawy wielorybów rozpętało się piekło. W biurze telefon po prostu się urywa. Chciałbym wiedzieć – przeszył ją nieprzyjemnym wzrokiem – jak ty to zrobiłaś?

Jen poruszyła się niespokojnie.

– Poinformowałam o wielorybach kilka gazet. I radio w San Francisco. W czasie audycji Długiego Johna Silverburga.

Hal popatrzył na nią groźnym wzrokiem.

– Silverburga? Tego faceta, uprawiającego publicznie akrobatyczny taniec na linie?

– No cóż, w odróżnieniu od innych on przynajmniej mnie wysłuchał – broniła się Jen.

– Silverburg to największy radiowy obłąkaniec, jaki kiedykolwiek występował na antenie. Zrobi wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Nic dziwnego, że i tym razem bez umiaru rozdmuchał całą sprawę. Ludzie teraz uważają, że my tutaj polujemy na słonia Bambi z karabinem maszynowym.

– Powiedziałam mu tylko prawdę – zaprotestowała Jen, odkładając widelec. Już nie mogła zmusić się do jedzenia jajek na bekonie. – Powiedziałam tylko, że wieloryby są uwięzione w zamrożonym morzu i że jeżeli nie zostaną uwolnione, to..., no, że była mowa o ich zabiciu.

– Powiedziałaś, że ja mam zamiar je zabić. Połowa telefonujących groziła osobiście mnie. Jeden mały dzieciak wrzeszcząc błagał mnie o litość. Potem wtrąciła się jego matka i

stwierdziła, że takich jak ja powinno się zgładzić za pomocą harpuna.

Jen gniotła w palcach leżącą na kolanach serwetkę. Spuściła wzrok, nie chciała mu spojrzeć w oczy.

– Żądam odwołania – powiedział Hal – w imieniu całego naszego ośrodka.

Miałaby odwołać to, co powiedziała? Nie mogła tego zrobić. Nie powiedziała niczego, co nie byłoby zgodne z prawdą. Przekazała Dłугоmu Johnowi jedynie fakty. Chociaż gniew Hala zachwiał nieco jej pewność siebie, nie miała zamiaru okazać słabości. Wyprostowała się, spojrzała mu w oczy i odrzekła:

– Nie.

– Co takiego?

Jen, nie spuszczać wzroku z Hala, usiłowała zachować spokojny wyraz twarzy.

– Wieloryby są uwięzione w zamrożonym morzu. Powiedziałam, że mogą być zgładzone. Nie zamierzam odwoływać prawdy.

– Telefonowanie do radia i mówienie o tej sprawie w jakiejś przypadkowej audycji było z twojej strony nieodpowiedzialne.

– Moim zadaniem jako dziennikarki jest ujawnianie faktów – upierała się Jen. – I to właśnie zrobiłam.

– To nie była twoja sprawa.

– To znaczy, że sposób, w jaki wykonuję mój zawód, nie jest moją sprawą? Bzdura. Nikt nie chce potraktować mnie poważnie. A jednak historię wielorybów udało mi się podać do publicznej wiadomości, chociaż tylko za pomocą audycji Dłугоgo Johna Silverburga. I to odniosło skutek. Ludzie przejęli się losem tych stworzeń.

– Dobrze, przedstawiłaś swój punkt widzenia – odrzekł Hal, skrzywiony w niemiłym grymasie.

– A teraz masz powiedzieć Dłугоmu Johnowi, jak mu tam, że nie jestem obłąkanym zabójcą. A potem pojedziesz do Kalifornii. Do dziadka. Tam jest twoje miejsce.

– Właśnie w związku ze sprawą wielorybów podjęłam już nową pracę. Telefonował do mnie wczoraj wydawca gazety „Sentinel” z Redwood City. Zatrudnił mnie w swoim piśmie.

– „Sentinel”, ta liberalna, nie licząca się gazetka? – twarz Hala wyrażała teraz zdumienie. – Ciągle z kimś walcząca? A zwłaszcza z ludźmi pokroju twojego dziadka?

– Muszę u kogoś pracować. Nie chcę niczego zawdzięczać rodzinie Keenana. Tamtą pracę rzuciłam. Nie potrzebuję niczyjej łaski. Poradzę sobie sama.

– Jak dotąd udało ci się wywołać wystarczającą sensację. Dostyc tego. Uszczęśliw wszystkich i wróc do dziadka. Obiecał, że nadal będzie cię rozpieszcać, do czego jesteś tak przyzwyczajona. Zapewnia cię, że jego stosunek do ciebie nie zmienił się, że nadal, tak jak dawniej, jesteś jego oczkiem w głowie.

Tym razem Jen wzdrygnęła się. Hal nie chciał, żeby tu została. Nikt tego nie chciał. Jedyna osoba, której jest potrzebna, to dziadek. Nagle zrodził się w niej cień podejrzania.

– Co masz na myśli mówiąc o obietnicach mojego dziadka? Co ty możesz o tym wiedzieć?

– Telefonował do mnie – twarz Hala pozostała kamienna. – Mówiąc szczerze, zaoferował mi dziesięć tysięcy dolarów, jeżeli uda mi się wsadzić cię do najbliższego samolotu, lecącego do Kalifornii. Chciałbym cię już w nim widzieć. Sam odwiozę cię na lotnisko.

– Ty hipokryto!

Hal westchnął. Mimo tysiąca pokus, którymi wabiła ta kobieta, chciał się od niej uwolnić. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele ma do zaoferowania.

– Powiedziałem mu, co może zrobić ze swoimi parszywymi pieniędzmi. Nie potrzebuję ich. I nie będę grał dla niego roli niańki do dziecka. Ale próbuję odwołać się do twojego

rozsądku. Możesz wrócić do dawnego, łatwego życia.

– Chcesz wyłączyć mnie ze sprawy wielorybów. Dlatego zachowujesz się w ten sposób. I pomagasz mojemu dziadkowi.

– Wcale mu nie pomagam. Nie chciałem z nim rozmawiać i odłożyłem słuchawkę. Ale zdążył mi powiedzieć, że mam ci przekazać taką wiadomość: jeżeli wrócisz do domu, on znajdzie ci nową pracę i nigdy nie wspomni o Keenanie i Alasce, będziesz miała życie usłane różami, da ci wszystko, o co go poprosisz. Zastanów się nad tym.

Jen patrzyła na Hala w zdumieniu. Miał twarz tak zimną, jak lód przy wybrzeżu morza. Wydawało jej się, że Hal przenika ją swym badawczym wzrokiem. Tak spogląda myśliwy na swoją ofiarę. Czy on rzeczywiście mógł sądzić, że ona przedłoży wygodne, a nawet luksusowe życie ponad wolność?

– Ty hipokryto! – powtórzyła z pogardą.

Hal zmrużył oczy. Niebieska żyłka pulsowała mu w skroni. Jen czuła coraz silniejszy ból głowy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego on tak bardzo ją rani. Chciała mu oddać wet za wet.

– Dlaczego nic nie mówisz? Czy tak zmęczyło cię usługiwanie dziadkowi? A możemy jeszcze bardziej wzrosło poczucie twojej własnej wartości?

– Jeżeli tak ci się podoba, to możesz siedzieć sobie tutaj jak obrzydliwy, śniegowy bałwan – syknęła przez zęby – bo taki właśnie jesteś. Keenan jest za łagodny i delikatny, żeby osobiście przekazać mi wiadomość o swoim małżeństwie. Kto pospiesza mu z pomocą? Dobry, stary Hal Bailey. Mój dziadek obiecuje mi życie usłane różami, jeżeli będę grzeczna, i kto przybiega z jego poleceniem? Przyjaciel bogacza, Hal Bailey.

Kiedy Hal odezwał się, jego głos brzmiał jeszcze bardziej ponuro.

– Na twoim miejscu nie mówiłbym w ten sposób.

– Będę mówiła to, co mi się podoba. Zgodnie z twoją opinią mój dziadek jest poniżej wszelkiej krytyki. A jednak występujesz w jego imieniu. Z pewnością byłby zadowolony. Zachowujesz się tak, jakby dziadek cię przekupił. A może nie przekupił, bo zaoferował zbyt niską cenę? Mniejsza z tym, i tak postępujesz zgodnie z jego życzeniem.

Wstała tak gwałtownie, że prawie zakreśliło jej się w głowie. Skierowała się ku drzwiom, ale zastąpił jej drogę. Kiedy chciała go wyminąć, położył ręce na jej ramionach i przytrzymał ją. Cofnęła się gwałtownie. Nie chciała być blisko niego. Wyglądał na rozwścieczonego i tak ją osaczył, że nie mogła się ruszyć.

– Pragnę jedynie trochę to wszystko uporządkować. Twego dziadka nie lubię. Ale jedno jest pewne – on cię kocha. Jego zasady moralne mogą budzić wątpliwości. Ten dziwak manipuluje ludźmi, ale jego uczucie do ciebie jest niewątpliwie głębokie. A jeżeli mężczyzna kocha tak bardzo – urwał raptownie, zaciskając palce na jej ramionach.

– Jeżeli mężczyzna kocha tak bardzo... To co wtedy? Oddychał gwałtownie. Przez jedną, szaloną chwilę myślała, że przyciągnie ją do siebie i pocałuje. Lecz Hal zdjął dłonie z jej ramion.

– Jedź do niego. Czy tak bardzo przejmujesz się tymi dwoma wielorybami?

– Owszem, bardzo się nimi przejmuję. One jeszcze żyją i można je uratować. Nie bądź obłudnikiem. To nie ja chcę je zgładzić.

Twarz Hala pociemniała.

– Ja przecież nie chcę ich zgładzić. Chciałbym je uratować. Ale one nie mogą tu żyć. Zostały w obcym środowisku. To samo odnosi się do ciebie. – Chciał uścisnąć jej rękę, lecz Jen odtrąciła ją.

– W każdym razie zostanę tu do czasu rozwiązania problemu wielorybów – powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć. – Nie możesz mi w tym przeszkodzić.

Hal nie odpowiedział, ale gorzki grymas niezadowolenia wskazywał na stan jego ducha. Jen udawała, że się nim nie przejmuje.

– A zatem kiedy jedziemy zobaczyć, co z wielorybami? – spytała prawie nonszalancko. – I jeszcze jedno. Nie zamierzam niczego odwoływać. Sądzę, że to ty powinienes przygotować publiczne oświadczenie dla wszystkich, którzy uważają, że masz zamiar wysłać wieloryby na tamten świat.

– Nie wysyłam ich na tamten świat.

– Nie? – spytała. Jej oczy były szeroko otwarte w niewinnym zdumieniu. – Masz więc zamiar je ocalić?

Twarz Hala stawała się coraz bardziej posępna.

– Nie mamy możliwości przemieszczenia ich w kierunku otwartego morza. Mogą uratować się tylko wtedy, gdy nastąpi zmiana pogody.

– Tak? – spytała z tą samą co poprzednio nutą naiwności. – Masz więc zamiar stać tam i patrzeć, jak umierają? To nie brzmi zbyt sympatycznie. Zastanowiłabym się nad tym publicznym oświadczeniem.

– Do diabła, nie rób ze mnie złooczyńcy!

– Nie mam zamiaru. Ja jedynie relacjonuję fakty i oczekuję twojej współpracy. Wybieram się dzisiaj na pokrywą lodową.

– Nie. Wczoraj zabrałem cię tylko dlatego, że chciałem cię mieć na oku.

– Sam uważałeś, że mogłabym napisać coś na ten temat. I napisałam. Byłoby mi przykro, gdybym teraz musiała ujawnić, że ty uniemożliwiasz mi przekazywanie dalszych relacji.

– Dobrze, wezmę cię na pole lodowe. Będziesz tam stać tak długo, aż zaczniesz mnie błagać, żeby cię zabrać z powrotem. Chcesz napisać na ten temat dalszą relację? W porządku, napisz. A jeżeli odmroziś sobie uszy, nie miej do mnie pretensji.

– Świetnie – uniosła głowę – spotkamy się w twoim biurze za dziesięć minut.

Przeszła koło niego z podniesioną głową, wyszła z mieszkania i szybko ruszyła w kierunku swojego pokoju. Kiedy znalazła się sama w krętym korytarzu, jej pewność siebie znikła. Wieloryby – myślała. Jak dziwnie jej los splótł się z losem tych zwierząt. I jakie to dziwne, że jej radiowa relacja przyniosła tak niespodziewany rezultat. Nagle, bez żadnego powodu, ogarnęło ją przerażenie. Miała niejasne przeczucie, że coś okropnego czai się w powietrzu. Wrażenie było tak silne, że rozejrzała się dookoła niepewnie. Coś się wydarzy. A kiedy to już się stanie, jej uporządkowany, znany świat rozpadnie się. Tak, wszystko się zmieni. Coś się stanie. Już niedługo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stojąc na zamrzniętym morzu Jen przypomniała sobie to dziwne przecucie. Rozejrzała się naokoło. Pomyślała z rozpaczą, że tutaj nic się nie zmieniło.

A wieloryby nadal pozostawały w lodowej pułapce. Lody nie poruszyły się, szczelinę spławną ledwo można było dostrzec w oddali. Żaden wiatr nie zwiastował zmiany pogody.

Jen przyjechała z milczącym Halem i z pogodnym – jak zwykle – Billym Owenem. Gdy mężczyźni usiłowali zamocować części kamery wideo, Jen stała przy brzegu otworu oddechowego i spoglądała na rozległe przestrzenie zamrzniętego morza. Kłótnia z Halem sprawiła, że czuła się jakaś pusta.

– Jest tak samo jak wczoraj – powiedziała bezbarwnym głosem.

Jen przeraziła się, gdy Hal oznajmił:

– Nie jest tak samo. Jest gorzej.

Popatrzyła na niego, badając, czy przypadkiem z niej nie żartuje. Podobnie jak Billy, Hal był uodporniony na mróz. Nawet nie naciągnął na głowę kaptura.

– Nie jest gorzej. Jest dokładnie tak samo – upierała się Jen.

– Jest gorzej – Hal zmrużył oczy i spojrzał na niebo. – Temperatura spada. Lodu jest coraz więcej. Między otwartym morzem a tym miejscem tworzy się spiętrzenie brył lodowych. Jeżeli będzie narastało, wytworzy się ściana lodowa, zagrządzająca wielorybom drogę do otwartego morza. A przez bryły lodowe wieloryby nie będą już w stanie się przebić. Są coraz słabsze.

Billy ujarzmił już urządzenie kamery i podszedł do Jen. Wskazał na powierzchnię wody w szczelinie.

– Widzisz to coś, co wygląda jak warstwa oleju?

Skinęła głową.

– To lód kotwiczny. My nazywamy go brzegowym, ponieważ dochodzi do samego brzegu lądu. Zanim nadejdzie wiosna, warstwa tego lodu może wzrosnąć nawet do dwóch metrów grubości.

Jen spojrzała na pływającą na wodzie warstwę lodu, wyglądającego jak powłoka tłuszczu. Pierwsza unosząca się na wodzie zasłona, zwiastująca zgubę wielorybów.

– Hej – Billy trącił ją żartobliwie w łokieć. – Nie bądź taka smutna. Jeszcze wszystko się może zdarzyć. Może jutro, kto wie?

Jen nie mogła wydobyć z siebie słowa. Oba wieloryby pozostawały pod powierzchnią kołyszącej się wody. Powinny wypłynąć za parę minut dla zaczerpnięcia powietrza.

– Hej – Billy potrącił znowu jej ramię. – Odłóż aparat. Wykorzystasz moje zdjęcia. Może stanę się sławny. Słyszałem, że dzięki tobie on już stał się sławny – Billy wskazał na Hala, sprawdzającego działanie kamery. Jeżeli nawet Hal usłyszał uwagę Billy’ego, nie dał tego po sobie poznać.

– Billy, włącz hydrofon. Trzeba zaczynać nagranie.

– Rozumiem, że do tego sprowadza się wszystko, co zamierzasz zrobić – Jen z rękami w kieszeniach spoglądała na Hala. – Po prostu robić zdjęcia i rejestrować dźwięki. – Była wzburzona.

Spośród spienionej wody zaczął wynurzać się mniejszy wieloryb, wyrzucając w powietrze potrójny pióropusz wodnego pyłu. Hal nawet nie spojrzał na Jen. Grymas jego ust wyrażał ironię i gniew.

– A cóż według pani miałbym zrobić, panno Martinson?

Jen patrzyła, jak ustawia kamerę dla uzyskania zbliżenia paszczy wieloryba.

– Mógłbyś coś zrobić. One giną, a ty ograniczasz się do zarejestrowania tego procesu dla dobra nauki – wypowiedziała te słowa z najwyższym sarkazmem.

– Słuchaj, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby im pomóc. Jesteś w swoim uporze nudna i głupia. Odsuń się, proszę, zaraz za tobą wynurzy się drugi wieloryb.

Jen cofnęła się o krok. Usłyszała za sobą plusk wody i głośny odgłos powietrza chwytanego przez wynurzające się z wody zwierzę. Wskazała na rysującą się w dużej odległości szczelinę spławną, odcinającą się ciemnym zabarwieniem od powierzchni lodu.

– Dlaczego nie powiększysz tej szczeliny? Tamtędy mogłyby się wydostać.

– Nie jestem Panem Bogiem – odparł.

– Nie musisz być Panem Bogiem. Rozsadź lód dynamitem czy czymś takim.

– Wieloryby mają bardzo wrażliwy słuch. Moglibyśmy je ogłuszyć.

– No dobrze, jeżeli nie można przybliżyć szczeliny spławnej, to dlaczego nie można wyprowadzić wielorybów w tamtym kierunku? Może trzeba na tym szlaku wyciąć większą ilość otworów albo coś takiego.

– Już próbowaliśmy. Czy nie rozumiesz? To nie są wieloryby grenlandzkie. To są wale szare. Żadne nasze działania nie przyniosły rezultatów. Budowa pływaczy nie przystosowała ich do przebywania w wodzie w czasie arktycznej zimy. Próbowaliśmy wybijać nowe otwory. Ale wieloryby nie chcą tam przepłynąć. Nie orientują się, że w ten sposób niesiemy im pomoc. Moglibyśmy spróbować otworzyć drogę ku pełnemu morzu, wykorzystując piły łańcuchowe, ale do przeprowadzenia takiej operacji potrzeba większej liczby ludzi, mnóstwa czasu i pieniędzy.

– Za mało pieniędzy? Uzależniasz tę akcję od pieniędzy?

– Posłuchaj. North Slope jest samodzielnym okręgiem administracyjnym. Władze lokalne – poza innymi wydatkami – finansują badania naukowe. Ale nie mogą całego budżetu przeznaczyć na dwa wieloryby.

– Ale czy można sobie w ogóle wyobrazić zgładzenie tych zwierząt? Czy władze mogłyby wyrazić na to zgodę?

– Jen, nikt nie chce ich zguby – westchnął zirytowany Hal. – Tubylcy mogą głosować za skróceniem cierpień tych zwierząt. Ale to jest wyjątkowa sytuacja i władze lokalne będą musiały najpierw uzgodnić sposób rozwiązania całej sprawy z Urzędem Federalnym.

– Czy ty usiłujesz przerzucić odpowiedzialność na Eskimosów?

Głębokie oddechy wielorybów były nierówne. Po zaczerpnięciu powietrza zanurzyły się pod wodę.

– Niczego na nikogo nie usiłuję przerzucać. Podaję ci fakty.

– Lodołamacz – powiedziała Jen w nagłym błysku natchnienia. – Czy nie możesz skorzystać z pomocy lodołamacza?

– Nie. W rozsądnej odległości są tylko dwa, oba starsze niż Matuzalem. Ten, który jest bliżej nas, za każdym razem, kiedy do nas płynie, utyka w lodach. Utknąłby jeszcze gorzej niż wieloryby.

– To chyba nie są żadne lodołamacze – powiedziała Jen przerażona.

– Powiedz to temu gadule, Długiemu Johnowi. Może ludzie zamiast do mnie zaczną telefonować do Biura Ochrony Wybrzeża i tam coś się zmieni.

– A czy nie można by było ich uspić, wydobyć z wody i przenieść do morza?

Hal zacisnął zęby i spojrzał w górę. W ciągu ostatnich piętnastu minut niebo poszarzało, a wiatr pędził niewielkie chmury, zasłaniające słońce. Czuł, jak temperatura się obniża. Zwrócił się do Jen.

– Nikt nie wie, w jaki sposób można by to zrobić, ani jaka dawka lekarstwa byłaby potrzebna. A jeżeli nawet ktoś by wiedział, to w jaki sposób można by je przenieść? Zrobić

uprzeże i wlec po lodzie? Przywiązać do rybitw, żeby z nimi pofrunęły?

– Ty wysyłasz jakieś wyjątkowo negatywne prądy – stwierdziła Jen – które na pewno nie wpływają dobrze na te biedne stworzenia.

Zaklął cicho. Gdyby tylko w jakiś magiczny sposób mógł ją przenieść do Kalifornii, tysiące kilometrów stąd! Żałował, że ją w ogóle spotkał. A nade wszystko żałował, że nie może zapomnieć smaku jej ust, które całował, ani jej ciała, które dotykał.

Widząc, jak bardzo jest poruszona, zapomniał o złości. Wydawało mu się, że ktoś złapał jego serce w kleszcze, tak bolało, gdy patrzył na jej twarz. Chciała, żeby był bohaterem, a on nie mógł spełnić tego oczekiwania. Gdyby wieloryby przepłynęły do następnego otworu, wtedy byłaby szansa, cień szansy.

Było wczesne popołudnie, gdy spostrzegli gąsienicowy pojazd śnieżny, prowadzony przez jakiegoś mężczyznę. Billy oznajmił, że to Warren Tipana, myśliwy, który pierwszy odkrył uwięzione wieloryby. Hal pomachał mu ręką na powitanie. Lecz gdy Warren wysiadł z pojazdu, zauważyli ponury wyraz jego twarzy. Nie odpowiedział uśmiechem na powitanie. Warren nie lubił mówić po angielsku, więc Billy wystąpił w roli tłumacza. Warren przywiózł Halowi cały plik notatek, które nadeszły do ośrodka z biura burmistrza. Hal zmarszczył brwi i sięgnął po dużą, żółtą kopertę.

– On mówi, że w ratuszu telefony dzwoniły przez całe rano – tłumaczył Billy. – Dzwonią nadal. Ludzie proszą, żeby nie dopuścić do zagłady zwierząt. Burmistrzowi już głowa pęka. Cztery stacje telewizyjne prosiły go o filmy wideo. Pytano, czy doktor Bailey byłby uprzejmy i mógłby je nadesłać. Czy doktor Bailey – Billy tłumaczył dalej – mógłby dać nagrane taśmy dźwiękowe do wykorzystania przez stacje radiowe i przekazać dalsze relacje do gazet? Pan burmistrz zaklina doktora Bailey, aby zapewnił, że mieszkańcy Ultimy, tak jak wszyscy, są zainteresowani ocaleniem zwierząt.

Warren wyruszył z biura burmistrza do ośrodka na poszukiwanie Hala. Okazało się, że w ośrodku panuje jeszcze większy harmider. Z siedmiu stacji telewizyjnych i dwóch sieci radiowych telefonowano z prośbą o taśmy wideo. Jeden wybitny senator z Alaski telefonował z Waszyngtonu, pytając, co mógłby uczynić dla swojego stanu, swoich wyborców i wielorybów w tak krytycznej sytuacji. W dodatku organizacja „Żywy Świat”, bojowa grupa obrońców przyrody, grozi, że ma zamiar podjąć kroki prawne, zapobiegające zagładzie zwierząt.

– Do diabła! – wykrzyknął ze złością Hal. – Mam tutaj dwójkę biednych, poranionych wielorybów, unieruchomionych w arktycznych lodach, a ci ludzie chcą z tego zrobić aferę polityczną?

Jen też była przerażona. Warren przyniósł ze swojego pojazdu drugi gruby pakiet papierów, zawierających wiadomości, żądania i groźby, które nadeszły do ośrodka.

Hal ze zmarszczonymi brwiami patrzył w górę. Niebo stawało się złowieszczo szare, a z północy nadciągał wiatr. Postawił kaptur.

– Robi się zimniej – rzucił w przestrzeń.

Jen patrzyła na wieloryby. Większy kołysał się na wodzie blisko krawędzi otworu. Mniejszy był apatyczny i trzymał się z dala od ludzi. Był wyraźnie słabszy.

Hal tymczasem przeglądał notatki, przywiezione przez Warrena.

– To jest szaleństwo – mrucał – szaleństwo! Warren, patrząc na ciemne chmury płynące ponad horyzontem, powiedział coś po eskimosku.

– Za parę dni spadnie śnieg – przetłumaczył Billy, badając wzrokiem ponure niebo. Jen zacisnęła powieki. Wmawiała w siebie, że jej oczy są wilgotne od mrozu, a nie od łez. Hal nadal przeglądał kartki papieru.

– Szaleństwo – powtarzał. – Świat oszalał.

Jen usłyszała dzwonek telefonu, gdy weszła do pokoju.

– Zlituj się, coś ty narobiła! – wołał dziadek.

– O twoich wielorybach mówi cała Kalifornia! Boże! Cóż za niemożliwa dziewczyna!

Jen zdenerwowana i potwornie zmęczona usiadła na brzegu łóżka.

– To ty jesteś niemożliwy! Jak śmiałeś telefonować do Hala Baileya i wciskać mu łapówkę za wysłanie mnie do domu?

– Przeklęty Bailey! Był wobec mnie impertynencki. Czy ten głupiec nie wie, że mogę go kupić i sprzedać?

– Nie – zareplikowała Jen. – Nie, oczywiście nie wie. A w dodatku mylisz się, Dagobercie, tego człowieka nie można kupić ani sprzedać.

– Chciałbym cię już mieć w domu, kochanie – pomimo burkliwego tonu te słowa wypowiedział z uczuciem. – A ten Bailey wcale cię tam nie chce i wyraził to jasno. Wróc do domu. Teraz nie ma już potrzeby, żebyś nadal pozostawała na Arktyce.

Jen przyłożyła rękę do czoła. Było rozgrzane. Bolała ją głowa. Zaszło w ustach. Poza nią samą i Walterem Stonebridgerem nikt inny nie uważa jej obecności na Alasce za potrzebną.

– Zostaję tutaj. Teraz będę pracowała dla „Sentinela” z Redwood City.

– „Sentinel”? O, co to, to nie! – sprzeciwił się gwałtownie Dagobert. – Dwa miesiące temu w jednym z artykułów nazwali mnie starym baronem-rozbójnikiem.

Jen czuła pulsowanie krwi w skroniach.

– To określenie zapewne ci się podoba. Myślisz, że stawia cię w rzędzie największych osobistości. Tymczasem faktem jest, że ze względu na twoją politykę ekologiczną, a właściwie jej brak, wielu ludzi cię nie znosi.

– Eee, gdy byłem młody, nikt nie zawracał sobie głowy takimi sprawami. A teraz zmieniam kurs i wszyscy będą zadowoleni.

– Do tej pory nie zmieniłeś kursu dostatecznie. Masz nadal fatalną opinię.

Dagobert skwitował tę uwagę drwiną:

– Gdybym chciał, byłbym u tych bezczelnych ekologów bardziej popularny niż świeże powietrze. W ciągu tygodnia mógłbym stać się ich ulubieńcem. Gdybym miał na to ochotę, w ciągu jednego dnia mógłbym zdziałać więcej niż „Sentinel” w ciągu roku, z tym jego cikliwym sentymentalizmem. Przestań dla niego pracować. Natychmiast.

– Nie, tam mnie zatrudnili.

– Jeżeli już musisz opisać tę idiotyczną historię przed powrotem do domu, to napisz ją dla Ferda. On cię znowu przyjmie do pracy.

– Nigdy w życiu.

– A może podobałaby ci się praca w naszym biurze prasowym? Mogę utworzyć dla ciebie specjalne stanowisko pracy. I wybudować biuro na dachu naszego wieżowca. Miałem pogawędkę z synem prezydenta. Chciałby cię poznać.

– Dla ciebie także nie będę pracowała – stwierdziła stanowczo, przyciskając mocniej dłoń do czoła. – Nie mam zamiaru poznawać syna prezydenta. Chcę żyć własnym życiem.

– Jeżeli takie będą moje plany, będziesz dla mnie pracowała, czy ci się to podoba, czy nie – ostrzegł Dagobert. – A tymczasem Ferd może wysłać na Alaskę na twoje miejsce reportera z prawdziwego zdarzenia. Nawet taka pięciorzędna gazeta jak „Sentinel” nie będzie cię już wtedy potrzebowała. Przestań mi się opierać. Początkowo miało to swój wdzięk, teraz jest tylko nudne – zakończył rozmowę Dagobert.

Jen odłożyła słuchawkę. Najchętniej położyłaby się do łóżka, zwinęła w kłębek i wyplakała w poduszkę. Ale wtedy Dagobert odniósłby w jakimś sensie zwycięstwo. Udzielił

jej jednak jednej dobrej rady: trzymać się z daleka od Hala.

Pomyślała o Hалу. To, co zamierzała zrobić, nie będzie mu się podobało. Mimo to tak właśnie zrobi. Musi. Nakreśliła numer redakcji „Sentinela” w Redwood City. Odnalazła Waltera F. Stonebridgera i zdała mu relację, niczego nie przemilczając.

– Ludzie pochłaniają te wiadomości, pani Martinson – zazgrzytał Stonebridger swym przepitym i przepalonym głosem. – Błogosławią panią. Jest pani właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Tutejsza radiostacja ma zamiar nadawać pani reportaże. Zrobiła pani karierę. Czy chce pani pracować dla mnie na pełnym etacie po powrocie do Kalifornii?

– Nie, raczej nie sądzę, aby to było możliwe – odmówiła Jen uprzejmym głosem.

– A więc wykorzystała nas pani tylko w rozgrywce z tym starym łotrem?

– Być może – odpowiedziała. Właściwie sama nie wiedziała. Wiatr wzmagął się, aż trzeszczała framuga okna. Po raz tysięczny pomyślała o uwięzionych w lodzie wielorybach i o mrozie, który skradał się, by odnieść nad nimi zwycięstwo.

– Hej, proszę się nie przejmować – pocieszał ją Stonebridger. – Wszyscy się nawzajem wykorzystują. I tak to działa.

Jen zapewniła, że będzie go nadal o wszystkim informować i zakończyła rozmowę. Wstała i podeszła do okna. Za kompleksem zabudowań ośrodka widać było jednostajny krajobraz. Słońce, upiorny krążek, chowało się za horyzontem na południu.

Do jadalni poszła sama, gdyż Hal nie wstąpił po nią. Szybko tego pożałowała. Wszyscy gapili się na nią z ciekawością i z niezbyt dobrze skrywaną niechęcią. Nikt nie odezwał się do niej ani słowem, nikt jej nawet nie pozdrowił. Automatycznie uśmiechnęła się do Arnolda, on jednak patrzył na nią z kamienną twarzą. Nałożył jej jedzenie na talerz i rzucił nieprzyjazne spojrzenie. Uśmiech zamarł na jej ustach. Nigdzie nie widać było ani Hala, ani Bilh/ego. Siedziała sama i nikt się do niej nie dosiadł. Lodowate spojrzenia, którymi ją obrzucano, dawały jasno do zrozumienia, że jest w ośrodku obca, że wprowadziła tu tylko chaos i że nie należy do tej społeczności. Jen nie mogła znieść tego nastroju. Wstała i ruszyła ku drzwiom, zostawiając prawie nietknięte jedzenie.

O dziesiątej rozległo się pukanie do drzwi. Odezwała się drżącym głosem, gdyż pomyślała, iż być może administracja ośrodka przysłała jej swoich emisariuszy z żądaniem jej wyjazdu.

W drzwiach stał Hal z kanapką, frytkami i puszką coli w ręku.

– Słyszałem, że nic nie jadłaś dziś wieczorem – powiedział. – Byłem w Ultimie. Rozmawiałem z burmistrzem.

Kiedy odezwał się znowu, jego głos zabrzmiał szorstko.

– Słuchaj, ty pewnie uważasz, że nie jesteś tu lubiana. No cóż. Porządnie narozrabiałaś.

Jen starała się opanować.

– Dali mi to wyraźnie do zrozumienia. Tak... przepraszam.

– Mam za dużo pracy, żeby być twoją niańką. Masz tu coś do zjedzenia.

Jen usiadła na brzegu łóżka. Podziękowała za jedzenie, ale nie mogła nic przełknąć.

– Po prostu nie mogę przestać myśleć o wielorybach. Wbrew jej oczekiwaniom Hal nie wyszedł z pokoju.

Usiadł na krześle.

– Zadręczanie się nic tu nie pomoże. Jedz, proszę. Nie mogę się ciągle tobą opiekować.

– Nikt cię o to nie prosi.

– Owszem, Keenan mnie prosił.

– Nie chciałam sprawiać ci kłopotów. Ani w ogóle nikomu. Wyjechałabym, gdyby nie ta nowa praca. A co mówił burmistrz?

– Dlaczego pytasz? – uśmiechnął się gorzko.

– Chcesz przekazać nowiny całej Kalifornii? Dzięki tobie nasze miasto ma teraz poważny problem. Gromady ludzi oczekują, że my tutaj ocalimy te zwierzęta. Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy tego dokonać.

– A jaka jest pogoda? – spytała, nadsłuchując odgłosów wichru, wstrząsającego okienną ramą.

– Zimno. Minus dwadzieścia pięć stopni.

Jen czuła, że Hal ją obserwuje, lecz nie miała ochoty spojrzeć na niego. Czasami wydawało się jej, że widziała w jego oczach cień czułości. Tym bardziej zabolalo ją, gdy uświadomiła sobie swoją pomyłkę.

– Czy wieloryby przeżyją noc?

– Prawdopodobnie – odparł krótko i spokojnie.

– Tylko prawdopodobnie? – Jen rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie. – Masz serce z kamienia.

– Jestem realistą, to wszystko. Zjedz coś, dobrze?

– Nie mam apetytu – odmówiła ruchem głowy. Nie mogę przestać o nich myśleć.

– No to zagłódź się. Zobaczysz, co z tego wyniknie. Jen poruszyła się niepewnie na łóżku. Przestrzeń pokoju stała się za mała, było za gorąco. Hal został z nią tylko po to, żeby ją jeszcze bardziej dręczyć. Spytała:

– Dlaczego jeszcze nie idziesz? Chyba masz już mnie dość na dziś.

Hal spojrział przed siebie z goryczą.

– Tak, dość. – Wstał. – Przyszedłem, bo niepokoiłem się o ciebie. Ale myślę, że utrzymywanie tego... związku między nami nie ma sensu.

Przymknęła oczy, zdumiona, że on ją choć trochę bierze ją pod uwagę.

– Opiekę nad tobą przekazuję Billy'emu. Ze względu na Keenana pozostajesz gościem w ośrodku. Ale od tej pory będę przekazywał ci tylko te informacje, które zostaną udostępnione wszystkim innym z zewnątrz.

Nie spojrziała na niego.

– Zostaw mnie w spokoju. Wolalabym porozmawiać z Billym. On przynajmniej jest ludzki. Podeszła do okna i rozsunała zasłony. W ciemnościach lśniły światła zorzy polarnej. Czuła dławiący ją smutek. Ból w piersiach narastał.

– Proszę cię, idź już – zwróciła się do Hala. Przypomniała sobie słowa dziadka: trzymaj się z daleka od niego. Teraz to nie będzie potrzebne. Teraz Hal będzie trzymał się z dala od niej. Patrzyła na zorzę polarną i przełykała łzy. Czuła dla Hala szacunek.

Był mocnym, a przede wszystkim uczciwym człowiekiem, oddanym swojej pracy, lecz ona chciała, żeby po prostu był ludzki. Żeby był istotą czującą. Okazującą dobroć. Sympatię.

Kiedy wyszedł z pokoju, odczuła ogromną ulgę i jednocześnie ogromną samotność.

Idąc korytarzem, Hal zastanawiał się, po co właściwie do niej poszedł i dlaczego usiłował z nią rozmawiać. Chciał powiedzieć, że być może jest – choć nikła – szansa uratowania zwierząt. Ale nie powiedział. Chciał powiedzieć, jak bardzo mu przykro z powodu postawy ludzi w jadalni. Lecz tego również nie powiedział. Zacisnął zęby i jeszcze raz uświadomił sobie, że od samego początku oni dwoje nie mieli ze sobą nic wspólnego. Rodzina Martinsonów zabiegała o te wszystkie wartości, które on odrzucał. Za dużo pieniędzy i władzy, a za mało zrozumienia dla kruchego, naturalnego środowiska Ziemi.

Fakt, że Jen wywołała to zamieszanie bez złej woli, nie usprawiedliwiał jej. Wtrąciła się w nie swoje sprawy dla kaprysu i nie chciała wycofać się z czystego uporu. Wolalaby, żeby wyjechała, lecz jednocześnie nie chciał jej ranić. To wszystko było obłąkane. A już najgorsze było to, że ona nieustannie doprowadzała go do złości nawet na siebie samego.

Wbrew wszelkiej logice sprawiła, że chciał być herosem: przenosić góry, przebijać żeglowną drogę przez zamrożone morze i dokonywać innych niebywałych wyczynów. Był zły na siebie za to, że jest tylko człowiekiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wypadki toczyły się tak, jakby Jen – wbrew swoim intencjom – otworzyła puszkę Pandory z kłopotami, które – trudne i dokuczliwe – mnożyły się. Nastrój stawał się coraz bardziej posępny. Następnego dnia uwaga całego świata skupiła się na uwięzionych wielorybach, co tylko spotęgowało chaos. Agencje informacyjne uzyskały z „Sentinela” raport Jen. Przedrukowały go wszystkie gazety na całym świecie. Sieci telewizyjne przekazywały dane o wielorybach, uzyskane z ośrodka. Jak Ameryka długa i szeroka, każdy widział miejsce ich uwięzienia. Telefony dzwoniły nieustannie. Rozmówcy zadawali pytania, udzielali rad, życzyli naukowcom powodzenia, pouczali, płakali, wygłaszali oracje i grozili, modlili się i przeklinali.

Hal był ponury, lecz spokojny. Chcąc uchronić od niepotrzebnych przykrości swój personel, sam przeprowadzał rozmowy z tymi, których zdanie mogło mieć znaczenie. I z najbardziej rozhisteryzowanymi. Cała ta sprawa szybko przekształcała się w cyrk. Hal, wbrew swojej woli, grał rolę aranżera programu, panującego nad sytuacją.

Tego wieczoru Jen natknęła się na Hala, gdy wracała z biblioteki ośrodka. I choć Hal przez cały dzień jej unikał, nie mogła się powstrzymać i zatrzymała go. Spojrzał na nią z rezerwą. Usiłowała usprawiedliwiać się, choć wiedziała, że to bezcelowe.

– Nie mogłam przewidzieć, że sprawy potoczą się w taki sposób.

– Prasa to naładowana armata – twarz Hala pozostała surowa. – Bawiłaś się nią i wystrzeżiła.

Jen skrzywiła się boleśnie.

– Wycelowana w Ultimeę. Jest mi tak przykro... przepraszam.

– Powinnaś przeprosić cały personel ośrodka, nie mnie. To na nich wszystko się skrupiło. Ich normalny tok pracy został całkowicie zakłócony. Są wytrąceni z równowagi, przemęczeni. A ludzie w biurze burmistrza dostają szału.

– Nie chciałam...

– Nie ma znaczenia, co chciałaś. Ważne jest to, co zrobiłaś.

– Posłuchaj, ja tylko usiłowałam przedstawić dokładnie fakty, a ludzie poszli za odruchem serca.

– Wykorzystałaś tę sprawę, żeby sobie zrobić reklamę, a miasto postawiłaś pod pręgierzem opinii publicznej, która domaga się, abyśmy ocalili te zwierzęta. Tylko nikt nie wie, w jaki sposób. Teraz trzeba pomyśleć, jak wykorzystać te trudności.

– Nie chciałam niczego wykorzystywać. A co masz na myśli, mówiąc „wykorzystać te trudności”?

Wzrok Hala był spokojny – jak zwykle.

– Może w tym całym bałaganie wyłoni się jakaś szansa pomocy dla zwierząt. Może nadarzy się nagle jakaś sposobność. Moim zadaniem jest ją uchwycić i wykorzystać.

– Sądzisz, że będziesz mógł wykorzystać ten rozgłos? W jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem. Wiem jedno, że jeżeli ma się kłopoty, to albo można pozwolić, żeby nas pokonały, albo obrócić je na naszą korzyść.

– Ale... – zaczęła Jen.

– Chcesz, żebym uratował wieloryby – przerwał jej. – To powiedz ludziom z tej twojej przekłętej gazety, że potrzebujesz pomocy. Wieloryby same nigdzie nie przepłyną, a my nie mamy żadnych możliwości, żeby je ruszyć z miejsca. Jeżeli nikt nie ma zamiaru nam pomóc, to niech dadzą nam święty spokój i pozwolą normalnie pracować. Nagle zjawiała się

sekretarka Hala.

– O, tu pan jest, doktorze, dzięki Bogu. – Wyglądała na zdenerwowaną. – Jest do pana telefon z Waszyngtonu. I ma pan natychmiast zadzwonić do Kalifornii. I telefonował dziennikarz z Londynu. I z Australii.

Hal ruszył w stronę biura, odprowadzany wzrokiem Jen. Zbolała, ze łzami w oczach pobięła do pokoju. Jej reportaż okazał się jednym wielkim, ośmieszającym ją niewypałem.

Po raz drugi zatelefonowała do Waltera Stonebridgera.

– Czy coś się stało? – zapytał. – Jaki jest rozwój wypadków?

– Nic się nie stało. Proszę posłuchać. Doktor Bailey potrzebuje pomocy. Mieszkańcy Ultimy potrzebują pomocy.

– A to nowina, pani Martinson. On mówi o tym każdemu reporterowi. I czego oczekuje, cudu?

– Być może – odparowała Jen. – Dlaczego nie?

– Dlatego, że w grę wchodzi dwa możliwe cudowne rozwiązania. Pierwsze to zdobyć lodolamacz. I to jest niemożliwe. Najbliżej Ultimy znajduje się rosyjski. A rosyjski musi mieć wydane z dwutygodniowym wyprzedzeniem urzędowe zezwolenie na wejście w obszar amerykańskich wód terytorialnych. I żadnych wyjątków się nie przewiduje. Drugi cud to poprawa pogody. Ale mamy ostrzeżenie, że nadchodzi sztorm o niebywalej sile. Sytuacja jest bardzo niedobra, lecz pani obowiązkiem jest przekazywanie mi relacji z rozwoju wydarzeń do samego końca.

Jen odłożyła słuchawkę rozgoryczona. Nikt nie zamierzał przyjść z pomocą. I za zgubę wielorybów nikt nie będzie obwiniał samej natury, lecz mieszkańców Ultimy, którzy są zupełnie bezradni. Stonebridgerowi, siedzącemu sobie bezpiecznie w Kalifornii, zależało tylko na „rozwoju wypadków”, z których relację mógł sprzedać dalej. Jen poczuła, że ma powyżej uszu całej prasy. Nie zamierzała już relacjonować faktów. Chciała je stwarzać. Zadzwonił telefon.

– Halo – Jen chwyciła słuchawkę – halo!

– Halo – usłyszała mrukliwy głos Dagoberta. – Czy masz już dość tej całej hecy z prasą?

– Nie – skłamała.

– A mrozu? Wracasz do dziadziusia?

– Nie, po tysiąckroć nie – tym razem odpowiedziała z pełnym przekonaniem.

– Mogłabyś już dać temu spokój, Jen – głos dziadka złagodniał nieco. – Już możesz wycofać się z tej całej sprawy. Ferd wysłał tam reportera z prawdziwego zdarzenia.

– To bardzo dobrze. Ale on nie uzyska innych wiadomości niż ja. W tej chwili nic nie zapowiada żadnej zmiany na lepsze. Mróz się wzmaga. Wieloryby potrzebują pomocy.

– Pomocy? – ożywił się Dagobert – powiedziałaś „pomocy”? Poprosiłaś mnie o pomoc, kochanie?

– Nie, nie poprosiłam.

– Szkoda. Mógłbym wysłać moich biologów z Zatoki Prudhoe’ego na pomoc temu impertynenckiemu Baileyowi. To eksperci.

– Doktor Bailey jest wystarczająco dobrym ekspertem – odrzekła Jen. – Jest zdolny, ma doskonałe rozeznanie w sytuacji i nie potrzebuje tu obcych.

– Co to znaczy? Chyba z nim nie trzymasz? Przecież ci zakazałem. Telefonowałem dzisiaj do niego i poleciłem mu, żeby wysłał cię do domu. Coś mi powiedział na temat nieblokowania telefonu z powodu głupstw i powiesił słuchawkę. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że gdy tylko zechcę, zmuszę go do posłuszeństwa?

– Dagobercie, jego nie obchodzą problemy naszej rodziny, podobnie zresztą jak i mnie. Jedyne, co mnie obchodzi w tej chwili, to uwolnienie wielorybów.

– Ciebie bardziej obchodzą te dwie baryłki tranu niż ja – poskarżył się Dagobert. – Jesteś egoistką, upartym i wyrodnym dzieckiem.

– Nie czuję się z tego powodu winna, a ty nie możesz robić...

– Mogę robić wszystko, na co mam ochotę. Będiesz tańczyła tak, jak ja zagram, młoda damo. Dla twojego własnego dobra – rzucił głośno słuchawkę.

Jen dzwoniło w uszach. Znała Dagoberta i wiedziała, że jego cierpliwość wyczerpała się. Teraz użyje całej swej siły. Poczula się jak wieloryby – w pułapce.

Nazajutrz rano Billy znowu zabrał Jen na zamrożoną pokrywą morza. Był on teraz w ośrodku jedynym człowiekiem przyjaźnie do niej usposobionym. Jedynie Billy potrafił dostrzec pewien humorystyczny rys powstałej sytuacji i żartować na ten temat. Lecz kiedy znaleźli się oboje na lodowej pokrywie zamrożonego morza, także on stracił humor. Mróz wzrastał, pokrywa lodowa stawała się grubsza. Było widoczne, że wieloryby słabły.

– Chyba nie ma dla nich ratunku – Billy pokiwał głową ze smutkiem.

– To straszne – odezwała się Jen. Billy spojrział na dziewczynę.

– Moja mama powiada, że to głupie robić tyle wrzawy wokół wielorybów. Ale kiedy się na nie patrzy, żal ściska serce.

– Tak – Jen uklękła i wyciągnęła rękę w stronę większego wieloryba. Do jego pyska nadal przywierały liczne skorupiaki. Dotknęła go jak zwykle z pewną obawą, ale zwierzę pozwoliło się pogłaskać.

Po drugiej stronie szczeliny zobaczyła Hala otoczonego grupą ludzi. Zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo skomplikowała mu życie. Rozgłos, nadany sprawie wielorybów, przyciągnął do Ultimy wielu obcych przybyszów – Jen nie była tu jedynym intruzem. Przybyli reporterzy z dziennika „Daily News” z Anchorage i z „New York Times’a”. Mówiono, że w najbliższym czasie spodziewani są dziennikarze z Seattle i San Francisco.

Przyjechał również mały grubasek o nazwisku Bartwick z jakiegoś ważnego urzędu federalnego. Przywiózł ze sobą dwóch lekarzy weterynarii. Łazili teraz tam i z powrotem po lodowej pokrywie, dokonując urzędowej oceny sytuacji.

– Biedny Hal – stwierdził Billy ze współczuciem.

– Zanim wszystko się skończy, zbierze się na tym lodzie tłum ludzi. Całe gromady mają zjawić się jutro. Warren Tipana ciągle powtarza, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zabicie wielorybów. Ale inni ostrzegają, że gdybyśmy to zrobili, cały kraj znieawidziłby Eskimosów.

– Mają się tu zjawić jutro znowu jacyś ludzie?

– Jen spojrziała na Billy’ego z przerażeniem. – Ilu? Skąd wiesz?

– Telefonowałem do bazy z samochodu przez C. B. Radio. Przed chwilą.

Billy przedstawił przygnębiająco długą listę reporterów, urzędników, dygnitarzy i różnego rodzaju działaczy, wybierających się do Ultimy. Przyjechać ma także ekipa telewizyjna, a nawet filmowa. Wreszcie zapowiedzieli się przedstawiciele Spółki MaLaBar z Zatoki Prudhoe’ego.

– Skoro reflektory będą skierowane w tę stronę – powiedział Billy cynicznie – MaLaBar chce mieć swój udział w tym rozgłosie.

Jen ponownie zrobiło się niedobrze. Korporacja Martinsona posiadała znaczne udziały w Spółce MaLaBar i prawdopodobnie dziadek nie czekał na jej prośbę o pomoc. Jen widziała już nagłówki w gazetach: „Potentat naftowy z pomocą pozostawionym na łasce losu wielorybom”. Znając stosunek Hala do przedsiębiorstw naftowych, mogła się spodziewać, że ją obciąży odpowiedzialnością za taki rozwój wypadków i odniesie się do tego z pogardą. MaLaBar? O, nie!

– Fatalna sprawa, prawda? – westchnął Billy. Jen przeniosła wzrok na Hala. Przez moment ich oczy spotkały się. Odwrócił się, jakby jej nie dostrzegł.

– Tak – Jen zwróciła się do Billy’ego, udając, że niczego nie zauważyła – zawsze wydaje mi się dziwne, gdy przedsiębiorstwa naftowe i obrońcy naturalnego środowiska są po tej samej stronie.

– A tym razem także i Eskimosi – dodał Billy – choć nasze interesy są sprzeczne zarówno z jednymi, jak i drugimi. Przynajmniej w tej jednej sprawie wszyscy się połączyli. Za przyczyną twojej relacji.

Tak, za przyczyną mojej reporterskiej relacji, pomyślała Jen. To za jej przyczyną rozpętało się szaleństwo w Ultime i życie Hala zmieniło się w piekło. Nie powinna była tego zaczynać. Ale skoro zaczęła, musi doprowadzić sprawę do końca.

Następnego dnia zapanowało w ośrodku istne szaleństwo. Jen nie mieszkała już teraz sama w części hotelowej, bowiem do pokojów gościnnych wprowadzili się przedstawiciele urzędów federalnych i Bartwick ze swymi weterynarzami. Okazało się, że Jen musi dzielić łazienkę z młodszym z nich dwóch, ten zaś okazał się być bardziej lubieżnikiem niż dobrym sąsiadem. Nieszczęśliwy z powodu pobytu w tym odległym rejonie Arktyki, pocieszał się alkoholem. Fakt, że w Ultime go nie sprzedawano, nie stanowił dla weterynarza żadnej przeszkody – przywiózł własne zapasy. Był ciągle podпиты i uznał, że Jen jest kobietą, której nie może się oprzeć. Zamknęła na klucz drzwi od łazienki, ale weterynarz stał po drugiej stronie i głośno opowiadał, co chciałby z nią robić.

Jen nie pozostawiało nic innego, jak poskarżyć się następnego dnia Billy’emu, który z kolei musiał przekazać skargę Halowi. Hal zacisnął zęby i poprosił Billy’ego o przeniesienie Jen do mieszkania Keenana, gdzie będzie bezpieczna. Mieszkanie Keenana mieściło się obok mieszkania Hala, który wcale nie był zachwycony perspektywą sąsiedowania z Jen.

W czasie śniadania Jen siedziała sama w sali jadalnej, wpatrując się w filiżankę kawy. Hal, także samotny, wertował raport o pogodzie przy innym stoliku.

W pewnej chwili do jadalni wbiegła sekretarka Hala, coś wyszeptała do niego z przejęciem i równie spieszenie wybiegła.

Hal rzucił Jen surowe spojrzenie. O, nie, pomyślała, tylko nie jakiś nowy kryzys! W chwilę później zjawił się Billy. Podszedł do Jen i powiedział:

– Jest tu już ten reporter z San Francisco. Szuka ciebie. Nazywa się Finnegan. Chcesz się z nim zobaczyć?

Jen pokręciła przecząco głową. Finnegan był twardym, cynicznym człowiekiem o zwiotczalej twarzy i takiej samej duszy. Domyślała się, że został nasłany na nią przez Ferda na pewno za sprawą Dagoberta, żeby ją zastraszyć i pozbawić tej reszty pewności siebie, która jej jeszcze została.

– Siadaj, proszę – zwróciła się do Billy’ego. – tak potrzeba mi przyjaznej duszy.

– Mnie też – uśmiechnął się Billy.

Później, wioząc Jen na pole lodowe, Billy przekazał jej wiadomość o spodziewanym przybyciu jeszcze tego samego dnia piątki działaczy ruchu ekologicznego.

– Hal powiedział, że jeden z nich jest wspaniałym facetem, trzech jest okay, ale piąty to prawdziwy wariat. Nienawidzi wszystkich, w tym Eskimosów, za to, że polują, a nawet za to, że jedzą mięso. Czy on sobie wyobraża, że w naszym klimacie mamy uprawiać mango? A może jeść śnieg?

Pokrywa lodowa zamrożonego morza nie była teraz pusta i czysta. Toczyły się po niej pojazdy zostawiając na śniegu ślady opon. Dziennikarze, fotoreporterzy z aparatami fotograficznymi i kamerami wideo przyjeżdżali i odjeżdżali, mijając się z gapiami z Ultimy i

pobliskich miasteczek.

O wpół do drugiej przyjechali dwaj przedstawiciele Spółki MaLaBar ze swej bazy w Zatoce Prudhoe'ego. Dostojnie wysiedli z taksówki, wynajętej na lotnisku w Ultimie. Jeden z nich był biologiem, potężnym, pogodnym mężczyzną z czarnymi wąsami. Drugi niski, energiczny blondyn, występował jako rzecznik prasowy. Jen zobaczyła gromadzącą się wokół niego grupę dziennikarzy. Nie miała wątpliwości, że będzie zapewniał o stałej, głębokiej i najwyższej trosce, z jaką Spółka MaLaBar odnosi się do zagadnień ochrony przyrody.

– Nazywam się LaMont Marcuse – rozpoczął rzecznik. – Spółka MaLaBar jest bardzo zaniepokojona położeniem naszych nieszczęśliwych, uwięzionych tu przyjaciół. Dlatego MaLaBar delegowała swego najlepszego biologa, pana Stanleya Franka w celu zbadania na miejscu sytuacji i udzielenia fachowej porady.

Z nosem czerwonym od mrozu i szczękającymi zębami Marcuse z trudem usiłował utrzymać dystygnowany wygląd. – Według naukowej opinii doktora Franka pracownicy ośrodka i mieszkańcy Ultimy powinni robić wszystko, co w ich mocy, dla utrzymania wielorybów przy życiu w nadziei, że zostaną one uwolnione z okowów lodu, gdy pogoda się zmieni. Powtarzam, pracownicy ośrodka i mieszkańcy Ultimy muszą robić wszystko dla utrzymania zwierząt przy życiu, a MaLaBar będzie pilnie przypatrywać się rozwojowi wydarzeń.

Jen poczuła, jak mróz przebiega jej po plecach, gdy ujrzała Hala, który zbliżał się właśnie do małego blondyna. Zaciśnął mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam pana bardzo – Hal zwracał się do Marcuse'a. Lecz mówił tak głośno, aby wszyscy reporterzy mogli go usłyszeć. – Oferuje nam pan tylko słowa, panie Marcuse. Słowa nic nie kosztują. Spółka MaLaBar mogłaby zaproponować nam coś cenniejszego.

Jen nadstawiła uszu. Głos Hala brzmiał oficjalnie, jak w czasie wygłaszania urzędowych oświadczeń.

– Chciałbym zadać panu pytanie, korzystając z obecności prasy – przerwał i spojrzał wprost na Jen. – Proszę przypilnować, żeby to, co powiem, dotarło do gazet kalifornijskich, dobrze pani Martinson? Kalifornijczycy zapewniają nas o swoim zaangażowaniu w sprawę ratowania wielorybów. Teraz sprawdzimy ich intencje.

Policzki Jen płonęły. Do czego on zmierza? Dlaczego zwraca się wyłącznie do niej?

– Dzisiaj o ósmej rano otrzymałem telefoniczną wiadomość – kontynuował Hal – że Spółka MaLaBar dysponuje poduszkwowcem przystosowanym do cięcia lodu grubości pół metra, a nawet grubszego. Jeżeli MaLaBar jest tak przejęta losem wielorybów, dlaczego nie przyśle go tutaj i nie uwolni zwierząt?

Poduszkwowiec, pomyślała Jen, który potrafi przebijać się przez lód. Mógłby utworzyć drogę prowadzącą do spławnej szczeliny. Ta myśl zaświeciła jak promień słońca przez chmury.

Reakcja dziennikarzy była natychmiastowa. „Poduszkwowiec, wymagający holowania?“, „Z Zatoki Prudhoeego?“, „Czy prosił ich pan już o ten statek?“

Hal wyciągnął dłoń, prosząc o ciszę.

– Telefonowałem już trzykrotnie, ale nie otrzymałem żadnej zadowolającej odpowiedzi. Twierdzą, że poduszkwowiec nie nadaje się do przecinania lodu, że nie ma wystarczającej mocy. Lecz jeżeli ten statek ma parametry, jakie nam przekazano, to jest najbliższej znajdującej się pomocą.

Marcuse stracił pewność siebie, spoglądał na Hala szklanym wzrokiem.

– Poduszkwowiec dostosowany do cięcia lodu? Nie wiem, nie byłem zawiadomiony... nie mam kontaktu...

Dziennikarze jeszcze szczerzej otoczyli Hala i Marcuse'a. Pytania padały jak grad. „Dlaczego nie odpowiadają?”, „Już trzy razy ich pan prosił?”. „Nie chcą rozmawiać”?

Hal cofnął się. Górował nad tłumem.

– Powiedziano mi, że Spółka MaLaBar zbudowała ten statek siedem lat temu i nigdy go nie użytkowała. Tak, telefonowałem do MaLaBar trzykrotnie i prosiłem o informacje. Nie otrzymałem ich. Jeżeli poduszkowiec istnieje i jest sprawny, to stanowi być może jedyną szansę ocalenia wielorybów.

Jen stała z tyłu za tłoczącymi się coraz bliżej Hala reporterami. Mocne zagranie, pomyślała i uśmiechnęła się z satysfakcją. Hal rozważył wszystko na zimno i znalazł sposób przyjscia z pomocą tym stworzeniom. Zastosował wobec nieskorej do rozmów MaLaBar środek odwetowy w postaci nacisku zgromadzonych przedstawicieli prasy. Uśmiechnęła się ponownie. Jak na człowieka, który nie uwielbia gazet, radia i telewizji, wiedział dokładnie, w jaki sposób je wykorzystać. MaLaBar nie ośmieli się teraz zawieść, skoro fakt istnienia poduszkowca podano do publicznej wiadomości.

– Poduszkowiec dostosowany do przecinania lodu – mruzczał Billy. – Coś o tym słyszałem przed laty. Nikt nie wiedział, czyjego urządzenia w ogóle działają.

– Muszą działać – zawołała Jen – muszą!

– Wiem także, że poduszkowiec nie może poruszać się wyłącznie za pomocą własnych silników i musi być wspomagany przez helikopter. Być może MaLaBar nie dysponuje odpowiednim helikopterem. Ale ma go na pewno Gwardia Narodowa. Chciałbym zapytać publicznie, czy możemy liczyć na helikopter, jeśli otrzymamy poduszkowiec? Być może uda się nam uwolnić zwierzęta, jeżeli wszyscy zjednoczymy nasze wysiłki. Pojedyncze działania nie przyniosą rezultatu.

Jeden z reporterów telewizyjnych wraz ze swym kamerzystą, kierując sobie łokciami drogę w stronę Hala, wysunął się przed tłum i zapytał:

– Panie Bailey, prosi pan o pomoc Spółkę MaLaBar i Gwardię Narodową? Dla dwóch wielorybów? Czy to nie będzie za drogo kosztowało?

Hal wzruszył ramionami z filozoficznym spokojem.

– Czy tu w ogóle można mówić o cenie? Inny dziennikarz zaatakował Marcuse'a.

– Czy to prawda? Czy MaLaBar ma taki statek? Czy może zostać uruchomiony? Kiedy go przysłecie?

Marcuse wyglądał na oszołomionego rewelacjami ujawnionymi przez Hala.

– Nie wiedziałem o istnieniu takiego statku. Muszę to sprawdzić. Ale MaLaBar jest zaangażowany w sprawy ekologii i zrobi wszystko – w granicach rozsądku – żeby uwolnić wieloryby. MaLaBar robi, no cóż, robi wszystko, co będzie możliwe – przełknął ślinę, czując, jak wyraźnie ograniczone jest pole jego działania.

Jen upajała się nadzieją. Być może MaLaBar zrealizuje to, co wydaje się niemożliwe. Oni mają i pieniądze, i środki, a nawet motyw: pozyskanie opinii publicznej. Jednak nadzieja ją opuściła, gdy spojrzała na twarz Hala, która, poza zawziętym zdecydowaniem, nie wyrażała wcale optymizmu. Podczas gdy dziennikarze oblegali Marcuse'a, Hal zakończył:

– To wszystko, co miałem do powiedzenia. – Wyswobodził się z tłumu i podążył do samochodu. Jen po chwili wahania pobiegła za nim. Gdy go dogoniła, nawet na nią nie spojrzał.

– Czy nie powinnaś zapytać Marcuse'a o jakieś szczegóły? – zadrwił – spróbować go przycisnąć?

– Ty już to pięknie zrobiłaś, dzięki. Jeżeli MaLaBar ma poduszkowiec, to będzie zmuszona go przysłać. Nie narazi się opinii publicznej.

Hal podeszedł do samochodu i spojrzał w kierunku tłumu kłębiącego się na lodzie.

– Cyrk – mruknał – jakiś diabelski cyrk.

– Ale jeśli dzięki temu cyrkowi zwierzęta byłyby ocalone?

– Do tego jeszcze daleko. Poduszkowiec stoi nie używany przez siedem lat i nikt nie wie, w jakim jest stanie. Do tego Gwardia musi się zgodzić na jego holowanie przez przeszło trzysta kilometrów zamrożonego morza. Wreszcie w trakcie cięcia lodu pozostaje tak dużo brył, że nie wiadomo, czy wieloryby w ogóle mogłyby podążyć śladem statku. Mogłyby się jeszcze bardziej poranić. Poza tym w morzu tworzą się spiętrzenia lodowe, które mogą okazać się zbyt grube nawet dla poduszkowca.

– Ależ – Jen była zaskoczona – jeżeli uważasz, że to wszystko jest bezskuteczne, to po co puściłeś w ruch tę całą maszynę?

Spojrzał na nią, a potem na zamrożone morze.

– Marna szansa jest lepsza od żadnej.

Nadzieja zamigotała ponownie.

– Ale przecież ty wiesz, że poduszkowiec istnieje. I że jest własnością Spółki MaLaBar.

– To była tylko wiadomość telefoniczna. Zresztą dotycząca również ciebie. – Jego oczy spoczęły na Jen z niepokojącym wyrazem powagi.

– Mnie? – zdumiona Jen zamrugła oczami.

– Tak. Czemu się dziwisz? Gdziekolwiek się zjawiasz, razem z tobą pojawiają się kłopoty.

– A co ja mam z tym wspólnego?

Wiatr się wzmagał, wyjąc ponad zamrożonymi równinami.

– Dzisiaj rano telefonował twój dziadek. Znowu. Jen zmarła. Powinna była się domyślić. Dagobert był gotów przycisnąć ją do muru i już rozpoczął działania. Poczula wypełniającą ją straszliwą pustkę.

– Mój dziadek?

– To on powiedział mi o poduszkowcu. Oznajmił też, że może załatwić jego przysłanie, pod dwoma warunkami. Po pierwsze – cytuję: „jeżeli Jenifer poprosi mnie o to, grzecznie poprosi” – koniec cytatu. Po drugie, jeżeli ja wystąpię z publicznym oświadczeniem, potwierdzającym, jak bardzo twój dziadek i MaLaBar działają na rzecz ochrony naturalnego środowiska. Zapowiedział, że wyśle mi tekst odpowiedniego oświadczenia.

Jen zbladła. Dagobert szantażował ich Spółką MaLaBar. Chce ściągnąć ją do domu i nic go nie powstrzyma.

– Ale... ja nie mogę go o nic poprosić. To niemożliwe.

Odwróciła się w kierunku szczeliny z wodą i popatrzyła na to miejsce nieprzytomnym wzrokiem. Uświadomiła sobie, że gdyby dla uratowania wielorybów niezbędna była pomoc Dagoberta, to o nią poprosi. Nie ma innego wyboru.

– Duma ci na to nie pozwala? – zapytał Hal sarkastycznym tonem. – To świetnie, bo ja też mam swą dumę. Nie będę się ugiąć ani przed Dagobertem, ani przed MaLaBar, ani nikim innym. Nie mam również zamiaru kłamać w ich interesie. Jeżeli Dagobert chce włączyć się do tej gry, bardzo proszę. Ale musi grać uczciwie. W przeciwnym razie zdemaskuję go i pokażę, jakim jest żądnym władzy, szczwanym starym lisem. Jest tu wystarczająco dużo dziennikarzy. Jeżeli do końca dnia nie załatwi wysyłki poduszkowca, zatelefonuję do Długiego Johna Silverburga. Zobaczymy, czy to się twojemu dziadkowi spodoba.

Jen patrzyła na Hala oniemiała. To przecież na nią dziadek zastawił pułapkę. Zaplanował ją pomysłowo i starannie. Chciał, aby upokorzona poprosiła go o wysłanie statku. Chciał także, żeby Hal się przed nim ugiął. Ale Hal odparował cios. Hal postawił Dagoberta i MaLaBar w sytuacji, w której nie ośmiela się odmówić pomocy. Hal przeciwstawił się Dagobertowi. To go rozwścieczy, naprawdę rozwścieczy.

– Mojemu dziadkowi nie będzie się to podobało. Będziesz miał w nim potężnego wroga.

– Warto mieć tylko potężnego wroga, panno Martinson. Słaby wróg nie stanowi wyzwania. – Otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą. Jeszcze raz rzucił okiem na tłum ludzi, stojących na zamrzniętym morzu. Przypominali karnawałowe zbiegowisko. Włączył bieg i odjechał.

Jen patrzyła na oddalający się samochód z mocno bijącym sercem. Być może Hal wyrwał ją ze szponów Dagoberta, wcale o tym nie wiedząc. A gdyby nawet wiedział, niewiele by go to obeszło. Jednak uśmiechnęła się. Dagobercie, pomyślała, w końcu znalazłeś godnego siebie przeciwnika.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jen spodziewała się, że Dagobert będzie wściekły. Tymczasem, kiedy zatelefonował wieczorem, był raczej spokojny.

– To bystry chłopiec. Twardszy, niż przypuszczałem – wydał opinię o Halu.

– On nie jest chłopcem – odpowiedziała Jen. – To dorosły mężczyzna. Nie wymierzaj w niego ciosów, bo on ci je odda.

– Ooo? On chyba ci się podoba. I cała ta przygoda. Lepiej będzie, jeśli zabiorę cię do domu.

– Nie żądaj, abym prosiła cię o wysłanie poduszkowca. Jeżeli będziesz się ociągał z wydaniem decyzji w tej sprawie, wszyscy uznają cię za najnikczemniejszego człowieka w Ameryce, a Spółkę MaLaBar za najbardziej łajdacką na świecie.

– Nie mam zamiaru – uspokoił ją. – Pozostali udziałowcy podnieśliby raban. Bailey tak to rozegrał, że poduszkowiec musi być wysłany. Będzie to kosztowało setki tysięcy dolarów. Nie ma znaczenia. Mam tylko nadzieję, że to pomoże.

– Co masz na myśli?

– Nic. Znam te przedsiębiorstwa naftowe – lubią duże zabawki. Poduszkowiec był właśnie dużą zabawką, o której wszyscy najchętniej by zapomnieli. Wiem, dlaczego MaLaBar nigdy go nie używała. Nie miała odpowiednio mocnego urządzenia, które mogłoby go holować. Tak.

– To znaczy, że machałeś tym pomysłem wszystkim przed nosem jak przynętą, wiedząc, że urządzenia nie są zdolne do pracy? – zawołała.

– Nie wiem. Może będą. Zobaczymy.

– Czy ty kiedyś wreszcie przestaniesz manipulować ludźmi?

– Tak. Jak wrócisz do domu.

– Nie mogę. Zobowiązałam się do przekazania reporterskich relacji na temat wielorybów.

– A jakie będzie zakończenie? Być może w ogóle nie będzie można ich ocalić. To smutne. Twój przyjaciel Bailey nie jest takim wielkim bohaterem, prawda? Stoi sobie niezdara na lodowcu i raczej nic mu nie wychodzi. Poczekamy, zobaczymy. Być może będziesz potrzebowała pomocy. Ale... będziesz musiała o nią poprosić.

– Pomocy? – Jen nie wiedziała, o czym dziadek mówi. Jednak pytanie to zostało przerwane w połowie. Usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Co miał na myśli mówiąc: „będziesz potrzebowała pomocy”? Jeżeli poduszkowiec nie ocali zwierząt, to niczego więcej nie będzie można dla nich zrobić.

Wstała, przyglądziła włosy i zarzuciła torebkę na ramię. Tego wieczoru nie musiała zbierać w sobie odwagi, żeby wejść do jadalni, bowiem Billy przyrzekł, że zje z nią kolację. Po drodze przez cały czas prześladowały ją słowa Dagoberta. Jeżeli poduszkowiec nie będzie zdolny do pracy, wrócą do punktu wyjścia i zostaną bez nadziei. Czas uwięzionych wielorybów dobiegnie końca.

Billy czekał na nią, siedząc nad filiżanką kawy. Jego twarz była wyjątkowo posepna. Powitał ją swym „Hi!” Kiedy powiedziała mu, że MaLaBar wysyła statek, wzruszył ramionami.

– Billy, dlaczego jesteś taki przygnębiony? Wiem, że sprawy wymknęły się spod kontroli. To moja wina. Ale czy zawsze musisz mi to dawać do zrozumienia, kiedy na mnie patrzysz? Mogę ci tylko powiedzieć – przepraszam.

Znowu wzruszył ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie.

– Billy – spytała Jen rozpaczliwie. – Co się stało? O co chodzi?

– O nic – odwrócił wzrok.

– Billy!

– No, dobrze, powiem. Hal twierdzi, że poduszkowiec nie zdąży nadejść na czas, nawet jeżeli jego wyposażenie jest sprawne. Temperatura znowu spada i nadciąga sztorm. Szczeliny szybko zamarzają. Będziemy najprawdopodobniej musieli położyć kres cierpieniom zwierząt. Człowiek z Urzędu Federalnego przekaze na to swą zgodę kapitanowi statku wielorybniczego.

– Och... – Jen nie mogła wydobyć z siebie nic więcej. Billy westchnął.

– Konieczność zabicia wielorybów nie jest problemem, który najbardziej mnie martwi. Chodzi o to, że to my musimy zrobić. My, Eskimosi. Wina spadnie na nas. Czy spotkałaś już tego faceta z grupy obrońców środowiska, zwanego Liściastym Tedem? Uważa, że jesteśmy mordercami, ponieważ polujemy, żeby zarobić na życie. My będziemy kozłami ofiarnymi, a ludzie z MaLaBar nie pobrudzą sobie rąk. Oni przejmowali się wielorybami. Próbowali pomagać. A my okażemy się mordercami.

Podniosła wzrok i zobaczyła Hala zbliżającego się do ich stolika. Zmierzał szybko w ich kierunku, ze wzrokiem utkwionym w Billy'ego.

– Wyszukaj mi najbardziej rozgrzany silnik, jaki uda ci się znaleźć. Potrzebni są ochotnicy do pracy na pokrywie lodowej dziś w nocy. Ty już się zgłosiłeś.

Billy spojrział na Hala z niedowierzaniem.

– Mamy tam wrócić? Człowieku, jest ciemno. Jeszcze nie byłem w domu.

– Słuchaj no – rzekł Hal. – Poruszyliśmy właściwe sprężyny. MaLaBar wysłała poduszkowiec. Gwardia Narodowa zaoferowała nam najsilniejszy helikopter.

Jest jedna szansa na tysiąc, że oswobodzimy wieloryby. Ale miną przynajmniej dwa dni, zanim MaLaBar sprawdzi działanie urządzeń statku i jeden dzień zabierze przeholowanie go tutaj. Zaczyna się sztorm, a my musimy utrzymać nie zamrażającą szczelinę do chwili przybycia poduszkowca.

– W nocy, człowieku? – Billy ponownie zaprotestował. – To będzie mordercza praca.

– Towarzystwo Żeglugowe z Wisconsin przysłało nam dwie specjalne dmuchawy. W marynarce handlowej służyły do zabezpieczania statków przed zamrażaniem. Nie wiem, czy będą skuteczne tutaj, na Dalekiej Północy, ale musimy spróbować. Możemy wziąć prądnicę i podłączyć do niej dmuchawy. I piły łańcuchowe. Trzeba na nowo rozkuwać lód.

Billy jęknął i pokręcił głową, ale wstał posłusznie. Hal poklepał go po plecach z uśmiechem:

– Grzeczny chłopiec. Za piętnaście minut spotkamy się w siłowni.

Billy odszedł krokiem skazańca. Hal zmierzył Jen surowym spojrzeniem.

– Ja też jadę – powiedziała podnosząc się z krzesła.

– Mam wystarczająco dużo mężczyzn – przytrzymał ją na miejscu. – Nie jesteś tam potrzebna i... nie chcę, żebyś tam jechała.

Jen popatrzyła na niego z urazą.

– Wiadomość o wysłaniu poduszkowca przekazał mi wiceprezes Spółki MaLaBar. Ale za nim kryje się twój dziadek, prawda?

Przygryzła wargę i skinęła potakująco głową.

– Dlaczego twój dziadek włączył się do tej sprawy? Dlaczego zawraca sobie nią głowę? Chce twego powrotu do domu, a może czegoś jeszcze?

Wzruszyła ramionami. Hal nigdy nie zrozumie sytuacji, w jakiej się znalazła. Dagobert pragnął mieć nad nią władzę. Całkowitą.

– Chce wykorzystać tę sytuację dla własnych celów, wiesz o tym?

Skinęła głową. Hal nie spuszczał z niej oczu.

– Wszyscy się nawzajem wykorzystują – powtórzyła cicho słowa Waltera Stonebridgera.

Hal kiwnął głową i uśmiechnął się cynicznie.

– Podejrzewałem, że tak możesz myśleć. Nawet jeżeli wieloryby zginą, ty będziesz miała swój wielki reportaż, a twój dziadek odegra rolę wspaniałego wybawcy. Spółka MaLaBar doda jeszcze jeden laur do swego wieńca chwały.

Jen wstała. Uczucie wstydu przerodziło się w gniew. Spojrzała mu w oczy. Wszyscy im się przyglądali. Jen czuła ciężar tych spojrzeń. Ale nie dbała o to.

– Jeżeli uda się ocalić wieloryby, to to będzie zasługą dziennikarzy i Spółki MaLaBar – oznajmiła tak głośno, że wszyscy mogli usłyszeć.

Usta Hala wykrzywił gorzki grymas.

– Nie. Jeżeli je ocalimy, to będzie zasługą Billy’ego Owena i Warrena Tipany, którzy zgodzili się pracować całą noc na zamrożonym morzu w temperaturze poniżej dwudziestu pięciu stopni. W przeciwnym razie MaLaBar nie miałyby już czego ratować.

– Warren? – spytała Jen zaskoczona. – Myślałam, że on nie widzi sensu w dalszym utrzymywaniu zwierząt przy życiu.

– Ale widzi sens w utrzymywaniu dobrego imienia mieszkających tu ludzi. To przez ciebie świat patrzy na Ultimę i ludzi z plemienia Inupiat.

Jen zachnęła się, znużona tymi oskarżeniami.

– A dlaczego ty tam idziesz? Z pewnością nie będziesz prowadził prac naukowych. A zatem tobie też zależy na dobrej reputacji. Nikt by tam dzisiaj nie poszedł, gdyby nie rozgłos nadany przez prasę.

Usta Hala wykrzywił niewesoły uśmiech.

– Być może nikt. Być może ja też poszedłbym spać do mojego ciepłego łóżka. Ale dzisiejszej nocy będę jedynie myślał, jak ty się wysypiasz. Dla kogoś tam, na zamrożonym morzu, to będzie miła myśl.

Jen zaczerwieniła się. Przez chwilę była pewna, że on widzi ją w łóżku – ciepłą i nagą.

Jen nie mogła spać. Przez całą noc wiatr gwizdał przeraźliwie, a temperatura utrzymywała się na morderczym poziomie minus dwudziestu pięciu stopni. Kryształy zamrożonego śniegu uderzały we framugę okna. Jen myślała o beznadziejnym położeniu wielorybów w czasie sztormu i zawiei, gdy szczelina zaczyna pokrywać się warstwą lodu i śniegu. Myślała o Halu, Billym, Warrenie Tipanie walczących w tym śmiertelnym mrozie o utrzymanie wody w szczelinie.

Wstała o szóstej rano, ubrała się i poszła do pustej o tej porze jadalni. Siedziała sama przy stoliku. Otaczała ją głucha cisza. O wpół do siódmej przyszedł Arnold. Skinął jej głową i zabrał się do przyrządzania kawy. Jen podeszła do kuchennych drzwi.

– Arnoldzie, czy nie ma pan jakichś wieści o doktorze Baileyu, Billym i panu Tipanie?

Czarne oczy Arnolda spojrzały na nią surowo. Zaprzeczył ruchem głowy i wrócił do swego zajęcia. Wróciła do stolika ze ściśniętym gardłem. Siedziała z pochyloną głową, z palcami splecionymi na blacie stolika, i myślała o Halu.

Za dziesięć siódma drzwi otworzyły się na oścież i wszedł Hal, lekko kulejąc. W przemoczonym ubraniu i butach, ze śniegiem topniejącym na futrze kaptura. Jego ogorzała od mrozu i wiatru twarz nosiła ślady ogromnego zmęczenia. Wyglądał jak człowiek, który walczył z lodem od roku, a nie przez jedną noc. Zdziwił się na jej widok. Napełnił filiżankę kawą z metalowego pojemnika. Arnold przyjrzał się mu krytycznie i powiedział:

– Niech pan usiądzie. Przyniosę coś do zjedzenia.

Hal skinął głową i z filiżanką w ręce ciężko usiadł na najbliższym stojącym krześle. Wypił kawę i odstawił filiżankę. Oddychał głośno. Jen podeszła do niego i ponownie napełniła mu

filiżankę. Z niepokojem wpatrywała się w jego twarz. Miał wilgotne włosy, był nie ogolony, a rozpięta kurtka była zupełnie mokra.

– Gdzie Billy? Gdzie jest Warren? Czy wieloryby żyją? Jak się czujesz? Dlaczego jesteś mokry? Powinieneś się przebrać. Nie masz odmrożeń? Gdzie byłeś przez całą noc? Czy był bardzo silny mróz? Jak długo potrwa sztorm?

Wychylił duży łyk kawy. Najpierw spojrzał na nią surowo, lecz po chwili uśmiechnął się.

– Za dużo pytań naraz – głos miał nadal zachrypnięty ze zmęczenia, ale ciągle się uśmiechał. – Z wielorybami wszystko w porządku.

Jen pomogła mu zdjąć kurtkę.

– Przez całą noc piły łańcuchowe wyrzucały na nas pył lodowy. Znam lepsze zajęcia. Uff..

Gdy zaczął masować ramiona, Jen zauważyła poranione kostki palców. Usiadła, ujęła jego dłoń i obejrzała ją.

– Jesteś potwornie zmęczony. Ręce masz ciągle zimne jak lód. Czy jesteś pewien, że ich nie odmroziłeś? – Zaczęła chuchać na jego palce, a potem rozcierała je delikatnie, tak aby nie urazić poranionych kostek.

– Ostrożnie, panno Martinson. To może sprawiać mi przyjemność. Może jednak warto było piłować lód przez całą noc.

Jen położyła jego dłoń na blacie stolika. Zakłopotana, odwróciła wzrok.

– A gdzie jest Billy? Jak on się czuje?

– Wrócił do Ultimy – Hal podniósł filiżankę do ust. – Straszliwie umęczony. Ale nic mu nie będzie.

– A z wielorybami naprawdę wszystko jest w porządku?

– Twoje wieloryby czują się dobrze. Szczelina jest ciągle otwarta. Jeszcze przez jeden dzień będą bezpieczne.

Jen uśmiechnęła się nieśmiało. Chciała mu powiedzieć: „Jesteś prawdziwym mężczyzną. Ty, Warren i Billy jesteście wspaniali. Nikt inny nie dokonałby tego. „

Zamiast tego powiedziała jedynie:

– Musisz odpocząć.

– Muszę porozmawiać z ludźmi z Zatoki Prudhoe’ego w sprawie poduszki. I z Gwardią Narodową. Potrzeba więcej dmuchaw. Mieszają wodę i dzięki temu tak szybko nie zamarza. Jeżeli jednak poduszki nie nadejdzie, to nie wystarczą.

– Hal, nie możesz tak bez przerwy pracować – zaprotestowała, ale w tym momencie wpadł w pośpiechu jeden z pracowników, mężczyzna z czarną brodą. Rzucił na Jen nieprzyjemne spojrzenie i zatroskanym głosem zwrócił się do Hala:

– Hal, telefonują z laboratorium. Na linii jest ktoś z Nowej Zelandii. I ciągle dobijają się z Tokio.

– Dzięki, Kelpington – jęknął Hal.

– Senator Wisner oczekuje telefonu. Ma dla ciebie ważną wiadomość. I jeszcze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Jeden z tych ważniaków chce z tobą mówić.

– Idę. – Hal odsunął krzesło i wstał. Chwycił przemoczoną kurtkę. W tym momencie wbiegł Arnold z tacą. Postawił ją na stoliku, i powiedział:

– Niech pan siada i je.

– Dzięki, Arnoldzie – Hal chwycił kanapkę. – Zjem po drodze.

– Człowiek musi jeść – gderał Arnold. – Przyślę panu śniadanie do biura. Trzeba zjeść. A potem iść do łóżka. – Zdażył przy tym rzucić Jen wymowne, oskarżycielskie spojrzenie.

Tego dnia Hal w ogóle nie poszedł do łóżka. Przez cały czas w biurze odbierał telefony. Rozmawiał z tabunami ekspertów i doradców, którzy tłumnie napływali do ośrodka. Udzielał

wywiadów. Utrzymywał łączność z Zatoką Prudhoe'ego w sprawie poduszkowca. O czwartej zwołał konferencję prasową. Zdążył ogolić się i przebrać, ale wyglądał mizernie.

– Poduszkowiec działa – obwieścił – ale wymaga naprawy. Wielu napraw. Obiecano wykonać je w ciągu dwunastu godzin. Gwardia ma przygotowany do holowania specjalny helikopter wyposażony w dźwig.

– Hej, czy oni z tym wszystkim zdążą na czas? – ponad wrzawę wybił się głos Finnegana, reportera z San Francisco. Od czasu swego przybycia unikał wychodzenia na pokrywę lodową, natomiast zawsze wysuwał się na czoło w czasie spotkań z dziennikarzami w ośrodku.

– Panie Bailey – wykrzyknął znowu, ponad innymi głosami – czy poduszkowiec przyplynie na czas?

– Nie wiem.

– Jak długo wytrzymają wieloryby?

– Nie wiem.

– A czy wie pan, że poduszkowiec zostanie sprowadzony dzięki wysiłkom jednego człowieka, Dagoberta Martinsona z Korporacji Martinsona, jednego z głównych udziałowców Spółki MaLaBar?

Twarzą Hala zachmurzyła się: „Bez komentarzy”. Przelotnie spojrzął na Jen, ale zaraz odwrócił wzrok.

Gdy wreszcie wieczorem Hal wychodził ze swego biura, Jen czekała na niego. Oczy Hala były podkrążone ze zmęczenia, ale można było wyczytać w nich determinację.

– Czy rzeczywiście musisz znowu tam jechać? Nie spałeś już trzydzieści sześć godzin.

Zatrzymał się i spojrzął na nią zimno.

– Nie mam wyboru. Sztorm ustał, ale temperatura stale się obniża. Zaraz wrócą Billy i Warren. Musimy utrzymać szczelinę otwartą.

– Dlaczego tylko wy trzej to robicie? Dlaczego ktoś inny nie może was zastąpić tej nocy?

– Dlatego, że my wiemy, co i jak robić. A poza tym nikt inny się nie zgłosił. Słuchaj, przepraszam, ale muszę już iść. Musimy zdążyć, zanim uformuje się grubsza warstwa lodu.

Nie odsunęła się i zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Ja się zgłaszam – powiedziała.

– Co takiego?

– Powiedziałeś, że nikt się nie zgłosił. Ja się zgłaszam.

– To śmieszne. – Zdjął jej rękę i odsunął się o krok. Chwyliła go za łokieć.

– Jestem silna i odporna na mróz.

Przeniósł wzrok z jej ręki uczeptionej jego rękawa i spojrzął jej w oczy. Skrzywił się.

– O co ci chodzi? Masz wyrzuty sumienia z powodu przypisywania sobie zasług przez twego dziadka i Spółkę MaLaBar?

– Jeżeli ocala wieloryby, mogą przypisywać sobie zasługę. Nieważne, czyja to będzie zasługa. Ważne jest uratowanie zwierząt. Idę z tobą. Jeżeli mnie nie zabierzesz i tak się tam jakoś dostanę.

– Uważasz, że odegrasz tutaj jakąś ważną rolę, tak?

– Nie – twarz Jen przybrała zacięty wyraz. – Ale mogę spróbować. Stale powtarzasz, że to wszystko moja wina. W porządku, może tak jest, ale wobec tego pozwól mi sobie pomóc. Jeżeli mnie nie zabierzesz, wynajmę taksówkę i przyjadę do ciebie. Przysięgam.

Parsknął krótkim, ironicznym śmiechem i zbliżył się do niej.

– Ach, te bogate dziewczyny. Zawsze dostają to, czego chcą. Chcesz ze mną pojechać? Potrzebna ci nauka. Dobrze, pojedź i będziesz ją miała. Nigdy nie byłaś tam w nocy. To jest mordercza robota. Po paru minutach będziesz miała dosyć i spędzisz resztę czasu w

samochodzie, szczękając zębami.

– A jeżeli nie zawiodę? – spytała. – Co wtedy? Na twarz Hala powrócił półuśmiech. Spoglądał na jej usta, ściągnięte w wojowniczym wyrazie i na podnoszące się i opadające w szybkim oddechu piersi.

– Jeżeli nie zawiedziesz? – Jego głos był cichy i jakby pełen zadumy. – Wtedy już nigdy cię nie nazwę zepsutym dzieciakiem, dobrze? I jeszcze coś. Mógłbym znowu zacząć myśleć o twoich rozplecionych włosach, panno Martinson. I o tobie z rozpuszczonymi włosami. Ale tobie by się to nie podobało.

Pochylił się nieznacznie i prawie musnął jej usta swoimi wargami. Pragnęła jego pocałunku. Wypełniało ją oszalamiające uczucie zachwytu pomieszanego z trwogą. Czowała przy policzku jego gorący oddech.

Hal potrząsnął głową z miną człowieka, którego coś głęboko dręczy. Odsunął ją od siebie.

– Naprawdę chcesz tam pojechać? Tak.

Hal obserwował ruch koniuszka jej języka z twarzą surową i opanowaną.

– Spotkamy się za dziesięć minut w siłowni. – Nie dotknął jej już więcej i nie oglądając się, odszedł dużymi krokami. Wyglądał teraz jak człowiek znudzony, który ma ważniejsze sprawy na głowie i który zapomniał o jej istnieniu. Jak sparaliżowana powiodła za nim wzrokiem. Podniosła rękę i położyła palec na ustach, które piekły jak po pocałunku. W tym momencie zrozumiała, że poszłaby wszędzie, przez lód, ogień i wodę, wszystko jedno, byle być tam, gdzie on.

Sceneria wydarzeń na zamrożonym morzu tej nocy była niezwykła i trochę bajkowa. Prądnice pomrukiwały, dmuchawy szumiały, wieloryby z ciężkim westchnieniem chwytaly powietrze, słychać było chlupot poruszającej się w szczelinie wody.

Mężczyźni pozawieszali na prądnicach reflektory i sztuczne światło kąpało wieloryby w niezwykłej żółtej łunie, a na lodzie kładły się nienaturalne cienie. Dalej na północy widać było światła zorzy polarnej, lśniące w ciemnościach. Wiatr na szczęście był słaby, ale powietrze lodowate. Jen nie przejmowała się zimnem. Była z Halem. Wszyscy pracowali ciężko w nadziei, że jeśli uda się utrzymać wieloryby przy życiu, poduszkowiec dokona reszty. Za każdym razem, kiedy wieloryby wynurzały się, Jen czuła triumf. Ciągłe są żywe. Przetrwały.

Hal zdecydował, że trzeba odmrozić jeden z dwóch uprzednio wybitych otworów, z którego wieloryby nie chciały korzystać. Miał nadzieję połączyć go ze szczeliną i stworzyć wielorybom większą przestrzeń nie zamrożonej wody. Ustawił dwie dmuchawy na powłoce grubego, mokrego śniegu, który pokrył przestrzeń otworu, i włączył je.

Początkowo Hal nie pozwolił Jen piłować lodu, chociaż zapewniała go, że często pomagała dziadkowi przy piłowaniu drzewa w ich posiadłości w Big Sur. Ale Warren Tipana przyjrzał się jej uważnie i powiedział po eskimosku „Niech kobieta spróbuje” – jak przetłumaczył Billy.

Eskimosi dobrze wiedzieli, że kobiety są wytrzymałe, a ta była młoda, wysoka i poruszała się zwinnie, niby foka w wodzie.

Stopniowo Hal dopuszczał Jen do prac przy piłowaniu, a co więcej, przekonywał się, że dziewczyna pracuje tak samo dobrze jak mężczyźni. Po pierwszych dwóch godzinach nieufność Hala rozwiązała się całkowicie. Zaakceptował ją. Jen była dumna, czuła się częścią wyjątkowego zespołu.

Jen była dziwnie podniecona. Choć wyczerpana cięciem lodu i usuwaniem odpilowanych grud, czuła przenikające ją uczucie radości. To cudowne być tutaj w taką niesamowitą noc, wreszcie naprawdę pomagać wielorybom. I być obok Hala.

Okolo północy Hal zarządził przerwę, trzeba bowiem było zmienić uszkodzony łańcuch jego piły. Jen również przerwała pracę. Chciała trochę odetchnąć i zmienić rękawice.

– Idź do samochodu, odpocznij. Jak na jedną noc, dosyć się już napracowałaś.

– Nie, będę dalej pracować, nie przyjechałam tu odpoczywać.

Spojrzała na jego twarz ukrytą w cieniu podszytego futrem kaptura. Nie patrzył na nią. Spoglądał na gwiazdy, świecące niezwykle jasno.

– Powiedziałem, że na dzisiaj dosyć. Idź do samochodu. To rozkaz.

Jen poczuła się nagle samotna. Być może Hal wcale jej nie zaakceptował. Była w stanie pracować całą noc, bez odpoczynku, jeśli będzie trzeba.

– Powinieneś już zrozumieć, że ja bardzo nie lubię rozkazów.

– Tak, do tej pory powinienem zrozumieć wiele rzeczy. Że kiedy się angażujesz, to oddajesz swoje serce. A jeżeli coś rozpoczynasz, to nigdy nie ustępujesz. Przy takim tempie pracy ryzykujesz życiem. Nie chcę ciebie...

– Czuję się świetnie – zaoponowała. – Prawdopodobnie lepiej niż ty, bo wyspałam się wczoraj. I nie walczyłam z dziennikarzami.

Pokiwał głową i popatrzył na nią. Jen pod wpływem jego wzroku zapomniała o mrozie, o niesamowitej, przytłaczającej ciszy, nawet o zmęczeniu.

– Jesteś niezdolna – Hal wypowiedział te słowa cicho, lecz zdecydowanie. – Jesteś niezdolna we wszystkim, co robisz. Czasami chciałbym się ciebie pozbyć. A czasami najbardziej chciałbym...

– Och, wszyscy święci niebiescy – doszedł ich podniecony okrzyk Billy'ego. – Hal, chodź no tutaj, chodź prędko!

– Co... – oboje spojrzeli na odległą połąć pokrywy lodowej. Jeri zmrużyła oczy, nie rozumiejąc, skąd nagle się wzięło tyle światła wokół drugiego wyciętego w lodzie otworu. W chwilę później wiedziała.

Bo zdarzył się cud.

Drugi otwór był odlodzony i osiągnął już swe poprzednie wymiary, a dmuchawy usuwały resztki śniegu. Ale przestrzeń wody nie była pusta. Wynurzał się z niej bowiem wielki kształt, błyszczący w świetle reflektorów. To przypląnął większy wieloryb.

Gdy chwycił oddech, wystawiał swą potężną głowę w kierunku gwiazd. Jen nie wierzyła własnym oczom. Hal twierdził, że otwory były wycięte na tydzień przed jej przyjazdem, a zwierzęta nie interesowały się nimi, opierały się wszelkim wysiłkom kuszenia i nie chciały przepłynąć w tym kierunku. I to dlatego właśnie były wyłącznie zdane na łaskę pogody, a jedyną nadzieją dla nich był poduszkowiec MaLaBar. Ale teraz wieloryb przypląnął z własnej, nieprzymuszonej woli.

Nagle sytuacja przestała być tak beznadziejna. Serce Jen zatrzepotało jak ptak.

Zanim jeszcze zdołała ocenić w całej pełni, co się wydarzyło, woda zawirowała i zaczęła się burzyć. Tym razem pojawił się mniejszy wieloryb, wypuszczając potrójny pióropusz wodnego pyłu.

Billy wydał okrzyk radości, a Warren Tipana uśmiechnął się od ucha do ucha. Zdumiona zwróciła się w stronę Hala, a on pochwycił ją w ramiona i trzymał tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Jego twarz również rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Przypląnęły z własnej woli – roześmiał się. – Nawet gdyby urządzenia poduszkowca okazały się niesprawne, mamy szansę wygrać! Mój Boże! – Przytulił ją mocniej, a ona przylgnęła do niego. – Ja będę... – mruczał w zdumieniu – ja będę...

– Prawdopodobnie przywabiło je tu światło – krzyczał Billy. Śmiał się razem z nimi w radosnym zdumieniu. – Albo szum dmuchaw. Albo jedno i drugie. Czy zdajecie sobie sprawę, co to oznacza?

Jen pozostawała ciągle w ramionach Hala.

– Możemy wyprowadzić zwierzęta na otwarte morze, jeżeli uda się przeprowadzić je przez spiętrzenie, które się już otworzyło. W każdym razie jest to pierwszy krok. Mój Boże, kto mógł wiedzieć, że światło zwabi wieloryby? – Hal uściskał Jen, która z trudem powstrzymywała pragnienie ucałowania go, tym razem z czystej radości. Hal spojrzął na nią, nagle uświadomił sobie, że trzyma ją w objęciach. Wypuścił z ramion. W tej samej chwili dla Jen noc stała się stokroć mroźniejsza. Zachowanie Hala było o wiele bardziej przykre niż mróz. Pomimo to na jej twarzy pozostał nadal cień uśmiechu – wieloryby przepłynęły do drugiego otworu.

– Teraz już nie jesteśmy uzależnieni od poduszkowca – zawołał Billy. – Może wymodlimy pomyślnie rozwiązanie bez jego pomocy?

– Zobaczymy – powiedział Hal. – No chodź, Szybki Bilu, odmrozimy trzeci otwór. Jeżeli wieloryby i tam przepłyną, będzie realna szansa powodzenia.

Dla Jen ta noc pozostała obrazem różnokolorowych wrażeń: ciemności, dojmującego zimna, fruujących opilków lodu, lśnienia zorzy polarnej i pałających gwiazd. Była zdrętwiała i zmęczona, lecz jednocześnie upojona nową nadzieją. Teraz wszyscy pracowali gorączkowo przy piłowaniu i uprzątaniu lodu z trzeciego otworu.

O czwartej nad ranem byli zupełnie wyczerpani. Jednak ich mordercza praca została wynagrodzona, gdy ujrzeli wieloryby wyłaniające się nad powierzchnię trzeciego otworu. Także i w to miejsce wieloryby zostały zwabione światłem reflektorów i szumem dmuchaw. Jen, slaniająca się na nogach ze zmęczenia, pomyślała, że nie wiedziała nigdy piękniejszego widoku, niż te dwie wielorybie głowy. Chciało się jej płakać ze szczęścia i ulgi. Położyła się na łodzi i wyciągnęła rękę do większego wieloryba. Gdy przyplłynął chętny do pieszczoty, rozplakała się.

Wszystko będzie dobrze – mówiła do niego, ocierając oczy. – Teraz możemy cię uratować.

Hal obserwował ją. Pochylił się nad nią i podniósł z lodu.

– Chodź – powiedział – to jeszcze nie jest takie pewne. Na dzisiaj dosyć napracowaliśmy się. Chodźmy do domu.

Billy i Warren odjechali swymi pojazdami śnieżnymi do Ultimy. Jen wracała z Halem willysem. W czasie drogi byli milczący i szczęśliwi zarazem.

Po raz pierwszy od czasu znalezienia uwięzionych w lodach wielorybów Hal pozwolił sobie na ostrożną nadzieję. Teraz głównym problemem pozostawało pokonanie spiętrzonych brył lodowych, jakie utworzyły się między obszarem, w którym przebywały wieloryby, a otwartym morzem. Jeżeli grubość spiętrzenia będzie wynosić więcej niż dwa metry, to ani piły, ani poduszkowce nie poradzą sobie z taką przeszkodą. Ale gdyby sprzyjało im szczęście – może wielorybom udałoby się wypłynąć na otwarte morze. A ta kobieta siedząca obok niego...

Tej nocy stała się częścią jego samego. Wszystko, co ich różniło, tej nocy przestało mieć znaczenie. Pracowała, wkładając w ten wysiłek całe serce bez słowa skargi. Mógł ją tylko podziwiać. Nie, nie może o niej myśleć, ani o tym, co wydarzyło się między nimi tej nocy. Jeszcze nie.

W ośrodku Hal w milczeniu rozładował samochód. Potem, ciągle nic nie mówiąc, objął Jen w pól i poprowadził w kierunku zabudowań. Idąc pasażami Jen odważyła się wreszcie przytulić głowę do jego ramienia.

Otworzył drzwi swego mieszkania i bez słowa wprowadził Jen do środka.

Kiedy zapalił małą lampkę i zamknął drzwi, nie sprzeciwiała się. Zbliżył się do niej, zdjął jej kurtkę i powiesił na krześle. Zaczął rozpinać guziki flanelowej bluzy, którą nosiła na

swetrze. Gdy rozpiął ostatni, spojrzał jej w oczy. Oddychał głośno. Poszedł do sypialni i przyniósł biały, puszysty szlafrok.

– Masz – powiedział ochryłym głosem. – Weź prysznic i załóż to. Przygotuję ci coś do picia.

Skinęła głową, nie zastanawiając się nad tym, czy postępuje słusznie. Po prostu robiła to, o co prosił ją Hal. Kiedy rozgrzana prysznicem wróciła do sypialni, stał przy łóżku. Miał na sobie tylko dzinsy. Światło lampki padało na jego muskularne ramiona. Jen otuliła się zbyt obszernym szlafrokiem. Z lekkim drżeniem zbliżyła się do Hala.

– Proszę – wręczył jej szklankę. – Usiądź i wypij. Usiedli oboje. Hal objął ją ramieniem. Wypili alkohol i odstawili opróżnione szklanki na stolik. Hal pochylił się nad nią i ujął w dłoń jej warkocz. Pocałunek był długi i szalony. Potem odchylił głowę i spojrzał jej w oczy.

– Teraz – powiedział. Zaczął rozplatać jej włosy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jen leżała na łóżku Hala w jego ramionach, osłabiona zmęczeniem i pożądaniem.

Przytuliła policzek do jego nagiej piersi. Rozłożone materace zaskrzypiały, gdy uniósł się, by oprzeć się na łokciu i pochylić nad nią. Jedną rękę położył na jej odsłoniętym ramieniu, zaś drugą zanurzył w kaskadzie rozpuszczonych włosów. Były jeszcze trochę wilgotne i Hal zwijał je w pasma i okrywał nimi, jak peleryną, jej i swoje ramiona. Potem pochylił się i całował jej ciało. Najpierw szyję i ramię. Potem jego wargi dotknęły jedwabistego wgłębienia podbródka, a potem miejsca, gdzie czuł pulsowanie krwi. W końcu ich wargi złączyły się.

Jen wyczuwając pożądanie Hala i smakując słodycz jego warg, westchnęła uszczęśliwiona. Objęła jego gorącą szyję i poczuła nierówne pulsowanie krwi. Drugą ręką poszukała jego dłoni – ich ramiona wyciągnęły się, a palce zacisnęły. Szlafrok zsunął się i usta Hala rozpoczęły wędrówkę aż do miejsca między piersiami. Słyszała gorączkowy oddech, czuła ciepło jego ciała tak blisko swego. Uniósł głowę tuż ponad jej twarzą. Uwolnił dłoń i znowu zaczął pieścić jej włosy. Powoli zbliżył swoje popękane i gorące od mrozu wargi do jej ust. Dotykał twarzy, wodził leciutko palcem po pulsującym miejscu na jej szyi. Poczwała, jak wsuwa drugą rękę pod szlafrok i niespokojnie wodzi nią po plecach. Ten dotyk przejął ją drzeniem. Przywarła do niego prawie omdlała z miłości. Pocałunkiem obudził w niej gorący przyływ uczucia, zrozumiała, że należy do niego. Była jego, tylko jego. Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Kocham cię – wyznała.

– Cii... – wyszeptał, zanurzając ponownie dłoń w jej rozpuszczonych włosach.

– Naprawdę – szepnęła. – Kocham cię.

– Ciicho – powtórzył, gładząc jej włosy. – Sama nie wiesz, co mówisz. Jesteś wyczerpana.

Przysunęła się bliżej, dotykając policzek do jego twarzy.

– Naprawdę cię kocham – powtórzyła jeszcze raz. – Czy ty też czujesz to co ja? Musisz.

– Cicho... – przyciągnął ją bliżej i trzymał w ramionach tak mocno, że nie mogła się poruszyć. W jego ramionach czuła się całkowicie bezpieczna. Zanurzył twarz w jej włosy, ale już nie całował.

W pewnej chwili zaprzestał delikatnego błądzenia dłonią po jej ciele i poczuła, że obejmujące ją ramiona są napięte. Podparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy. Nawet w panującym półmroku widziała, jak uważnie jej się przygląda.

– Jen – powiedział – Jennifer, Jennie.

– Pragnę twoich pieścizot, pragnę twoich pocałunków – szeptała.

– Jesteś zbyt zmęczona – mówił z wysiłkiem. – Nic nie mów o miłości. Ty i ja nie mamy prawa mówić o miłości.

Te słowa raniły ją, ale starała się je zignorować.

– Debrze, nie mówmy. Tylko trzymaj mnie mocno przy sobie. Nie pozwól mi od siebie odejść.

Zbliżył palce do jej policzka, lecz nie dotknął go i cofnął rękę. Ujął klapy szlafroka i zakrył nimi jej piersi.

– Nie powinnaś leżeć w moim łóżku.

– Chcę być w twoim łóżku.

– Oboje nie zdajemy sobie sprawy z tego, co robimy – potrząsnął głową. – Nie spałem już czterdzieści osiem godzin. A ty jesteś zupełnie wyczerpana. Nie powinnaś być tutaj.

– Proszę – wyszeptła, upojona jego bliskością i ciepłem jego ciała. – Pozwól mi zostać z tobą.

Oddychał nierówno, kiedy składał głowę na poduszkę. Jego palce bawiły się włosami, leżącymi na jej ramionach.

– Nie możemy się kochać, to byłoby szaleństwo – roześmiał się gorzko. – Ty i ja? To byłaby pomyłka stulecia.

– To nie jest pomyłka. To nie może być pomyłka. Ja ciebie ko...

Nie pozwolił jej dokończyć, kładąc palec na jej ustach.

– Nic nie mów. Sama nie wiesz, co mówisz. Przestań.

– Ja chcę zostać z tobą. Tutaj.

– Będę cię trzymał w ramionach. Odpocznij, kochanie. Uśnij. Potrzebny ci wypoczynek i sen.

– Jesteś mi potrzebny – Jen chciała wykrzyczeć te słowa, ale nie zdobyła się na nie. Była zawstydzona swoim wyznaniem. Przecież mu powiedziała, że go pragnie. A on jej nie kochał. Był po prostu zmęczony i spragniony ciepła drugiego człowieka.

Przytulił ją mocniej, a ona znowu położyła policzek na jego piersi. Trzymał ją w ramionach, ale już jej nie pieścił. Leżąc tak blisko zastanawiała się, czy coś dla niego znaczy. Może sam tego nie wiedział. Pracował tak długo bez snu. Nagle poczuła, jak jego pierś unosi się w równomiernym oddechu. Usnął.

Jen westchnęła. Była wyczerpana całonocną pracą i silnymi przeżyciami. Wtulona i bezpieczna w jego ramionach, zamknęła oczy.

W końcu zasnęła.

Gdy obudziła się w jego łóżku, było jej cudownie ciepło. Była rozmarzona. Ciągłe miała na sobie biały szlafrok Hala. Wydało się jej przez chwilę, że nadal leży przytulona policzkiem do jego piersi, że słyszy bicie serca i czuje ciepło jego ciała. Długie włosy rozsypane i splątane rozrzucone były na obu poduszkach. Ogarnęło ją wspomnienie zanurzonych w nich dłoni Hala. Spojrzała na drugą stronę łóżka, było puste. Patrzyła w zdumieniu. Była sama. Zostawił ją. Odgarnęła włosy i usiadła na łóżku. Spojrzała na zegarek. Dziesiąta rano. W mieszkaniu panowała cisza. Co się stało? – myślała zdumiona – gdzie on jest? Tak bardzo pragnęła go zobaczyć, leżącego obok.

Kocham go – myślała przerażona – i powiedziałam mu to.

Wczoraj wieczorem poszła z nim do łóżka bez zadawania jakichkolwiek pytań. Zrobiłaby dla niego wszystko i on to wiedział. Ale wczorajszej nocy do niczego między nimi nie doszło. Do niczego poważnego – pomyślała zmieszana. Trzymał ją w ramionach i całował, nic więcej. Wycofał się w ostatniej sekundzie i Jen wiedziała dlaczego. Powiedziała mu, że go kocha i powtórzyła to kilka razy. Policzki zaczęły ją palić, owinęła szczelniej szlafrok. Teraz wstydziła się, że okazała mu swoje uczucie. Położyła się z nim do łóżka, gdyż myślała, że zawładnęła nią namiętność, która będzie trwała wiecznie. On zaś zareagował na to po prostu... przyjaźnie. Opadła na poduszkę. Czowała się pusta. Było jej głupio. Hal nie powiedział, że ją kocha. Nie powiedział nawet, że mu się podoba.

Wstrząśnięta poszła do mieszkania Keenana. Ubrała się, rozczesała włosy i zaplotła warkocz.

Zatelefonowała do Redwood City i przekazała „Sentinelowi” swoją relację. Z przyczyn dla niej niepojętych, w dziale przyjmującym informacje dyżurował przy telefonie goniec. Połączenie było marne, a chłopiec ciągle powtarzał: „Słucham? Co? Co?”

Skończyła rozmowę z nadzieją, że coś zrozumiał z jej relacji. Ostatniej nocy ich wiedza o wielorybach poszerzyła się o ważne odkrycie, że wieloryby mogą same płynąć w kierunku znanych im światła lub dźwięków. W ten sposób ich szanse przeżycia zwiększyły się

dwukrotnie.

Skrzyżowała ramiona w zamyśleniu. Musi odnaleźć Hala i wytłumaczyć mu, że to, co się stało tej nocy, to po prostu był błąd. Jeżeli jej miłość ciążyła mu, ona go od tego ciężaru uwolni.

Ale jednocześnie nie mogła zapomnieć o uścisku jego nagich, mocnych ramion i nie mogła oprzeć się wszechogarniającej ją tęsknocie za nim – za jego pieszczotami i pocałunkami. Kocha go. I musi mu powiedzieć, że to nieprawda.

W chwili gdy zbliżała się do jadalni, wiedziała, że coś się stało. Napięcie wisiało w powietrzu i unosiło się ponad gwarem dochodzących z sali głosów. Dwaj mężczyźni wychodzili z jadalni w ogromnym pośpiechu. Jeden z nich, operator telewizyjny, potrącił Jen i o mało nie wypuścił z rąk kamery. Wyminął ją i usiłował dogonić wyprzedzającego go innego kamerzystę.

– Co się stało? – zapytała, pocierając bolącą rękę.

– Przepraszam, blondyneczko – rzucił operator przez ramię – ale mamy możliwość złapania samolotu do Zatoki Prudhoe’ego.

– A o co chodzi? – zawołała za nimi, lecz żaden z nich nie odpowiedział. Przyspieszyła kroku i znalazła się w zatłoczonej jadalni. Jest tu jeszcze więcej ludzi niż wczoraj – pomyślała z niechęcią.

Szukała wzrokiem Billy’ego, ale nie mogła go znaleźć. Wreszcie spostrzegła Finnegana, dziennikarza z San Francisco, i ruszyła w jego kierunku.

– Co się stało? – spytała.

Finnegan siedział przy stoliku nad filiżanką kawy i gryzmolił coś w notatniku.

– A oto i panna dziedziczka – rzekł, spoglądając na Jen. – Nieco dziś rano spóźniona. Gdzież to się pani podziewała? A może to tajemnica? – Jego pomarszczona twarz ułożyła się w grymas przypominający uśmiech. Zmarszczył porozumiewawczo brwi, jak gdyby dzielił z nią jakiś brudny sekret.

Jen pomyślała z przerażeniem: on wie, że spędziłam tę noc z Halem. To oznacza, że i Dagobert się dowie. Jeżeli już nie został zawiadomiony. Postanowiła jednak chwilowo odłożyć na bok własne problemy.

– Co się tu dzieje? Co się stało?

– A dlaczego to ja mam być dla pani źródłem informacji? – Wstał, wzruszył ramionami i przesłał jej ponownie porozumiewawczy uśmiešek. – No, ale właściwie dlaczego nie? Ja swoją relację przekazałem telefonicznie już dwie godziny temu. Kiedy pani jeszcze leżała w swoim łóżku. Albo w cudzym.

Jen z trudem powstrzymywała się przed wymierzeniem mu z całej siły policzka. Nie miała pojęcia, jak się o tym dowiedział, zaś błysk jego oczu mówił, że ma swoje sposoby.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało! – zażądała. Rozejrzał się dookoła z nonszalancją.

– Wygląda na to, że pani przyjaciel będzie musiał sam wyprowadzić wieloryby na otwarte morze. Poduszkowiec MaLaBar pali się.

– Co takiego? – Jen otworzyła usta ze zdumienia i patrzyła na Finnegana z niedowierzaniem.

– Pani wielorybi reportaż robi się droższy z godziny na godzinę, kochanie. Powiedziałem, że poduszkowiec płonie. Jeżeli szybko nie ugaszą pożaru, to statek osiadnie na dnie morza. Stracone miliony dolarów. I to wszystko z powodu dwóch wielorybów na tyle głupich, że nie wyruszyły na południe, gdy była na to pora. – Chciał odejść, lecz Jen chwyciła go za rękaw workowatego swetra.

– Czy są jacyś ranni? i – Nie, a szkoda. Reportaż byłby ciekawszy. Tylko poduszki uległ zniszczeniu. O mało co nie pociągnął za sobą tego helikoptera wartości dwóch milionów dolarów, ale do tego nie doszło. Szkoda, szkoda. Cóż to byłby za reportaż!

– Gdzie jest Hal Bailey?

– Został na lodzie, moja słodka. Postawiła go pani w piekielnie trudnej sytuacji. Zorganizował drużynę ratowniczą. Ale czy im się uda? Osobiście wątpię. Nawet zbieram zakłady. Może i pani się założy? Jeśli chodzi o mnie, to stawiam każdą sumę, że wieloryby nie przepłyną do otwartego morza. Szkoda.

Puściła jego ramię, jakby był zadżumiony.

– Pan tutaj odgrywa bardzo ważną rolę, panie Finnegan.

Zapalił papierosa i rzucił zapalniczkę do popielniczki.

– Ja jestem reporterem. A pani jest bogatym dzieciakiem, który nieustannie poszukuje rozrywek. Rozpoczęła pani tę całą aferę także dla zabawy. Ta zabawa kosztuje pani dziadka i Spółkę MaLaBar okragły milion. A Gwardia o mało co nie straciła dwóch milionów. Przy okazji ośrodek naukowy i całe miasto zostało przewrócone do góry nogami. A wszyscy, łącznie ze mną, mamy zakłócony spokój. Ale co to panią obchodzi? Pani się bawi.

– To nie jest zabawa – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Nie? – zaciągnął się dymem. – Zabawa, i to na całego. Jeden chłopak panią rzucił, to poderwała pani drugiego. No, a teraz ukochany chłopiec został na lodzie. Oto jak się skończyła pani zabawa. – Odszedł z papierosem w ustach i głupawym uśmiechem na twarzy.

Jen odprowadziła go wzrokiem. Oddychała z trudem. Musi zatelefonować do Billy'ego. Poprosi, żeby ją zabrał do Hala.

Wtem ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła Kelpingtona, czarnobrodego meteorologa.

– Panie Kelpington, czy to prawda? Czy statek pali się?

– Tak, to prawda – odparł nieprzyjaznym głosem.

– A co z pogodą?

– Źle. – jego twarz stała się jeszcze bardziej posępna. – Oczekujemy kolejnych sztormów.

W moim biurze jest do pani telefon. Nie bardzo podoba mi się używanie służbowego telefonu do prywatnych rozmów, ale...

– Proszę mnie zaprowadzić – poprosiła Jen. Podążała za nim labiryntem korytarzy. Wprowadził ją do zagraconego pokoju. Wyszedł i zamknął za sobą dyskretnie drzwi.

– Halo! – Tak jak się spodziewała, odezwał się głos dziadka. Gniewny głos dziadka.

– Gdzie byłaś? Finnegan twierdzi, że spędziłaś noc z tym łobuzem Baileyem, czy tak?

Nie zniosę tego, rozumiesz?

Serce Jen zamarło.

– Pracowaliśmy do czwartej nad ranem. Potem usnęłam w jego mieszkaniu, to wszystko. Nic się nie wydarzyło.

– Jeżeli dowiem się, że ten człowiek ciebie dotknął, to będzie musiał pożegnać się z karierą. Słyszysz mnie? Nigdzie nie znajdzie pracy. Dopilnuję tego.

– Nic między nami nie zaszło – Jen powtarzała tę częściową prawdę.

– Wychowałem cię jak księżniczkę. I takie jest twoje przeznaczenie. Nie dam ci się zmarnować dla jakiegoś łajdaka. Ten Bailey nie jest dla ciebie. Nie znoszę go, obraził mnie, a teraz chce mnie wykorzystać, posługuje się tobą. Jeżeli ten człowiek dotknie cię chociaż palcem, zniszczę go, zniszczę! Rozumiesz?

Zabrakło jej tchu. Ponownie poczuła, że jest w pułapce bez wyjścia.

– Rozumiem – odparła.

– No i jak ci się teraz podoba twój reportaż?
– ciągnął Dagobert – jesteś zadowolona, co?
– Nie, Dagobercie, nie jestem zadowolona. Słyszałam, że poduszkowiec płonie.
– Mogłem przewidzieć, że to idiotyczne urządzenie na nic się nie przyda – warknął. – Na szczęście nie przepadł helikopter, za który też musiałaby zapłacić MaLaBar. No i jak teraz wyobrażasz sobie uwolnienie tych głupich stworzeń?

– Mężczyźni spróbują zrobić to sami.

– Nigdy im się to nie uda.

– Będą próbować – łyzy zakreśliły się w oczach Jen.

– Próbować, próbować. Prawdziwy mężczyzna nie próbuje, tylko działa. Jeżeli chcesz uwolnić wieloryby, powiedz to mnie. Mnie poproś.

– W jaki sposób mógłbyś je uratować, Dagobercie? Poduszkowiec płonie. Jesteś tak samo bezsilny jak my wszyscy.

– Nigdy nie byłem bezsilny. Poproś mnie o pomoc. Tylko poproś.

– Nic nie możesz zrobić.

– Ty płaczesz? Jennifer, ty płaczesz? Nie martw się. Wracaj do domu, do dziadunia. On wszystko doprowadzi do porządku, jak zwykle. On najbardziej cię kocha. – Jego głos był teraz cichy i łagodny.

– Przepraszam, Dagobercie – otarła bezcelowe łyzy – nie mogę teraz rozmawiać. Muszę jechać na pole lodowe.

– Jedziesz do niego? Jen, kochanie, nie rób tego. To nic nie da. Ty do niego nie pasujesz. Jesteś bogata, a on albo wykorzystuje cię z tego powodu, albo za to nienawidzi. Nie możesz należeć do takiego mężczyzny. Ani on do ciebie. On nie znosi tych wartości, które ty reprezentujesz.

Ucisk w jej piersiach stał się nie do zniesienia. Dagobert wiedziony bezbłędną intuicją odgadł najbardziej bolesną prawdę. Jak zawsze.

– Dagobercie, ja jego wcale nie obchodzę. On przejmuje się tylko swoją pracą. I Alaską. Mną nigdy nie będzie się zajmował. Gdybyś tylko nie zamierzał w Zatoce Bristolskiej...

– W Zatoce Bristolskiej? Jego martwią moje plany związane z Zatoką Bristolską? Czy tak? Słuchaj, kochanie...

Jen była zbyt nieszczęśliwa, by dalej prowadzić rozmowę.

– Dagobercie, nie mogę dłużej rozmawiać. Przykro mi z powodu poduszkowca, naprawdę, bardzo przykro. Do widzenia. – Pierwsza odłożyła słuchawkę – nigdy dotąd to się jej nie zdarzyło.

Wstała i osuszyła oczy chusteczką. Podniosła słuchawkę i nakreśliła numer telefonu Billy'ego. Jej miejsce, tak jak Hala, było na zamrzniętym morzu.

To, co się działo na pokrywie lodowej, przypominało dom wariatów. Grupa Eskimosów na czele z Warrenem Tipaną i pod kierunkiem Hala wykuwała w lodzie dwa nowe otwory. Powietrze wypełnione było warkotem pił łańcuchowych.

Kłębił się tłum ludzi. Jeden z reporterów ze znanego czasopisma wracał właśnie do samochodu z odmrożonymi rękami. Na niebie turkotał helikopter. Zdezorientowani przedstawiciele różnych biur i agencji dreptali dookoła, dygocąc z zimna, ślizgając się na lodzie i nie wiedząc zupełnie, co właściwie mają tu robić. Kilku z nich, zajmujących znaczniejsze stanowiska, składało oficjalne oświadczenia każdemu, kto chciał ich wysłuchać. Jen i Billy obserwowali tę scenę z zaparkowanego willysa.

– Jezu – powiedział przygnębiony Billy – spójrz, jak wieloryby okropnie wyglądają.

Jen przyglądała się zwierzętom z rosnącym niepokojem. Wyglądało, że są jeszcze bardziej zmęczone, o ile to w ogóle było możliwe. Nie wydostawały się tak wysoko jak w

poprzednich dniach ponad powierzchnię wody dla zaczerpnięcia powietrza. Zdawały się być zaniepokojone panującym wokół podnieceniem. Jen wypatrywała Hala. Na jego widok serce poruszyło się niespokojnie. Pracował razem z Warrenem Tipaną.

– Jak on to wytrzymuje? – szepnęła Jan.

– Nie wiem. Ja też im muszę pomóc. Teraz wszystko zależy tylko od nas.

– Billy, ja też chcę pomagać.

– Ale spróbuję go namówić na chwilę odpoczynku. Jest mu potrzebny. – Wyszedł z samochodu i skierował się ku grupie mężczyzn, zmagających się z bryłami lodu przy nowym otworze. Widać było, że Hal udręczony wysiłkiem i zmęczony, gotów jest pracować do upadłego. Razem z Warrenem w najwyższym natężeniu usiłowali wciągnąć na powierzchnię ciężką bryłę lodu.

Jen wyszła z samochodu i zbliżyła się do nich. Gdy wreszcie wydzwignęli z wody wielki kawał lodu, włosy i brwi Hala ociekały potem.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Jak długo już tu jesteś? – Była jedenasta i nisko, na południu, wschodziło słońce.

– Parę godzin – otarł pot z czoła.

– A jak długo pracowałeś wczoraj? – miała ochotę scałować zmęczenie z jego twarzy.

– Nie wiem, może szesnaście, może siedemnaście godzin.

– A przedwczoraj? – nalegała, ciągle trzymając mu rękę na ramieniu.

– Pewnie trochę dłużej. Słuchaj, muszę wrócić do roboty. Poduszkowiec pali się. Musimy próbować sami sobie z tym poradzić.

– Hal – poprosiła – przerwij, proszę, choć na chwilę. Billy może cię w tym czasie zastąpić. Mam kawę w samochodzie.

Dostrzegł udrękę w jej oczach.

– Dobrze – odparł ku jej zdumieniu. – Na pięć minut.

Poszli do samochodu. Nalała mu kawy. Zdjął rękawice i objął zmarzniętymi palcami gorący kubek. Pochylił głowę i upił łyk.

– Przykro mi z powodu poduszkowca – powiedziała. – Na szczęście nikt nie jest ranny.

– Nigdy nie wiązałem z nim większych nadziei. Nie wiem, czy w ogóle udało by się wydobyć go z Zatoki Prudhoe'ego. Helikopter ledwie mógł go ruszyć.

Położyła rękę na jego dłoni. Nie zareagował.

– A co ze spiętrzeniem brył lodowych? Czy uda się wam jakoś je przebić?

Pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Nie wiem, Jen, po prostu nie wiem.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Hal spoglądał nadal na pole lodowe i bezładną bieżącą ludzi.

– To, co się wydarzyło między nami zeszłej nocy, nie powtórzy się. Jest mi przykro również i z tego powodu. Po takiej pracy tu, na lodzie, człowiek jest jak pijany ze zmęczenia i zachowuje się głupio.

Te słowa ją zabolowały. Ale Hal nadal trzymał jej dłoń, jakby wbrew sobie żywił do niej uczucie.

– To ja jestem głupia – wyszeptała. Gorycz i żal ścisnęły ją za gardło.

Spojrzał jej w oczy badawczo.

– Ja... – zamilkł.

Patrzyła na niego z boleśnie bijącym sercem.

– Myślałem o nas – rzekł. – O tobie i o mnie. I tak wiadomo, że to nie ma sensu. – Jeszcze raz uściśnął jej dłoń, a potem cofnął rękę. – To jest tak, jak byśmy pochodzili z dwóch przeciwnych krańców ziemi.

– Poprawił jej szalik. Starła się opanować drżenie i nie okazać swych uczuć. Rozumiała go. Nie chciał mieć nic wspólnego z rodziną Martinsonów. Nie pozwalało mu na to jego sumienie. Przeciwwstawiał się działalności Korporacji Martinsona. Ona była wrogiem, a Jen również ją uosobiała.

Skinęła głową na znak, że rozumie. Hal położył rękę na oparciu fotela.

– Jest tu człowiek z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Muszę go u siebie ulokować. W hotelu wszystkie miejsca są zajęte. Być może będę musiał dokwaterować do ciebie jakieś panie. Prawdopodobnie nie będziemy nawet mieli okazji być sami, zanim to wszystko się skończy.

Serce Jen zapadło w ciemną otchłań. „To wszystko” zakończy się tak czy inaczej za cztery lub pięć dni – więc się z nią żegna.

Przez chwilę bawił się jej szalikiem, po czym opuścił rękę.

– Pewnego dnia zostaniesz bardzo bogatą, młodą damą. Przypomnij sobie wtedy, że w Arktyce lub gdzieś w rejonie Pacyfiku jest pewien biolog, który...

– nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Odwrócił wzrok. – Który dobrze ci życzy – zakończył.

Jen udawała spokój i usiłowała uwolnić gardło od duszącego je uścisku.

– Zeszłej nocy mówiłam jakieś głupstwa.

– Możesz uważać, że wszystko zostało zapomniane – Hal spoglądał na zamrożone morze.

Czuła się jak sparaliżowana, gardło miała ściśnięte.

– Powiedz uczciwie. Czy wieloryby są już nieodwołalnie skazane?

Spojrzenie jego oczu było poważne, jak zawsze.

– Nadchodzi nowa burza. Tu się rozpęta piekło. Potrzebny jest lodołamacz. Teraz byłby niezbędny, ale my go nie mamy.

Jen dojrzała wyłaniającego się z wody mniejszego wieloryba. Kołysał się na wodzie i ukazywał swoją poranioną i odmrożoną głowę. Wiedziała, że Hal mówi prawdę, że całkowicie zaangażował się w tę ratowniczą akcję.

Hal odetchnął głęboko. Odstawił pusty kubek.

– Muszę tam wracać – odezwał się. – Posłuchaj, źle cię osądzałem. Przeszłaś przeze mnie ciężkie chwile. Ale to wszystko – wskazał na morze – jest całkiem zwariowane. Ale chcę ci powiedzieć, że nie jesteś złym dzieciakiem. Jesteś zupełnie wyjątkowa.

Ku jej zdumieniu pochylił się i pocałował ją. Pocałunek był braterski i krótki, za krótki. Zanim zorientowała się, co zaszło, Hal wysiadł z samochodu. Zrozumiała, że to było pożegnanie.

Tego wieczoru z północy nadeszła nowa nawałnica. Hal, a wraz z nim i inni mieszkańcy Ultimy pracowali prawie przez całą noc. Warren Tipana zasłabł z wyczerpania i lekarz nakazał mu przynajmniej tygodniowy odpoczynek. Jen, która mieszkała teraz z urzędniczką z Biura Rybołówstwa, słyszała, jak Hal wrócił około piątej nad ranem. Następnego dnia przed południem pojechał na pole lodowe. Sztorm nie osłabł. Wiatr wył jak stado potępieńców i odstraszył od wyjazdu na morze wszystkich dziennikarzy i inne urzędowe osoby. Billy nie mógł przyjechać do Jen, gdyż przez wiele godzin pracował z Halem. chciała się do nich przyłączyć, ale pracujących było teraz wielu i zdawała sobie sprawę, że nie mogłaby dotrzymać im kroku. Tak jak inni dziennikarze oczekiwała wiadomości, wypijając niezliczone filiżanki kawy. Nie miała do przekazania żadnych nowych informacji, poza tą jedną: grupa Eskimosów ściga się z czasem, wieloryby słabną.

Hal wrócił po południu i usiłował przespać się przed nocną pracą. Ale było zbyt wiele telefonów, pytań i decyzji, które musiał podjąć. Zwołał wreszcie krótką konferencję prasową. Jego widoczne przemęczenie przeraziło Jen.

W nocy znowu pracował prawie do rana. Rano sztorm nadal szalał, a jego gwałtowność nawet wzrosła. Jen przekupiła Arnolda i Eskimos, choć niechętnie, zawiózł ją na lodową pokrywę morza. W czasie jazdy wiatr wzmógł się. Gdy na miejscu Jen wysiadła z samochodu, musiała zasłaniać oczy przed oślepiającym je śniegiem. Prawie nic nie widziała, a sylwetki pracujących ludzi były tylko szarymi, bezkształtnymi cieniami.

Hal dojrzał ją. Odłożył piłę i podszedł do niej.

– Co tutaj robisz? – zapytał, przekrzykując wycie wiatru. – Jen, wracaj do bazy. Nic tu po tobie.

Jen zmrużyła oczy chroniąc je przed zacinającym śniegiem. Od silnego mrozu bolała ją twarz i ręce, lecz przy Halu zapomniała o zimnie. Miał oblodzone ubranie, buty sztywne od mrozu, rękawice wyglądały jak część metalowej zbroi. Brwi, a nawet rzęsy były białe, twarz miał zszarzałą.

– Hal – zaczęła, ale nie mogła dokończyć. Hal zawsze był szczupły, lecz teraz wyglądał na całkiem wychudzonego – w ciągu ostatnich dni musiał stracić z pięć kilogramów. – Och, Hal.

– Jenny, czas ucieka. Nie mogę go zatrzymać. Wracaj. Nie mam czasu dla ciebie.

Wieloryby wyłoniły się w pobliskim otworze oddechowym. Ich wygląd był przerażający. Mniejszy miał pysk szary od odmrożeń. Nozdrza większego wieloryba były jeszcze bardziej poranione.

Jen bezskutecznie starała się dostrzec wodę w nowym, wycinanym otworze oddechowym. Ludzie nie wydobyli z niego nawet połowy lodu. Zdała sobie w tym momencie sprawę, że tylko cud może uratować te stworzenia.

– Hal, musisz odpocząć.

– Jenny, kochanie, nie możemy odpoczywać. Jeżeli dzisiejszej nocy nie przedostaniemy się przez spiętrzenie lodowe, nie zrobimy tego nigdy. A wtedy to będzie koniec.

– Nawet nie wiadomo, czy uda się wam przebić to spiętrzenie, może mordujecie się niepotrzebnie, może to jest beznadziejne.

Ujął ją za ramiona i spojrzał w oczy.

– Rozpoczęliśmy tę walkę. Musimy przez to przejść. Co by pomyśleli ludzie o Ultimie i jej mieszkańcach, gdybyśmy teraz zrezygnowali. Przede wszystkim ty powinnaś to zrozumieć. Nie ma tu dla ciebie nic do roboty.

Spojrzała na niego bezradnie. Potrząsnął głową.

– Jenny – ponownie wymówił jej imię. Opuścił ręce i odszedł w kierunku pracujących mężczyzn.

Jen popatrzyła na ich niewyraźne postacie ze ściśniętym gardłem i powróciła do samochodu.

Tego wieczoru Jen nie poszła do jadalni, nie mogłaby nic przełknąć. Siedziała w mieszkaniu Keenana i rozmyślała o ludziach pracujących w tak nieludzkich warunkach i ich beznadziejnej sytuacji. Zadzwonił telefon. Ujęła słuchawkę drżącymi palcami. Miała nadzieję, że to nie dziadek. Nie rozmawiała z nim od dwóch dni. Ale to był dziadek.

– Nie wydaje się, żeby Bailey dał sobie radę – jego głos pobrzmiwał nieskrywaną satysfakcją.

– Czy telefonujesz po to, żeby mi to powiedzieć? – gorzyc jej głosu zdziwiła ją samą.

– Nie... telefonuję po to, żeby sprowadzić moją dziewczynkę do domu. Pakuj się.

Zamknęła oczy i potarła dłonią czoło.

– Dagobercie, męczysz mnie. Nie odjadę, dopóki to wszystko się nie zakończy.

– Naprawdę? – udawał zdziwionego – nawet gdybyś w ten sposób uratowała te swoje bezcenne wieloryby?

Dłoń Jen znieruchomiała. Otworzyła oczy.

– O czym mówisz? Poduszkowiec jest zniszczony, to pływający wrak.

– To zawsze był pływający wrak. Od początku był nieporozumieniem. Nie, ja mówię o prawdziwej pomocy. A co by było, gdybym zdobył prawdziwy rosyjski lodołamacz?

Poczuła się dziwnie – jakby zamarzła, nie mogła się ruszyć, nic nie czuła.

Dagobert milczał przez chwilę.

– A co by było, gdybym ja miał – powiedzmy – do dyspozycji rosyjski lodołamacz, i to w miejscu, z którego mógłby szybko przyplłynąć na Alaskę? A co by było, gdybym po przeprowadzeniu kilku rozmów telefonicznych uzyskał zezwolenie rządu na wejście tego statku w obszar naszych wód terytorialnych? Prosto do Ultimy, bez żadnego oczekiwania? A jeżeli mogę sprowadzić go jutro rano? No i co teraz powiesz swojemu dziadziusiowi, hmm? No co, panienko?

Jen oddychała głęboko, jakby sprawdzając, czy jest jeszcze do tego . zdolna. Pomyślała o wielorybach słabnących w miarę zbliżania się kolejnej nawałnicy. Pomyślała o walczących o życie zwierząt ludziach i ich dotychczasowych bezowocnych wysiłkach. Pomyślała o Halu, o jego odmrożeniach i bezsenności. Pomyślała o cudzie, który mógłby ich uratować.

Z trudem wydobyła z siebie zdławiony głos.

– Czy możesz to zrobić? Dagobert odczekał chwilę.

– Tak, mogę. Oni mogą mi zapłacić w ten sposób za coś, co są mi winni. Tak, mogę to zrobić. Tylko poproś. Tylko powiedz „proszę”.

Jen zdawało się, że zamienia się w sople lodu lub kamień. Jakie to ma teraz znaczenie, czy poprosi dziadka o pomoc. Ta pomoc jest jedyną szansą dla zwierząt. Hal nie chciał, żeby z nim została. Jeśli chodzi o dziennikarstwo, to wyleczyła się z niego skutecznie.

– Nie chcę, żebyś była blisko tego Baileya. To nie jest męczyzna dla ciebie. Nastawił cię przeciwko mnie. Ale coś ci proponuję. Daj mu na pożegnanie prezent.

– Pożegnalny prezent? – spytała głucho.

– Wróć do domu, a ja nie tylko wyślę lodołamacz, ale zrezygnuję z wierceń w Zatoce Bristolskiej. I co ty na to? Jak myślisz, co Bailey wybierze: ciebie, której i tak nie potrafiłby uszczęśliwić, czy moje przyrzeczenie wycofania się z interesów w Zatoce Bristolskiej, hmmm?

Była coraz bardziej oszołomiona.

– Rezygnujesz z Zatoki Bristolskiej? Nie będziesz tam wiercił?

– Tak, kochanie, tylko poproś.

Wciągnęła haust powietrza. To było nieprawdopodobne, wbrew wszelkim oczekiwaniom. Miała przed oczyma sylwetki ludzi, pracujących na pokrywie lodowej zamarznętego morza, Hala kompletnie wyczerpanego, a jednak nie poddającego się zmęczeniu. Nie miała wątpliwości, jakiego wyboru dokonałby Hal, gdyby był na jej miejscu. Zrobiłby wszystko, żeby ustrzec przed zniszczeniem Zatokę Bristolską.

– No więc? – zapytał Dagobert.

– Proszę – odrzekła. Jej głos trochę się załamał, więc powtórzyła wyraźniej: – Proszę cię o to. Zrób to.

A zatem stało się. Wypowiedziała te słowa. Dagobert wygrał. I Hal. Wieloryby zostaną uratowane, a Zatoka Bristolska będzie bezpieczna.

– Możesz uważać sprawę za załatwioną – oznajmił Dagobert zadowolonym głosem. –

Zabukuj samolot i wracaj do domu tak szybko, jak na to pozwoli pogoda. Zostaw kartkę temu Baileyowi. Napisz, że znudziło ci się dziennikarstwo. Że stawiasz rodzinę na pierwszym miejscu. Że twój dziadek podjął już ważne towarzyskie zobowiązania w związku z twoją osobą. Im mniej napiszesz o naszej umowie, tym lepiej. To sprawa rodzinna. I Jen, wiedz o tym, że dziadek robi to wszystko tylko dla twojego dobra i jedynie dlatego, że cię kocha.

Wsluchiwała się w wycie wiatru za oknem.

– Wiem. – Odłożyła słuchawkę, usiadła i przez dłuższy czas patrzyła przed siebie. Potem wstała i automatycznie zaczęła się pakować. Napisała kartkę do Hala. Wsunęła ją pod drzwi jego pokoju. Treść była krótka: „Zdecydowałam się na powrót do domu. Znudziła mi się zabawa w dziennikarstwo. A jednak będę o Tobie myślała. Życzę szczęścia. Jen”. Nie potrafiła napisać niczego więcej, poza tymi oficjalnymi i zdawkowymi słowami. Była zbyt odrętwiała. A kiedyś miała nadzieję, że pisanie będzie jej zawodem, w którym osiągnie sukces.

Zamówiła taksówkę. Wolała czekać na samolot na lotnisku niż tu, w ośrodku. Wiedziała, że nigdy już nie zobaczy Hala, wielorybów, Billy’ego, Warrena i zrzedliwego Arnolda. Nie zobaczy zabudowań ośrodka, bezkresnych przestrzeni Arktyki, czarodziejskiej magii zorzy polarnej. Wracała do domu, który nigdy już nie będzie jej prawdziwym domem. Nigdy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jen wyjechała. Następnego dnia – zgodnie z obietnicą Dagoberta – do cieśniny wpłynął rosyjski lodołamacz. Statek przebił spławny kanał w lodowej pokrywie zamrożonego morza. Zgrzytając i dygocząc przełamał lodowe spiętrzenie, które jak ściana odgradzało wielorybom drogę do wolności.

Wieloryby odpłynęły w kierunku otwartego morza wśród okrzyków radości i wiwatów zgromadzonych ludzi. Zgodnie z oczekiwaniami bohaterem obwołano Dagoberta za sprowadzenie lodołamacza. Przedstawiciele różnych biur, agencji i organizacji, które nie miały wiele wspólnego z ratowaniem zwierząt, również przypisywali sobie część zasług. Niewiele osób wymieniało nazwiska Hala i Eskimosów, którzy utrzymywali wieloryby przy życiu i przybliżyli im wolność, zanim nastąpiło szczęśliwe zakończenie – wynik posiadania władzy i związanych z nią przywilejów.

Sucha notatka w Anchorage Daily News sugerująca, że Eskimosi nawet bez pomocy lodołamacza mogli uwolnić zwierzęta, przeszła bez echa. Współpraca Rosjan i amerykańskiego potentata naftowego zapewniała bardziej sensacyjne nagłówki w gazetach.

Zaraz po powrocie Jen do Kalifornii, Dagobert zabrał ją na Riwierę, aby – jak się wyraził – odpoczęła i nabrała sił. W Cannes udało mu się osiągnąć dalszy rozgłos. Oznajmił, że zaniechał wszelkich prób wydobywania ropy z dna morza w Zatoce Bristolskiej na Alasce. W opublikowanym wywiadzie powiedział:

„Jestem starym człowiekiem. Nadszedł czas spłacenia długów wobec tej ziemi, która tak hojnie mnie obdarowała. Pomoc w ratowaniu wielorybów dała mi nie znaną dotąd satysfakcję. Od tej chwili Korporacja Towarzystw Naftowych Martinsona będzie przykładem dla całego przemysłu naftowego.”

Oświadczeniem tym zrobił sobie ogromną reklamę, ale nie był zadowolony.

Jen wprawdzie wróciła i dziadek znowu miał swoją dziewczynkę dla siebie, lecz Jen nie była już tą samą, dawną dziewczynką. Dziadek skarżył się, że wcale się nie uśmiecha i że krąży wokół jak piękne widmo. Nie kłóciła się już z nim. Była posłuszna do przesady. Dziadek troszczył się o nią, a ona, pomimo wszystko, nadal go kochała. Była jednak tak nieszczęśliwa, że nie potrafiła udawać, nawet po to, by sprawić mu przyjemność.

Zdawała sobie sprawę z tego, że dziadek robi wszystko, by znów była zadowolona z życia, a wszelkie wspomnienia o Alasce zostały wymazane. Przedstawił jej młodego następcę tronu, który zabierał ją do nocnych klubów w Monte Carlo i siostrzeńca prezydenta, z którym popłynęła jachtem do Antibes. W rubryce towarzyskiej pisano o niej bez przerwy, ale Jen zupełnie to nie bawiło. Myślała wyłącznie o człowieku, który mieszkał w Arktyce, w baraku zbudowanym z prefabrykowanych elementów.

Pewnej nocy stała na balkonie ich mieszkania w Saint Tropez i wpatrywała się w morze[^] odbijające światło księżyca. I chociaż jej ramiona owiewał ciepły wiatr, wracała pamięcią do innego morza, innego wybrzeża. Do miejsca, gdzie człowiek słaby i nie zahartowany nie był w stanie utrzymać się przy życiu.

Na odgłos kroków dziadka odwróciła się i zmusiła do uśmiechu. Chociaż był dla niej bardzo dobry i robił wszystko, aby sprawić jej przyjemność, nie była w stanie docenić jego wysiłków. Wydawało się jej, że jest wewnętrznie sparaliżowana.

Dagobert stanął koło wnuczki, oparł się o balustradę balkonu i również spojrzął na morze, posrebrzone światłem księżyca. Zmęczonym głosem zapytał:

– No, dobrze, więc czego chcesz?

Jen milczała chwilę, wreszcie powiedziała.

– Chyba chciałabym wrócić do domu.

– Świetnie – w głosie Dagoberta dało się wyczuć irytację. – A co potem? Powiedz mi, wszystko załatwię. Chcesz wrócić do dziennikarstwa? Porozmawiam z Ferdem. Zrobię dla ciebie wszystko.

Pokiwała głową i odwróciła wzrok w stronę morza.

– Miałeś rację. Dziennikarstwo nigdy nie było moim powołaniem. Problem w tym, że nie potrafię tylko relacjonować wydarzeń. Chcę coś robić. Pomagać. Zmieniać wszystko, co wymaga zmiany. Chciałabym mieć wpływ na kształtownie rzeczywistości. Czuję się taka bezużyteczna. Myślałam o powrocie na uczelnię.

Dziadek spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Na uczelnię? Wspaniale. Wracaj, jeśli chcesz. I wreszcie rozchmurz się.

– Chciałabym studiować ekologię – patrzyła na połyskujące fale. – Wiesz, na Alasce zaczęłam zastanawiać się nad sprawami, o których przedtem nigdy nie myślałam. Chyba takie studia by mi odpowiadały. Ekologią trzeba zainteresować przemysł, a ty przecież obiecałeś się tym zająć.

– Świetnie, świetnie, świetnie – powiedział – z tym, że jeżeli będę tych zasad przestrzegał, zbankrutuję. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli chcesz, mogę łaskotać ryby pod płetwami, a fokom wysyłać sardynki w czekoladzie. Świetnie.

– Ja mówię poważnie, Dagobercie – Jen zatrzymała wzrok na dziadku. – Nie bawi mnie wydawanie twoich pieniędzy. Chcę coś zrobić w życiu. Sprawić, by Ziemia stała się lepszym niż dotąd miejscem do życia.

Dziadek poruszył się niecierpliwie.

– Czy nie powiedziałem, że na wszystko się zgadzam?

Skinęła głową. Zapadła niezręczna cisza.

– I jeszcze jedno. Nie miej mi tego za złe, ale kiedy wrócimy do domu, chcę pobyć trochę sama. Pojadę do naszego domku w Big Sur. Przepraszam cię, ale chyba jestem zmęczona. Pójdę spać – ruszyła w kierunku wyjścia, lecz zatrzymał ją głos dziadka.

– Chodzi ci o tego mężczyznę? Wydaje ci się tylko, że jesteś w nim zakochana. To dziecinada. Wyrośniesz z tego.

Jen utkwiała wzrok w dziadku.

– Poza tym, on cię nie kocha – ciągnął Dagobert.

– Gdyby cię kochał, przyjechałby do ciebie. Czy odezwał się choć jeden raz?

– Nie.

Od wyjazdu z Alaski minęły cztery tygodnie. Otrzymywała ze Stanów całą pocztę. Codziennie telefonowała do Kalifornii i sprawdzała, czy nie ma dla niej wiadomości z Ultimy. Nie było. Hal nie odezwał się do niej. Widocznie pragnął zapomnieć o rozpieszczonej bogaczce.

– Gdyby był odpowiednim mężczyzną dla ciebie, powiedziałbym ci, bierz go sobie – tłumaczył dziadek.

– Nawet sprowadziłbym go tutaj. Mógłbym to zrobić w jednej chwili, gdyby on był ciebie wart. Dałbym mu stanowisko i wysoką pensję. Ale, Jen, spójrz prawdzie w oczy, ty go wcale nie obchodzisz.

– Jego nie można przekupić – po raz pierwszy od tygodni Jen ożywiła się. – Powinieneś już to zrozumieć. Mnie przekupiłeś, jego nie.

– Nie przekupiłem ciebie – sprzeciwił się Dagobert. – zawarliśmy układ, uczciwy i sprawiedliwy. Sprawy potoczyły się zgodnie z moimi przewidywaniami – ty wpadłaś w tarapaty i musiałem ci pomóc. Uratowałem te twoje przekłete wieloryby. Zrezygnowałem z wierceń w Zatoce Bristolskiej. Wykonałem moją część umowy. Nie przekupiłem cię.

Jen przyglądała się dziadkowi badawczo. Ostatnio wyglądał starzej, był mizerny i wąły. Jen poczuła, że nie ma serca z nim walczyć. A poza tym, to on miał rację, nie ona. Zgodnie z umową miała mu być posłuszna po powrocie do domu. „Zrobię to, czego będziesz ode mnie oczekiwał. „

– Jen, Jen, to nie jest dla ciebie odpowiedni mężczyzna. Nie pasujecie do siebie. Wy dwoje nigdy...

Wyprostowała się i przytaknęła mechanicznie.

– Wiem. Nie mówmy już o tym. Dobranoc, Dagobercie. Śpij dobrze.

Wyszła i zostawiła go samego.

– Zamierzam cię uszczęśliwić, młoda kobieto – zawołał za nią – czy ci się to podoba, czy nie. Musisz zrozumieć, co w życiu liczy się najbardziej.

W tym momencie z innego skrzydła hotelu dobiegł głośny śmiech. Zabrzmiął jak drwina.

Jen cieszyła się z powrotu do Kalifornii i z możliwości spędzenia paru dni w letniskowym domku w Big Sur nad oceanem. Początkowo dziadek nie chciał puścić jej samej, ale przekonała go, że da sobie radę i poczuje się znacznie lepiej, gdy będzie miała czas na przemyślenie swoich spraw.

Była tam już tydzień. W Big Sur czas stanął w miejscu. Zalesione góry ze stromymi urwiskami, kamieniste wybrzeże i Pacyfik w zachodzącym słońcu – to wszystko miało jakiś odwieczny wymiar. Jen, spacerując po kamienistej plaży każdego rana i wieczoru, starała się uporządkować swoje życie.

W ten piątek zrobiło się chłodniej niż zwykle – znad morza wiał zimny wiatr. Jen przechadzała się po piasku w obszernym białym swetrze, z rękoma w kieszeniach podwiniętych do kolan spodni.

Będzie musiała wkrótce wrócić do San Francisco i zacząć normalnie żyć. I przestać opłakiwać Hala. Tak jak powiedziała Dagobertowi – Alaska ją zmieniła. Teraz będzie musiała zacząć aktywnie działać. Przypilnować, żeby Korporacja Martinsona rzeczywiście była przykładem stosowania właściwych metod ochrony środowiska. Trzeba iść w tym kierunku. Być może zmiany będą dokonywać się powoli i z oporami, ale ona dopilnuje, aby zostały wprowadzone. Wiedziała, że dziadek da jej zielone światło na taką działalność. Ciemnoniebieskie chmury, popędzane wzmagającym się wiatrem, zapowiadały nadejście nocy. Nad morzem zawisł księżyc w nowiu, przywołując wspomnienie zorzy polarnej. Wspomnienie tak żywe, ostre i bolesne. Stała na brzegu oceanu i przyglądała się przypluwającym falom. To nie Alaska ją zmieniła. To Hal ją odmienił. To dzięki niemu zaczęła inaczej patrzeć na świat, poważniej, z większą troską. Nauczył ją, co oznacza prawdziwa uczciwość i odwaga. I pożądanie. I rozpacz.

Czuła łzy pod powiekami. Dagobert miał rację. Gdyby Hal jej pragnął, mógł zatelefonować, napisać, przyjechać. Niczego takiego nie zrobił. Ale ona mogła wyobrazić sobie, jak idzie ku niej, wyobrazić tak wyraźnie, że ten obraz wywoływał ból. Oczy miała zamglone od łez, lecz wyraźnie widziała go między wysokimi głazami, leżącymi u stóp urwiska. Wynurzył się z cienia skał i zbliżał zdecydowanym krokiem w jej kierunku. Otarła łzy. Widmo było teraz tak rzeczywiste, że poczuła lęk. To straszne – pomyślała ze złością – zwariowałam z miłości i mam halucynacje. Nadal go widziała, idącego długimi krokami, z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki. Poczuła nagle lodowaty chłód w całym ciele. Jej serce zamarło. To nie było przywidzenie. Hal – pomyślała – Hal jest tutaj.

Bez namysłu rzuciła się ku niemu, biegnąc przez zimny, mokry piasek. Nagle przystanąła przestraszona. Ciągle czuła ten sam przejmujący, lodowaty chłód. Nie wiedziała, co oznacza jego przyjazd. Stała kilka kroków przed nim i oddychała nierówno. Wpatrywała się w

znajome, błękitne i stanowcze oczy. Wszystkie słowa, jakie w wyobraźni wypowiadała do niego w takiej chwili, uleciały jej z pamięci. Hal stał tyłem do małej zatoki, gdzie fale uderzały o przybrzeżne głazy. Był bez kapelusza, w dżinsach i brązowej, skórzanej kurtce. Jego twarz była ogorziała od północnego wiatru i słońca. Nadal robił wrażenie człowieka nieokielznanego, który czuje się dobrze tylko w dzikich częściach świata. Pasował do tego tła – falującego oceanu i wiatru, który rozwiewał mu włosy.

Jen wstrząśnięta i uszczęśliwiona odetchnęła głęboko. Przez chwilę myślała, że jej serce przestało bić. Pobladła.

– Ja... ja... – jąkała się. Nie mogła dokończyć i tylko patrzyła na niego.

Postąpił krok w jej kierunku, ale zawahał się. Oddzielało ich tysiące niewidzialnych barier. Całe to niesamowite zamieszanie w Ultimie i związane z nim nieporozumienia, potęga Korporacji Martinsona i Spółki MaLaBar, i knowania Dagoberta.

Chciała wyciągnąć do niego rękę, lecz nie mogła. Wyglądał tak wspaniale – szczupły, przystojny, opalony. Patrzył przenikliwie, jak zawsze.

– Dlaczego przyjechałeś?

– Do ciebie – odpowiedział szorstko. – Przyjechałem, żeby ci podziękować.

– Podziękować? Mnie?

– Keenan powiedział mi, że dzięki tobie Spółka MaLaBar wycofała się z Zatoki Brytolskiej. Dowiedział się o tym od swojego dziadka. Wiesz, oni się już pogodzili.

Skinęła głową, wciąż niepewna, czy zdoła się utrzymać na nogach.

– Wiem. – Odwróciła się. Jego widok zbyt nią wstrząsnął. Nie myślała, że to będzie tak bolało.

– Jen – zaczął Hal – Jennie, spójrz na mnie. Keenan powiedział mi, że to dziadek wymógł na tobie powrót do domu. Że chodziło o rodzaj jakiegoś zakładu. Ty wróciłaś do domu, a on wysłał lodołamacz. Czy to prawda?

Nie patrzyła na niego. Ponownie skinęła głową.

– To nie ma znaczenia. Taki głupi zakład. Ale mam nadzieję, że wynikło z niego coś dobrego. Czy ktoś natrafił na ślad wielorybów?

– Nie, zrezygnowaliśmy z czujników radiowych. Te zwierzęta za wiele już przeszły. Nie chciałem ryzykować.

– Ach, tak – Jen skrzyżowała ramiona i patrzyła na piasek i głazy. Milczała ze ściśniętym gardłem.

– Powinnaś była mi powiedzieć – głos Hala był ochrypły. – Przez cały czas chciałaś się wyzwolić i przede wszystkim dlatego przyjechałaś do Ultimy? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– To było... zbyt osobiste.

– Do diabła, Jennie – zaklął – nie miałaś do mnie dość zaufania? Dlaczego tak nagle wyjechałaś? Dlaczego nawet się nie pożegnałaś?

Podniosła na niego oczy.

– Pożegnaliśmy się, nie pamiętasz? Ty mnie pożegnałaś. Nie chciałaś, żebym z tobą została. Powiedziałaś, że za bardzo się różnimy. Tak, jak byśmy pochodzili z różnych krańców ziemi.

– Różnimy się. I pochodzimy z różnych krańców ziemi – twarz Hala była napięta. – Aleja chcę zostać z tobą. Na zawsze.

– Coś ty powiedział?

– Jennie, były takie dni, kiedy pragnąłem cię bardziej niż powietrza. Były takie noce, kiedy wychodziłem na zamarznęte morze tylko z miłości do ciebie, wolałem raczej umrzeć niż cię zawieść.

– Co powiedziałeś? – Jen otworzyła szeroko oczy ze zdumienia – Co powiedziałeś?

Mięśnie jego brody drżały. Spojrzał na morze i pomyślał, że o wiele łatwiejsza byłaby walka z falami niż te wewnętrzne zmagania. Jego wzrok znowu spoczął na Jen.

– Powiedziałem, że się różnimy. I powiedziałem, że cię kocham. Kiedy mnie opuściłaś, chciałem iść gdzieś przed siebie w mroźną ciemność i nigdy więcej nie wrócić. Nie miałem po co wracać. Odjechałaś. Myślałem, że masz mnie dosyć. Że jesteś bogatą dziewczyną, która ma wszystko, czego zapragnie. Że bawiłem cię trochę, a wreszcie cię znudziłem.

Łzy napływały jej do oczu.

– Nigdy nie mógłbyś mnie znudzić. Choćbym żyła sto lat.

Stali teraz blisko siebie i Jen nie wiedziała, które z nich zrobiło ten krok. Wiedziała tylko, że Hal wziął ją w ramiona i trzyma mocno. I że żadna siła nie jest w stanie oderwać jej od niego, gdy jego twarz przytula się do jej twarzy. Złożyła głowę na jego piersi. Chciała być jeszcze bliżej niego.

– Jen, Jennie – mówił cicho – kocham cię. Kiedyś powiedziałaś, że mnie kochasz, a ja, głupiec, nie chciałem tego słuchać. Czy mówiłaś poważnie? Czy tak jest nadal?

– Tak – wyszeptwała uszczęśliwiona – tak. Chyba płakała, nie była pewna i teraz to nie miało znaczenia.

Przyciągnął ją mocniej do siebie.

– Próbowalem żyć bez ciebie. Nie mogę. To nic nie znaczy, że pochodzimy z różnych krańców ziemi. Przewyciężymy to. Musimy. Bez ciebie moje życie nie ma sensu.

Chwyliła go za ramiona. Chciała się upewnić, że to rzeczywiście on. Zwróciła ku niemu oczy.

– Przewyciężymy to. Powiedziałam dziadkowi, że działalność Korporacji musi ulec zmianie. Zrozumiałam to dzięki tobie. Ty możesz w tym pomóc.

– Zabiorę cię stąd – spojrzał na morze i ciemniejące niebo.

– Nie ma znaczenia, gdzie będziemy – powiedziała z przekonaniem. Zabierz mnie. Wyjedziemy razem. Kocham cię. Być z daleka od ciebie, to powoli umierać.

Jego oczy syciły się widokiem jej rozjaśnionej twarzy.

– Kiedy wyjechałaś, o mało nie oszalałem. Mówiłem sobie, że jesteś rozpieszczonym dzieckiem, które już znudziło się nową zabawką. Ze zmęczenia nie umiałem trzeźwo myśleć. Kiedy twój dziadek dokonał tego cudu, wszystko wydawało się jeszcze bardziej zwariowane. Myślałem, że ty i on wykorzystaliście sytuację dla własnych celów. Potem usłyszałem, że przebywasz na Riwerze z księżętami i playboyami. Jen, byłem załamany.

– A ty wcale się nie odezwałaś. Myślałam, że ja ciebie zupełnie nie obchodzę.

Poruszył niecierpliwie głowę. Jego głos był napięty.

– Nie wierzyłem w miłość. Tylko w biologiczny popęd i trzeźwe, logiczne myślenie. Nawet przed sobą samym nie chciałem się przyznać do uczucia, jakie we mnie wzbudziłaś. Ale po twoim wyjeździe każda myśl o tobie była jak nóż. A kiedy Keenan wszystko mi opowiedział, zrozumiałem, co straciłem. Jak mogłem pozwolić ci odejść? Co miałem dalej robić ze swoim życiem? Więc przyjechałem do ciebie. Czy wyjdiesz za mnie?

– Kiedy? – spytała. – To powinno być skromne wesele. Niepodobne do tych wszystkich, które w kółko opisywała w gazecie. I musi odbyć się jak najszybciej. Uroczystość nie miała znaczenia. Być z nim – tylko to się liczyło.

– Tak szybko, jak to będzie możliwe. Szukałem cię w San Francisco. Powiedziałem twojemu dziadkowi, że zamierzam się z tobą ożenić, jeśli mnie zechcesz, i że wtedy pobierzemy się, choćby on się temu sprzeciwiał. Powiedziałem mu, że od niego zależy, czy będziemy przyjaciółmi czy wrogami. I że jeżeli powiesz mi „tak”, to lepiej, żeby zaczął się do mnie przyzwyczajać. I żeby się do nas nie wtrącał.

Jen roześmiała się z niedowierzaniem.

– Powiedziałeś mi, żeby się do nas nie wtrącał? To tak jakby zakazać morzu przyływu i odpływu.

Ujął jej twarz w swoje ręce, a jego rysy stały się łagodne.

– Wiesz, Jen, długo z nim rozmawiałem. To on mi powiedział, gdzie mogę cię znaleźć. Powiedział mi także, że powinienem próbować uczynić cię szczęśliwą, gdyż jemu to się nie udało. Przyznał, że o mało cię nie utracił, z własnej winy. I że jeżeli ma cię odzyskać, musi pozwolić ci odejść. Prosił, abym ci powtórzył, że kocha cię bardzo i wystarczająco mocno, żeby uczynić cię wolną.

– Tak powiedział? Och, Hal! – przygryzła drżące wargi.

– Jen – powiedział łagodnie. Wyjął chusteczkę i otarł jej łzy. – Jen, powiedziałem ci, że wszystko przezwyciężymy. Jest siła potężniejsza niż ta, którą uosabia twój dziadek. To miłość. Tak miłość, jaką czuję do ciebie.

Przycałował ją do siebie i całował długo i namiętnie, z gwałtownością człowieka spragnionego.

– Tymczasem musimy wrócić do Ultimy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Billy też za tobą tęskni. A Helena chce cię poznać. Potem, jeżeli będziesz chciała, przyjedziemy do Kalifornii. Proponuję mi tu pracę. Albo na Karaibach.

– Bardzo się cieszę, że wrócimy do Ultimy – powiedziała. – Chcę zobaczyć zorzę polarną i pójść tam, gdzie po raz pierwszy ukazały się wieloryby. I gdzie tak ciężko pracowałeś.

– My – poprawił ją, całując znowu – my pracowaliśmy tak ciężko. I osiągnęliśmy cel. Razem. W jakiś wariacki sposób wspólny wysiłek przyniósł ludziom oczekiwane przez nich szczęśliwe zakończenie. Dzięki tobie, od początku do końca. Ale zostawiając mnie samego, o mało mnie nie zabiłaś.

– Nigdy już cię nie opuszczę.

– W Ultimie teraz zachodzi słońce na okres zimy – uśmiechnął się. – Będziemy mieli noc poślubną trwającą dwa miesiące.

– Tu też robi się chłodno. Musisz mnie ogrzać.

– Będę cię ogrzewał przez całe życie. Ogrzewał, pragnął i kochał.

Jen westchnęła uszczęśliwiona i zarzuciła mu ręce na szyję.

W tym samym czasie, gdzieś daleko od Big Sur, nad powierzchnię oceanu wynurzyły się dwa kształty. Potrójne pióropusze wodnego pyłu uleciały w powietrze. Dwie głowy z widocznymi bliznami po ranach i odmrożeniach poczuły ciepłe powietrze. Trzymając się ciągle blisko siebie, wieloryby oddychały swobodnie, wciągając wielkie hausty powietrza. Potem zanurzyły się i popłynęły w głąb oceanu.

A na plaży Jen i Hal stali, złączeni pocałunkiem.